

Tunel Strachu

Koontz Dean R



calibre 0.9.27

KOONTZ DEAN R.

Tunel Strachu

DEAN R. KOONTZ

Tytuł oryginału THE FUN HOUSE

Sile, odwagę i pewność siebie uzyskujesz dzięki przeżyciom, w których musisz pokonać własny strach. Potem możesz powiedzieć: "Przeżyłem ten koszmar. Przeżyje i następny, jeśli będzie trzeba". Musisz robić to, co wydaje ci się niemożliwe. Anna Roosevelt

Szczesliwe rodziny są jednakowe. Każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój własny sposób.

Lew Tolstoj

Nie oglądaj się za siebie. Może coś właśnie cie dogania.

Satchel Paige

PROLOG

Ellen Straker siedziała przy kuchennym stoliku w przyczepie typu Airstream, wsłuchując się w szum nocnego wiatru i usiłując nie dopuszczać do siebie dziwnych odgłosów drapania dochodzących z wiklinowej kołyski. Strzeliste deby, klony i brzozy kołysały się w mrocznym gąszczu, gdzie zaparkowano przyczepę. Liście szeleszczyły niczym wykrochmalone, czarne spodnice czarownic. Wiatr sypał z zachmurzonego pensylwskiego nieba, wciskając pomiędzy drzewa sierpniowy mrok, kołysząc delikatnie przyczepę, pojeżdżając, mamrocząc, wzdychając, przesycony zapachem nadchodzącego deszczu. Niosł ze sobą hałasliwe odgłosy z pobliskiego wesołego miasteczka i rozdzierając je na strzępy ciskał przez firankę, przesłaniającą otwarte okno nad kuchennym stołem. Pomimo nie cichnącego poszum wiatru, Ellen nadal słyszała słabe, przyprawiające o wściekłość dźwięki dobiegające z kołyski, stojącej na przeciwległym końcu przyczepy. Drapanie i szuranie. Suche zgrzytnięcia. Drazniące trzaski. Cichy szept. Im bardziej starała się nie dopuścić ich do siebie, tym wyraźniej je słyszała.

Czuła się lekko oszłamona i kreciło się jej w głowie. To prawdopodobnie skutki działania alkoholu. Nie piła zbyt wiele, ale przez ostatnią godzinę pozwoliła sobie na cztery gębsze. No, może szesc. Nie pamiętała, czy odbyła dwie, czy trzy wędrowki do butelki z burbonem. Spojrzała na swoje drżące dłonie i zastanowiła się, czy już jest dostatecznie pijana, aby zrobić coś przy dziecku.

Za oknem w oddali zasnęła błyskawica. Od skraju mrocznego horyzontu napłynął dźwięk grzmotu. Ellen powoli zwróciła wzrok w kierunku kołyski stojącej wśród cieni u stop łóżka; stopniowo gniew zaczął zastępować strach. Była wściekła na swojego męża, Conrada, i na siebie, że się w to wszystko wpakowała. Przede wszystkim jednak była wściekła na dziecko, ponieważ było odrażającym, niezaprzeczalnym dowodem jej grzechu. Chciała je zabić, zabić i pochować, i zapomnieć, że w ogóle istniało, ale wiedziała, że aby wydusić z dziecka resztki życia, będzie musiała być bardzo pijana. Stwierdziła, że jest prawie gotowa. Bez wahania podniosła się i podeszła do kuchennego zlewu. Wylała ze szklanki wodę i na wpol roztopione kostki lodu, po czym odkreciła kran i umyła szklankę. Poprzez szum płynącej wody nadal słyszała dziecko. Syczało. Drapało palcami w ścianki kołyski. Próbowало się wydostać.

Nie, to z pewnością tylko jej wyobraźnia. Nie mogła słyszeć tych dźwięków w tym hałasie. Zakreciła kran. Przez chwilę świat wydawał się przepelniony nieskalana, idealna, grobowa wręcz cisza. A potem znowu usłyszała pojeżdżanie wiatru - niosł ze sobą zniekształcone dźwięki muzyki z karuzeli stojącej w centralnej alei. A z wnętrza kołyski dochodziło chrobotanie, drapanie i piski.

Nagle dziecko krzyknęło. Był to ostry, chrapliwy skrzek, pojedynczy, gwałtowny wyraz gniewu i frustracji. Potem cisza. Przez kilka chwil dziecko leżało spokojnie, w kompletnym bezruchu, ale niebawem znowu zaczęło się wiercić. Drżącymi dłońmi Ellen wrzuciła do szklanki nowe kostki lodu i dołączyła burbona. Nie zamierzała więcej pić, lecz wrzask dziecka, niczym fala upiornego żaru, wypalił opary alkoholowej mgiełki, wśród której się poruszała. Znowu była trzeźwa, a wraz z trzeźwoscą powrócił lek.

Chociaż noc była gorąca i wilgotna, Ellen zadrzała. Nie potrafiła już zabić dziecka. Ba, nie miała nawet dość odwagi, by podejść do kołyski.

Ale muszę to zrobić! - pomyślała.

Powrocila do kuchennej klitki, usiadla i zaczela saczyc whisky, usilujac odzyskac odwage, ktora dawalo jedynie upojenie alkoholowe.

Jestem zbyt mloda, by niesc to brzemie, pomyslala. Nie mam dosc sily, by sobie z nim poradzic. Przyznaje. Dopomoz mi, Boze, naprawde nie mam sily.

Dwudziestoletnia Ellen Straker byla nie tylko zbyt mloda, by ugrzazc w pulapce metnej przyszlosci, jaka sie przed nia rozciagala; byla rowniez zbyt ladna i energiczna, by skazac sie na zycie pelne nieprzemijajacego bolu i miazdzacej odpowiedzialnosci. Byla szczupla, zgrabna mloda kobieta, motylem, ktory nigdy nie mial szans, by rozwinac skrzydla. Wlosy miala ciemnobrazowe, prawie czarne, tak samo jak oczy. Leciutki rumieniec na policzkach idealnie wspolgral z ciemnooliwkowa karnacja. Przed poslubieniem Conrada Strakera nazywala sie Ellen Teresa Marie Giavenetto; byla corka przystojnego Amerykanina wloskiego pochodzenia i kobiety z twarza Madonny, szczytacej sie podobnym rodowodem. Srodziemnomorska uroda Ellen nie byla jedyna spuscizna, jaka odziedziczyla po przodkach - potrafila cieszyc sie kazdym drobiazgiem, miala bogata osobowosc, urzekajacy usmiech i cieplo, ktore w typowy dla Wlochow sposob potrafila roztaczac wokol siebie. Byla istota stworzona do zabawy, radosci i tanca. Jednak przez pierwszych dwadziescia lat zycia miala raczej niewiele okazji do radosci.

Jej dzieciinstwo bylo wyjatkowo ponure, a okres dojrzewania stal sie istna droga przez meke. Chociaz Joseph Giavenetto, jej ojciec, nalezal do ludzi zyczliwych i serdecznych, jego glowna ceche stanowila uleglosc. Nie byl panem we wlasnym domu i nie mial zbyt wiele do powiedzenia w kwestii wychowania corki. Ellen rzadko miala okazje zaznac ukojenia ze strony spokojnego, kochajacego ojca, natomiast czesciej stanowila obiekt, na ktorym jej matka, religijna fanatyczka, wyladowywala swoj gniew.

W domu Giavenetto rzadzila Gina, i to przed nia Ellen musiala "spowiadac sie" z wszelkich prawdziwych badz urojonych grzeszkow. Istnial spis zasad (nota bene bardzo obszerny), ktory regulowal zachowanie Ellen, Gina zas za wszelka cene starala sie dopilnowac, by kazda zasada byla skrzetnie przestrzegana i egzekwowana. Zamierzala uczynic wszystko, by jej corka wyrosla na pruderyjna, bogobojna kobiete.

Gina zawsze byla religijna, ale po smierci jedynego syna stala sie bigotka. Anthony, brat Ellen, zmarl na raka majac zaledwie siedem lat. Ellen, czterolatka, byla zbyt mala, by pojac, co stalo sie z jej bratem, ale dostatecznie duza, by miec swiadomosc, jak piekielnie szybko postepowala jego choroba. Dla Giny owa tragedia byla dopustem Boga. Czula, ze w jakis sposob Go zawiodla i ze Bog, by ja ukarac, odebral jej dziecko. Od tej pory, zamiast co tydzien w niedziele, zaczela uczeszczac na msze kazdego ranka i zabierac ze soba coreczke. Codziennie zapalala w kosciele swieczke na intencje Anthony'ego. W domu bez konca czytala Biblie.

Czesto zmuszala Ellen, by siedziala przy niej, i godzinami czytala jej fragmenty Pisma Swietego. Chociaz dziewczynka byla jeszcze zbyt mala, aby mogla cokolwiek zrozumiec. Gina znala tez wiele przerazajacych opowiesci o piekle, o tym, jak ono wyglada i jakie tortury czekaja tam na zatwardzialych grzesznikow, a takze jak latwo krnabrnemu dziecku trafic do tego straszne miejsca, cuchnacego siarka i smola. Nocami Ellen dreczyly upiorne, krwawe koszmary, majace zrodlo w zaslyszanych od matki historiach o ogniu piekielnym i potepieniu.

W miare jak Gina stawala sie coraz bardziej religijna, dodawala kolejne punkty do listy zasad, ktora miala poslugiwac sie Ellen. Najmniejsze uchybienie bylo wedle Giny kolejnym krokiem ku piekielnej otchlani. Joseph od poczatku ich zwiazku kompletnie poddal sie zonie. Nigdy nie potrafil nad nia zapanowac, a kiedy Gina wkroczyła w swoj osobliwy swiat religijnego fanatyzmu, znalazla sie poza jego zasiegiem. Nawet nie probowal wplywac na jej decyzje. Zdumiony zmianami zachodzacyimi w Ginie, niezdolny radzic sobie z kobieta, jaka sie stala, Joseph spedzal w domu coraz mniej czasu. Byl wlascicielem zakladu krawieckiego, ktory nie przynosil moze kokosow, ale byl niewatpliwie oplacalny. Zaczal wiec pracowac do pozna. Kiedy nie pracowal, spedzal wiecej czasu z przyjaciolmi niz z rodzina, a w rezultacie Ellen zaczelo brakowac jego milosci, otwartosci i poczucia humoru, ktore moglyby zrekompensowac nie konczace sie posepne godziny przezywane pod wplywem dlawiacej, ponurej i zlowrogiej dominacji jej matki.

Przez cale lata Ellen marzyla o dniu, kiedy opusci dom; oczekiwala na te ucieczke z gorliwoscia wieznia nie mogacego sie doczekac wyrwania z czterech scian celi. Teraz byla sama; od ponad roku znajdowala sie poza zasiegiem zelaznej reki matki. Trudno uwierzyc, ale jej przyszlosc rysowala sie jeszcze gorzej niz przedtem. Duzo gorzej.

Cos zastukalo w okiennice.

Ellen zaskoczona uniosla wzrok i wyjrzala. Przez chwile nic nie widziala. Na zewnatrz byla tylko ciemnosc.

TAP - TAP - TAP

-Kto tam? - wyszeptala, a jej serce natychmiast zaczelo bic szybciej. Wtedy blyskawica rozciela niebo, a w jej bladym

blasku ujrzała olbrzymie białe cmy objijające się o szybę.-Jezu - wyszeptala. - To tylko cmy.

Wzdrygnęła się, odwróciła od miotających się owadów i upiła łyk burbona.

Nie mogła żyć w takim napięciu. W każdym razie niedługo. Musiała coś zrobić, i to szybko.

ZABIJ DZIECKO.

Dziecko w kołysce wydało z siebie krótki, chrapliwy okrzyk przypominający psie warknięcie. Jakby w odpowiedzi z oddali dobiegł huk grzmotu. Na krótką chwilę zagłuszył jęk wiatru i odbił się gorzkim echem wśród metalowych ścian przyczepy.Cmy nadal tłukły o szybę - tap, tap, tap.

Ellen pośpiesznie dopiła resztkę burbona i nalala do szklaneczki kolejną porcję.

Trudno było jej uwierzyć, że znalazła się w tym okropnym miejscu, zraniona, zła i nieszczęśliwa. To wszystko wydawało się jedynie koszmarem snem. Zaledwie przed czternastoma miesiącami rozpoczęła nowe życie, pełne wielkich nadziei oraz - jak się okazało - naiwnego optymizmu. Jej świat tak gwałtownie obroczył się w nicosc, że wciąż jeszcze nie potrafiła dojść do siebie.

Na sześć tygodni przed dziewiętnastymi urodzinami uciekła z domu. Uciekła w środku nocy, bez jednego choćby słowa, niezdolna do konfrontacji z matką. Zostawiła Ginie krótki listek pełen gorzkich słów, a potem odeszła z mężczyzną, którego kochała.

Prawde mówiąc każda niedoswiadczone dziewczyna z małego miasteczka, pragnąca ucieczki przed nudą lub denerwującymi rodzicami, zadurzyłaby się w człowieku takim jak Conrad Staker. Był nieodparcie przystojny. Miał gesty, proste, lśniące, kruczoczarne włosy i arystokratyczne rysy - wydatne kości policzkowe, patrycjuszowski nos i mocna szczęka. Jego zdumiewająco niebieskie oczy miały barwę gazowego płomyka. Był wysoki, szczupły i poruszał się z gracją tancerza.

Jednak to nie wygląd Conrada podbił serce Ellen. Urzekł ją jego styl bycia i wewnętrzny urok. Był gawędziarzem, sprytnym i obdarzonym specyficznym darem, dzięki któremu nawet najbardziej ekstrawaganckie pochlebstwo brzmiało szczerze i prawdziwie.

Ucieczka z przystojnym właścicielem lunaparku wydawała się jej urzekającym romantycznym zrywem. Będa wedrować po kraju i w ciągu roku Ellen zobaczy więcej niż spodziewała się ujrzeć w całym swoim życiu. Nie będzie miejsca na nudę. Każdy dzień wypełni podniecenie, barwy, muzyka i światło. Poza tym świat wesołego miasteczka nie rzadził się długą, złożoną i frustrującą listą zasad.

Ona i Conrad wzięli ślub tak, jak nakazywała tradycja lunaparków. Ceremonia polegała na tym, że po zamknięciu wesołego miasteczka mieli przejechać się wspólnie na karuzeli pod okiem świadków, czyli pozostałych pracowników lunaparku. W ich oczach małżeństwo zostało zawarte w równie wiązacy i uswiecony sposób, jak gdyby dokonano tego w kościele, w obecności księdza, podpierając ów fakt podpisaniem aktu ślubu.

Kiedy już stała się pania Straker, Ellen była przekonana, że od tej pory czekają ją tylko dobre dni. Myliła się. Znała Conrada zaledwie od dwóch tygodni, zanim zdecydowała się z nim uciec. Zbyt późno zorientowała się, że zdążyła ujrzeć tylko jego dobrą stronę. Po ślubie przekonała się, że chociaż pełen charyzmy, był człowiekiem humorzystycznym, trudnym we współżyciu i skłonny do przemocy. Czasami Conrad był wspaniały, kochany, miły i czarujący, jak wówczas, kiedy ją adorował. Zdarzało się jednak, że nieoczekiwanie stawał się gwałtowny jak dzikie zwierze.

Przez ostatni rok mroczne humory powracały coraz częściej. Był sarkastyczny, małostkowy, złośliwy, ponury i skory do podnoszenia ręki na Ellen przy byle okazji. Wystarczyło drobne uchybienie z jej strony, aby nie zawahał się uderzyć jej, popchnąć lub uszczypnąć. We wczesnym okresie ich małżeństwa, zanim jeszcze zaszła w ciążę, dwukrotnie uderzył ją pięścią w brzuch. Kiedy okazało się, że Ellen jest "przy nadziei", Conrad nieco pohamował swoje ataki, zadowolając się mniej brutalnym, ale równie przerażającym obrzucaniem jej inwektywami. Będac w drugim miesiącu ciąży, Ellen nieomal pragnęła wrócić do domu, do rodziców. Nieomal. Kiedy jednak myślała o upokorzeniach, jakich musiałaby doświadczyć, kiedy wyobraziła sobie siebie błagając Ginę o przebaczenie albo drwiąc pogardę matki, stwierdziła, że nie potrafi porzucić Strakera. Nie miała dokąd pójść.

W miarę jak dziecko w jej wnętrzu rosło, wmawiała sobie, że ono uspokoi i ulagodzi Conrada. Jej mąż naprawdę lubił dzieci. Było to widac po sposobie, w jaki traktował potomstwo pracowników lunaparku. Perspektywa ojcostwa wyraźnie go oczarowała. Ellen była pewna, iż obecność dziecka złagodzi temperament Conrada, że ożywi w nim czułość i troskliwość.

Dokładnie przed szescioma tygodniami, wraz z przyjściem na świat dziecka jej wiatle nadzieje prysły. Ellen nie poszła do

szpitala. W wesolym miasteczku nie robiono tego w ten sposob. Urodzila dziecko w przyczepie, pod okiem lunaparkowej akuszerki. Porod byl wzglednie latwy. Nie grozilo jej ani przez chwile zadne fizyczne niebezpieczenstwo. Nie bylo komplikacji. Tylko ze...

Dziecko.

Wzdrygnela sie z odrazy na mysl o dziecku i ponownie podniosla do ust szklaneczke z burbonem.

Zupelnie jakby wyczulo, ze o nim pomyslala, dziecko ponownie zapiszczalo.

-Zamknij sie! - wrzasnela przyciskajac dlonie do uszu. - Zamknij sie! Zamknij sie!

Nic z tego.

Kolyska trzesla sie i trzeszczala, kiedy rozwscieczone dziecko kopalo i wilo sie wewnatrz jak oszalale. Ellen wlala do szklaneczki reszte burbona i oblizala nerwowo wargi, czujac, ze zaczyna odzyskiwac sily. Wyszla z malenkiej klitki, zatrzymala sie w przedpokoju i stala tak przez chwile, kolyszac sie na ugietych nogach. Odglosy nadciągajacej burzy wydawaly sie glosniejsze niz dotychczas, ogniskujac sie na terenie zajetym przez wesole miasteczko i w szybkim tempie narastajac do wscieklego crescendo. Przemaszzerowala chwiejnie przez przyczepe i zatrzymala sie w nogach kolyski. Wlaczyla lampe rzucajaca lagodny, bursztynowy blask i cienie zrejterowaly, by zajac pozycje w odleglych katach pomieszczenia. Dziecko przestalo mocowac sie z kocykiem. Spojrzalo na nia, a jego oczy palaly nienawiscia. Poczula mdlosci.

ZABIJ TO - powiedziala sobie w duchu.

Ale zlowrogie spojrzenie dziecka wydawalo sie wrecz hipnotyczne. Ellen nie mogla oderwac wzroku od malego - jego oczy byly niczym oczy meduzy. Nie byla w stanie sie poruszyc; miala wrazenie, jakby obrocila sie w kamien. Blyskawica ponownie przemknela za szyba i wraz z hukiem gromu z nieba poplynely pierwsze grube krople deszczu.

Patrzyla ze zgroza na swoje dziecko, a na jej czole, tuz ponizej linii wlosow pojawily sie kropelki zimnego potu. Dziecko nie bylo normalne, nie bylo nawet prawie normalne - jednak nie istnialo zadne medyczne okreslenie na jego deformacje. Prawde mowiac trudno bylo w ogole okreslic je jako dziecko. To nie bylo ludzkie dziecko. To byl stwor. ISTOTA. Nie byla zdeformowana, raczej nalezala do gatunku zupelnie innego niz ludzki. Byla odrazajaca.

-Boze - westchnela Ellen. - Boze, dlaczego ja? Co uczynilam, ze zasluzylam na cos takiego?

Wielkie, zielone, nieludzkie slepia jej potomka przygladaly sie jej posepnie. Ellen miala ochote odwrocic sie od TEGO plecami. Chciala wybiec z przyczepy, w szalejaca burze i nieprzenikniony mrok, wyrwac sie z tego koszmaru i z nadzieja powitac nadejście nowego dnia. Zniekształcone nozdrza stworzenia wydymaly sie jak chrapy wilka czy psa. Ellen slyszala, jak mala istota weszy zapamietale, jakby usilowala rozroznic jej zapach sposrod wielu innych woni unoszacych sie wewnatrz przyczepy.

ZABIJ TO!

Biblia mowi - NIE ZABIJAJ. Morderstwo jest grzechem. Jezeli udusi dziecko, trafi do piekla. W jej glowie pojawila sie seria okrutnych obrazow, piekielnych wizji, jakie matka kreslila jej podczas tysiecy wykladow na temat potwornych konsekwencji grzechu: usmiechniete demony wyrrywajace kawalki tkanek z cial zywych, krzyczacych kobiet, ich skorzaste czarne wargi sliskie od ludzkiej krwi. Rozpalone do bialosci plomienie pozerajace ciala grzesznikow, blade robaki zerujace na wciaz jeszcze przytomnych umarlych, cierpiacy przerazliwe katusze ludzie, wijacy sie z bolu, zagrzebani w niemozliwym do opisania, straszliwym brudzie. Ellen nie czula sie teraz katoliczka, ale z cala pewnoscia pozostala nia w glebi serca. Cale lata codziennego uczeszczenia na msze i wieczornych modlitw, wysluchiwanie przez nie konczace sie dziewietnascie lat szalonych kazan Giny, ciagle strofowania i rady, ktorzych nie wolno bylo lekcewazyc i o ktorzych stale nalezalo pamietac. Ellen nadal z calego serca wierzyla w Boga, w niebo i pieklo. Ostrzezenia zawarte w Pismie Swietym w dalszym ciagu byly dla niej wazne. NIE ZABIJAJ. Ale przeciez jest oczywiste, skonstatowala, ze to prawo nie dotyczy zwierzat. Wolno zabijac zwierzeta, to nie jest smiertelny grzech. A ta istota w kolysce to nic innego jak zwierz, bestia, monstrum. To nie byl czlowiek. A wiec gdyby je zabila, czyn ten nie przypieczetowalby losu jej niesmiertelnej duszy. Z drugiej strony skad mogla miec pewnosc, ze to COS nie bylo czlowiekiem? Urodzilo sie z mezczyzny i kobiety. Nie ma innego bardziej fundamentalnego kryterium czlowieczentwa. Dziecko bylo mutantem, ale ludzkim mutantem. Jej dylemat wydawal sie nie do rozwiazania. Mala, sniada istotka w kolysce uniosla jedna raczke w strone Ellen. Wlasciwie to nie byla reka. To byl szpon. Dlugie, kosciste palce wydawaly sie zbyt duze jak na szesciotygodniowe niemowle, choc dziecko bylo calkiem spore. Dlon przypominala lape zwierzecia, nieproporcjonalnie wielka w porownaniu z reszta ciala. Wierzchy obu dloni porosniete byly gestym, ciemnym futrem zmieniajacym sie u podstawy palcow w krotka, ostra szczecine. Bursztynowe

swiatlo odbijalo sie od ostrych krawedzi trojkatnych, zaostzonych paznokci. Dziecko cielo rekoma powietrze, ale nie bylo w stanie pochwycic Ellen.

Nie potrafila zrozumiec, jak mogla urodzic cos takiego. Jakim cudem ten stwor mogl w ogole istniec? Wiedziala o istnieniu rozmaitych dziwolagow. Kilka z nich pracowalo w gabinecie osobliwosci w wesolym miasteczku. Wygladali okropnie, ale nie tak jak to COS. Zaden z nich nie byl tak dziwny jak ten stwor, który wylagl sie z jej lona. Dlaczego tak sie stalo? Dlaczego? Zabicie tego dziecka bedzie aktem milosierdzia. Przeciez ono i tak nigdy nie bedzie w stanie prowadzic normalnego zycia. Zawsze bedzie potworem, obiektem drwin i szyderstwa. Jego zycie zmieni sie w pasmo goryczy, smutku, bolu i samotnosc. Nie dane mu beda nawet najprostsze i najbardziej podstawowe przyjemnosc, nie mowiac juz o najmniejszej chocby odrobinie szczescia.

A gdyby zostala zmuszona przez reszte zycia opiekowac sie tym stworzeniem, ona rowniez nie zaznalaby szczescia. Perspektywa wychowywania tego groteskowego dziecka przepelniala ja rozpacza. Zamordowanie go bedzie aktem milosierdzia tak dla niej, jak i dla tego zalosnego, choc przerazajacego mutanta, który teraz lypal na nia z kolyski.

Ale kosciol rzymskokatolicki nie zezwala na zabojstwo "z milosierdzia". Nawet najszczytniejsze motywacje nie uchronia jej przed pieklem. A ona doskonale wiedziala, ze jej motywacje nie byly czyste. Chec pozbycia sie tego brzemienia wynikala poniekad ze zwyklego egoizmu.

Stwor w dalszym ciagu sie jej przygladal, a ona nieodmiennie miala wrazenie, ze nie tyle patrzy NA NIA, co raczej NA WSKROS niej, wdzierajac sie w glab jej umyslu i duszy. To WIEDZIALO, o czym myslala, i nienawidzilo jej za to.

Jego blady, cetkowany jezyk przesunal sie powoli po ciemnych, bardzo ciemnych wargach. Stwor syknal na nia zlowrogo.

Czy ta istota byla czlowiekiem, czy tez nie, Ellen czula, ze to COS jest zle. Nie bylo tylko zdeformowanym dzieckiem, ale czymś innym. Gorszym. Czymś wiecej, a zarazem czymś mniej anizeli czlowiek. Zlo. Czula prawdziwosc tych slow calym cialem i sercem.

A moze jestem nienormalna? - zastanawiala sie. Nie. Nie mogla sobie pozwolic na zwatwienie. Nie byla wariatka. Mozna bylo powiedziec o niej wiele - ze byla przygnebiona, przybita, zropaczona, przerazona, zastraszona, zaklopotana. Nie byla jednak szalona. Czula zlo emanujace z dziecka i jezeli o to chodzilo, jej percepcja dzialala idealnie.

ZABIJ TO.

Niemowle krzyknelo. Jego chrapiawy, pelen napiecia glos urazil nerwy Ellen. Skrzywila sie. Niesione wiatrem strugi deszczu zadudnily w dach przyczepy. Rozlegl sie grzmot. Dziecko wilo sie, miotalo i usilowalo odrzucic na bok cienki koc, którym bylo przykryte. Chwytajac koscistymi dlonmi brzegi kolyski, wczepilo sie w nie szponami, wyprezilo cale cialo, pochylilo sie do przodu i usiadlo.

Ellen wstrzymala oddech. Niemowle bylo zbyt male, aby moc podniesc sie i usiasc.

TO syknelo na nia.

Stwor rosl z przerazajaca szybkościa, byl stale glodny i pochlanial dwa razy tyle co normalne dziecko w jego wieku. Z tygodnia na tydzien zauwazala w nim zdumiewajace zmiany. Z zadziwiajaca, niepokojaca szybkościa uczyl sie wykorzystywac swoje cialo. Niedlugo bedzie umial raczkowac, a potem chodzic. I co wtedy? Jak duzy i szybki bedzie, zanim zupełnie straci nad nim kontrole? Usta miala wyschniete i czula w nich kwasny smak. Usilowala je zwilzyc, ale zabraklo jej sliny.

Struzka zimnego potu splynela jej od linii wlosow do kacika oka. Mrugnieciem powieki pozbyla sie slonego plynu. Gdyby mogla umiescic dziecko w zakladzie, gdzie bylo jego miejsce, nie musialaby go zabijac. Tylko ze Conrad nigdy nie zgodzilby sie na oddanie chlopca. Nie czul wobec niego odrazy ani sie go nie bal. Prawde mowiac zdawal sie cieszyc nim bardziej niz normalnym, zdrowym dzieckiem. Chlubil sie, ze jest ojcem, zas dla Ellen jego duma byla oznaka szalenstwa. Nawet gdyby doprowadzila do zamknienia dziecka w zakladzie, to rozwiazanie nie bylo by ostateczne. Zlo nie przestanie istniec. Wiedziala, ze dziecko bylo zle, nie miala co do tego watpliwosci i czula sie odpowiedzialna za sprowadzenie tej istoty na swiat. Nie mogla ot tak, po prostu odwrocic sie plecami i odejsc, pozwalajac by ktos inny zalatwil te sprawe za nia. A jezeli TO, doroslszy, kogos zabije? Czy odpowiedzialnosc za owa smierc nie spadnie rowniez na jej barki? Powietrze wpadajace przez otwarte okno bylo chlodniejsze niz przed deszczem. Chlodny podmuch musnal odsloniety kark Ellen.

Dziecko zaczelo proby wydostania sie z kolyski. Ellen, wzmocniona burbonem, wykrzesala z siebie resztki sil. Szczekajac zebami, z palcami drzacymi jak u alkoholika w czasie delirium powoli chwycila dziecko. Nie. Nie dziecko. COS. Nie mogla o TYM myslec jak o dziecku. Nie mogla sobie pozwolic na zadne sentymety. Musi dzialac. Musi byc zimna, twarda, nieugieta, nieublagana, bezwzgledna. Zamierzala uniesc odrazajaca kreature, wyjac poduszke w satynowej

powłoczce spod jej głowy, a potem udusić ją tą samą poduszką.

Nie chciała, by na ciele zostały jakiegokolwiek ślady. Śmierć musi wyglądać na naturalną. Bywa, że nawet zdrowe dzieci umierają w swoich kołyskach bez widocznej przyczyny - nikt nie będzie zdziwiony ani podejrzliwy, jeśli ten złośny zdeformowany potworek odejdzie cicho i spokojnie, we śnie.

Kiedy jednak wyjechała stworzenie z kołyski, zareagowało tak szokująca wściekłością, że jej plan w jednej chwili spalił na panewce. Stworzenie pisnęło i zaatakowało ją pazurami. Krzyknęła z bólu, kiedy ostre szpony wryły się w ciało i rozorały jej przedramiona.

Krew. Wąskie struzki krwi.

Dziecko zaczęło widać się i kopać. Ellen z trudem mogła je utrzymać. Stworzenie wydało zdeformowane wargi i splunęło na nią. Ohydna gruda żółtawej, cuchnącej płwociny trafiła jej w nos. Wzdrygnęła się i zakrztusiła. Dziecko - stworzenie wykrzywiło usta, obnazając cętkowane dziąsła i zasyczało. Grzmot znowu rozbił ciemność i światła wewnątrz przyczepy zamrugwały raz po raz. Zanim się zapaliły, oslepiająca błyskawica po raz kolejny rozcięła mrok.

Proszę, Boże, pomyślała zrozpaczona, nie zostawiaj mnie w ciemności z tym CZYMS.

Wylupiaste, zielone oczy potwora zdawały się emanować osobliwy blask, fosforyzująca poświata, która płynęła jakby z ich wnętrza. Stworzenie wilo i skrzeczało. Oddało moc. Serce Ellen zabiło żywiej. Istota szarpała jej ręce, rozdzierając skórę i tkanki, rozbryzgując wokół krew. Rozorwała miękkie ciało dłoni i zdarła paznokiec z jednego kciuka. Usłyszała dziwne, wysokie, piskliwe zawodzenie, nie przypominające niczego, co знаła dotychczas i dopiero po kilku sekundach usłyszała sobie, że wsłuchuje się we własny przeraźliwy, przeciągły wrzask. Gdyby mogła cisnąć to COS precz, obrocić się na pięcie i uciec, zrobiłaby to, ale nagle stwierdziła, że zwyczajnie nie jest w stanie się od TEGO uwolnić. Stworzenie kurczowo trzymało się jej ramion i nie puszczało.

Walczyła z nieludzką zawziętością, tak że o mało nie wywróciła kołyski. Jej cień skakał dziko po stojącym opodal łóżku i ścianie, zahaczając raz po raz o zaokrąglony sufit. Klnąc i wyteżając wszystkie siły, by utrzymać istotę na odległość wyciągniętych ramion, zdolowała zacisnąć najpierw lewą, a potem prawą dłoń na jego szyi, po czym wepchnęła stworzenie na dno kołyski i zaczęła dusić. Zaciskała palce najsilniej jak tylko mogła i zgrzytała zębami. Choć czuła odrazę wobec wściekłości, jaka wzbierała w jej wnętrzu, była zdecydowana wycisnąć ostatnie tchnienie z piersi małego monstrum.

Nie chciało łatwo umrzeć. Ellen zdumiała się, czując pod palcami twarde jak postronki, naprezzone mięśnie jego szyi. Przesunęła szpony wyżej na jej przedramiona i ponownie wbila paznokcie w skórę, otwierając nowe rany i powodując kolejne fale bólu. Ten właśnie ból nie pozwolił Ellen, by dała z siebie wszystko, gdy rozpaczliwie starała się udusić potwora. Stworzenie wywrócił oczyma, gesta ślina wypłynęła z jednego kącika jego ust i spłynęła po nierównej brodzie. Zdeformowane usta otworzyły się szeroko, ciemne skorzaste wargi poruszyły się. Wezwowy, błady, trójkątny język zwijał się i rozwijał obscenicznie. Dziecko z nieprawdopodobną siłą przyciągnęło Ellen ku sobie. Nie była w stanie utrzymać go na bezpiecznej odległości wyciągniętych ramion, tak jak tego pragnęła. TO nieublaganie ścigało ją w dół, w głąb kołyski, a jednocześnie samo podciągało się wyżej.

ZDYCHAJ, NIECH CIE WSZYSCY DIABLI! ZDYCHAJ!

Była teraz nachylona nisko nad kołyską. Jej uścisk na gardle dziecka w tej nowej pozycji zelżał. Twarz miała oddalona od ohydnej oblicza stworzenia zaledwie o osiem czy dziesięć cali. Spowila ją fala cuchnącego oddechu. Istota ponownie splunęła jej w twarz. Coś otarło się o jej brzuch.

Wstrzymała oddech i drgnęła.

Trzask rozdzieranego materiału... Jej bluzka.

Dziecko kopło obiema stopami o palcach zakończonych długimi szponami. Usiłowało rozorwać jej piersi i brzuch. Próbowano odsunąć się do tyłu, ale stworzenie przyciągało ją do siebie, nieustępliwie wykorzystując potworną, demoniczną siłę. Ellen zakreśliło się w głowie. Czuła się otepiała, oszołomiona, pijana i przerażona. Przed oczyma miała mgiełkę, a w uszach szum własnego oddechu, ale wydawało się jej, że nie oddycha dostatecznie szybko. Nie mogła pozbierać myśli. Pot spłynął jej z czoła na ciało dziecka, z którym uparcie walczyła.

Stworzenie uśmiechnęło się, jakby przeczuwał triumf.

Przegrywam, pomyślała zrozpaczona. Jak to możliwe? Moj Boże, TO mnie zabije. Grzmot przetoczył się po niebie, a z rozdarłej nocy wystrzeliła błyskawica. Piasek wiatru uderzył w bok przyczepy.

Swiatla zgasly.

I juz sie nie zapalily.

Dziecko walczyl w nowym przyplywie furii. Nie bylo slabe, jak ludzkie niemowle. W chwili urodzenia wazylo prawie jedenascie funtow i bliskawicznie przybieralo na wadze - przez ostatnie szesc tygodni zyskalo cale dwanascie funtow. Teraz wazylo prawie dwadziescia trzy funty. I nie byl to tluszcz, ale same miesnie. Krepe, mocno umiesnione dziecko, przypominajace mala malpe. Bylo zwawe, energiczne i silne niczym szesciomiesieczny szympans, ktory wystepowal jako jedna z atrakcji wesołego miasteczka.

Kolyska przewrocila sie z traskiem, a Ellen stracila rownowage. Upadla, razem z dzieckiem. Bylo teraz bardzo blisko niej. Nie znajdowalo sie juz w bezpiecznej odleglosci wyciagnietych rak. Lezalo na niej. Belkotalo. Warczalo. Oparlo szponiaste stopy na jej biodrach i usilowalo rozedrzec material grubych dzinsow.

-Nie! - krzyknela.

MUSZE SIE OBUDZIC! - przemknelo jej przez glowe.

Ale wiedziala, ze to nie sen.

Stwor nadal trzymal ja za prawa reke. Wbil pazury w cialo, ale puscil lewe ramie. W ciemnosci poczula, ze zakrzywiony szpon siega do jej gardla i odslonietej tetnicy szyjnej. Odwrocila glowe w bok. Mala, ale zabojcza dlon o niewiarygodnie dlugich palcach smignela tuz obok jej szyi, mijajac ja o wlos.

Przeturlala sie po ziemi i dziecko - stwor znalazlo sie pod nia. Jeczac i szarpiaac sie, bliska hysterii, uwolnila prawa reke ze stalowego uscisku stworzenia kosztem kolejnej fali bolu. Odnalazla jego dlonie i odsunela je od swojej twarzy. Istota ponownie usilowala kopnac ja w brzuch, ale zdolala uniknac tych krotkich, silnych nog. Oparla kolana na piersi stwora, przyspilajac go do podlogi. Naparla nan z calej sily. Zebra i mostek potwora popekaly pod jej ciezarom. Uslyszala, jak cos wewnatrz trzasnelo. Istota zawyla jak wilkolak. Ellen wiedziala juz, ze ma cien szansy na przezycie. Dal sie slyszec przyprawiajacy o mdlosci trzask, wilgotne plasniece, przerazliwy chrobot i chrzest, po czym jej przeciwnik nagle oslabil. Jego rece zwiotczaly i przestaly stawiac opor. W jednej chwili stworzenie zamilklo i znieruchomialo.

Ellen obawiala sie uniesc kolana z jego piersi. Byla pewna, ze stworzenie tylko udawalo, ze nie zyje. Gdyby choc troche sie uniosla, dala mu najmniejsza szanse, istota zaatakowalaby jak waz, rzucajac sie z pazurami do jej gardla, a potem rozplatalaby jej brzuch i wyprula wnetrznosci dlugimi, zakrzywionymi szponami u stop.

Mijaly sekundy.

A potem minuty.

W ciemnosci zaczela odmawiac pospiesznie cicha modlitwe: "Jezu, dopomoz mi. Swieta Eleonoro, moja patronko, wstaw sie za mna. Swieta Mario, Matko Boza, uslysz mnie, wspomoz mnie. Prosze, prosze, prosze. Mario, pomoz mi. Mario, pomoz mi"...

Prad znow wlaczone, a gdy nieoczekiwanie rozblysko swiatlo, Ellen mimowolnie krzyknela. Pod nia lezala na plecach istota - dziecko. Krew wciaz jeszcze plynela mu z nozdrzy i ust, a blyszczace, przekrwione oczy patrzyly w gore. Na nia. Ale juz jej nie widzialy. Ogladaly inny swiat, czelusc piekielna, do ktorej odeszla jego dusza - naturalnie jesli to COS w ogole ja mialo. Na podlodze bylo sporo krwi. Wiekszosc nie pochodzila z zyl Ellen.

Puscila dziecko - potworka.

Nie ozylo w czarodziejski sposob, czego sie w gruncie rzeczy spodziewala. Nie zaatakowalo. Wygladalo jak wielki, rozgnieciony robak. Odczolgalala sie od trupa, nie spuszczaac go ani na chwile z oka, nie byla bowiem w pelni przekonana, ze nie zyje. Na razie nie miala dosc sil, aby wstac. Podpelzla do pobliskiej sciany i usiadla, opierajac sie o nia plecami. Nocne powietrze przesycone bylo miedzianym odorem krwi, wonia jej potu i ozonem burzy. Stopniowo ciezki, przyspieszony oddech Ellen zmienil sie w lagodna rytmiczna kolysanke wdechu, wydechu, wdechu...

W miare jak jej rytm serca z wolna wracal do normy, a strach znikal, zaczela uswiadamiac sobie obecnosć bolu. Ognisk cierpienia bylo wiele. Bolaly ja wszystkie stawy i miesnie, nadwyrezone wskutek mocowania sie z dzieckiem. Jej lewy kciuk, pozbawiony paznokcia, ociekal krwia. Obnazone cialo palilo jak zzerane kwasem. Zdarte do zywego, pociete palce palily zywym ogniem, a rozplatanie wnetrze prawej dloni pulsowalo tepym bolem. Oba przedramiona miala pokryte glebokimi krwawiacymi bruzdami, sladami szponow potworka. Na obu jej ramionach widnialo piec paskudnych, ociekajacych krwia nakluc.

Zaczęła płakać. Nie tylko z powodu fizycznego bólu. Płakała z powodu dojmującej udreki, stresu i strachu. Lzami była w stanie choć trochę ukoić stargane nerwy i zmyć część brzośnia winy, jakie spoczywało na jej barkach.

JESTEM MORDERCZYŃIA.

NIE. TO BYŁO TYLKO ZWIERZE.

TO BYŁO MOJE DZIECKO.

NIE DZIECKO. COS. KLATWA.

Wciąż jeszcze kłóciła się ze sobą, usiłując znaleźć jakieś racjonalne usprawiedliwienie, które pozwoliłoby jej żyć ze świadomością tego, co uczyniła, kiedy drzwi przyczepy otworzyły się na oścież i do środka wszedł Conrad oświetlony stroboskopowym blaskiem błyskawicy. Miał na sobie plastikowy, ociekający deszczem płaszcz. Jego czarne włosy były pozlepiane w straki, kilka kosmyków przylegało do szerokiego czoła. Omiatany podmuchem wiatru, jak wielki pies okrzykił pomieszczenie, z zaciekawieniem obwachując wszystko. Ellen ponownie poczuła nieopanowaną, chwytającą za gardło grozę.

Conrad zatrzasnął drzwi. Obracając się ujrzał ją siedzącą na podłodze, plecami do ściany, w podartej bluzce, z okrwawionymi ramionami i dłońmi. Chciała wyjaśnić, dlaczego zabiła dziecko, ale nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Jej usta poruszyły się, ale wypłynął spomiędzy nich jedynie ochryply, przerażony charkot.

Przenikliwe niebieskie oczy Conrada przez chwilę przepelniało zakłopotanie. Naraz jego spojrzenie przeniosło się z Ellen na okrwawione, skulone dziecko leżące o kilka stop od niej na podłodze. Jego potężne dłonie zacisnęły się w wielkie, twarde pięści.

-Nie - rzekł półgłosem, z niedowierzaniem. - Nie... nie... nie...

Podszedł wolno do małego trupka. Ellen uniosła wzrok i spojrzała na niego z narastającym lękiem. Conrad, oszołomiony, przyklął przy martwym stworzeniu i przyglądał mu się przez chwilę, która zdawała się wiecznością. Nagle lzy pociekły mu po policzkach. Ellen nigdy dotąd nie widziała go płaczącego. W końcu unosił bezwładne ciało i przytulił do piersi. Jasna krew dziecka - potworka skapnęła na plastikowy płaszcz.

-Moje dziecko, moje małe dziecko, mój kochany mały chłopiec - wyszeptał melodyjnie Conrad. - Mój chłopczyk... mój syn... co się z tobą stało? Co ona ci zrobiła? Co ona zrobiła?

Narastający w Ellen strach dodał jej nowych sił, aczkolwiek niezbyt wiele. Podpierając się jedną ręką o ścianę, podniosła się powoli. Nogi jej drżały, kolana miała tak miękkie, jakby miały ugiąć się pod nią przy pierwszym kroku.

Conrad usłyszał, że się poruszyła. Spojrzał na nią.

-Ja... ja... musiałam to zrobić - rzuciła drżąc. Jego niebieskie oczy były zimne. - TO mnie zaatakowało - stwierdziła.

Conrad położył trupka na podłodze. Zrobił to delikatnie i z czułością. Wobec mnie nie będzie równie delikatny, pomyślała Ellen.

-Proszę, Conrad. Proszę, zrozum. Podniósł się i podszedł do niej. Miała ochotę uciec, ale nie mogła.

-Zabiła Victora - rzucił ostro Conrad.

Nadal dziecku - potworkowi imię - Victor Martin Straker, co Ellen wydało się absurdalne. Bardziej niż absurdalne. Niebezpieczne. Gdybyś zaczął zwracać się do tego po imieniu, mogłbyś zacząć myśleć o tym jak o ludzkim dziecku. A to nie był człowiek. TO NIE BYŁ CZŁOWIEK, do cholery! To było zło. Czart. Gdy znajdowałeś się w pobliżu niego, musiałeś być stale czujny. Sentymenty czyniły cię bezbronny i słabym. Nie chciała nazywać tego Victorem. Wzbraniała się również przed przyznaniem wobec samej siebie, że TO miało pleć.

To nie był mały chłopiec. To było małe ZWIERZE.

-Dlaczego? Dlaczego zabiła mojego Victora?

-TO mnie zaatakowało - powtórzyła.

-Kłamiesz.

-Tak bylo!

-Klamliwa suka.

-Spojrz na mnie! - Uniosla do gory krwawiace rece. - Spojrz, co mi zrobilo! Smutek na twarzy Conrada ustapil miejsca grymasowi najczarniejszej nienawisci.

-Probowalas go zabic, a on tylko sie bronil.

-Nie. To bylo okropne. Straszne. TO drapalo mnie pazurami. Probowalo rozszarpac mi gardlo. Usilowalo...

-Zamknij sie - rzucil przez zacisniete zeby.

-Conradzie, wiesz dobrze, ze TO bylo brutalne. Ciebie tez nieraz podrapalo. Jezeli spojrzysz prawdziwie w oczy, zajrzysz w glab wlasnego serca, z pewnoscia przyznasz mi racje. Nie stworzyliśmy dziecka. Stworzyliśmy POTWORA. COS. I to bylo zle. Bylo wcieleniem diabla, Conradzie. To...

-Mowilem juz, zebys zamknela ten swoj pieprzony pysk, parszywa dziwko. Dygotal z wscieklosci. Jego wargi pokryly sie plamkami bialawej piany. Ellen skulila sie.

-Wezwiesz policje?

-Wiesz, ze my, z wesolego miasteczka, nigdy nie uciekamy sie do pomocy glin. Sami zalatwiamy wlasne problemy. Doskonale potrafie zalatwic sprawy z taka szumowina jak ty.

Zamierzal ja zabic. Byla o tym przekonana.

-Zaczekaj, posluchaj, pozwol mi wyjasnic. Jakie TO mialo miec zycie? - rzucila z rozpacza w glosie.

Conrad spojrzal na nia. Jego oczy przepelnial lodowaty gniew... i szalenstwo. Przeszyl ja chlodnym spojrzeniem i nieomal poczula, jak wskutek jakiejs powolnej, bezszelestnej, ledwie wyczuwalnej, lecz piekielnie niszczonej eksplozji cale jej cialo przesywaja odlamki lodu. To nie byly oczy normalnego czlowieka.

Zadrzala.

-Mialoby okropne, ponure zycie. Byloby dziwolagiem, wyszydzanym, odrzucanym i pogardzanym. Nie potrafiloby cieszc sie najzwyczajniejszymi przyjemnosciami. Nie zrobilam nic zlego. Po prostu wybawilam te zalosna istote od czekajacych ja nieszczes i trosk. To wszystko. Uchronilam je przed latami samotnosci i...

Conrad spoliczkowal ja. Mocno.

Rozejrzala sie goraczkowo w prawo i w lewo, nie dostrzegajac zadnej mozliwosci uciezki. Ostre, wyraziste rysy Conrada nie wygladaly juz na arystokratyczne. Jego twarz byla przerazajaca, sroga, a rzezbiona przez cienie przypominala zlowrogi, dziki pysk wilka.

Podszedl blizej i ponownie uderzyl ja w twarz. Potem uzyl piesci, trafiajac raz, drugi i trzeci w brzuch i w zebra. Byla zbyt slaba, zbyt wyczerpana, by stawic mu opor. Osunela sie nieuchronnie ku podlodze i, jak przypuszczala, ku niechybnej smierci.

SWIETA MARIO, MATKO BOSKA!

Conrad uniosl ja w gore jedna reka i w dalszym ciagu policzkowal, klnac przy kazdym uderzeniu. Ellen stracila juz rachube otrzymanych uderzen i nie byla w stanie odroznic kolejnych fal bolu od tych, ktore odczuwala dotychczas. Wreszcie zemdlala.

Po jakim czasie powrocila z mrocznego miejsca, gdzie gardlowe glosy wygrazaly jej w dziwnych jezykach. Otworzyła oczy i przez chwile nie wiedziala, gdzie sie znajduje.

I wtem ujrzala male, upiorne zwloki lezace o kilka stop od niej, na podlodze. Zdeformowane oblicze, zastygłe na zawsze w upiornym, zlowieszczym grymasie, bylo odwrocone w jej strone.

Krople deszczu bebnily w zaokrąglony dach przyczepy.

Ellen uniosla sie z podlogi. Usiadla. Czula sie okropnie, jakby miala poobijane wszystkie wnetrznosci.

Conrad stał przy lozku i wrzucał ubranie do jej walizki.

Nie zabił jej. Dlaczego? Zamierzał zatłuc ją na śmierć, była o tym przekonana. Dlaczego zmienił zdanie?

Z jękiem podniosła się na kolana. Poczula krew, kilka zębów miała obłuzowanych. Z ogromnym wysiłkiem wstała i wyprostowała się.

Conrad zatrzasnął walizki, przeszedł z nimi obok Ellen, otworzył drzwi przyczepy i wyrzucił bagaże na zewnątrz. Jej torebka leżała na kuchennej ladzie. Cisnął ją w ślad za walizkami. Odwrócił się do niej.

-Teraz ty. Wypieprzaj stąd i nigdy nie wracaj.

Nie wierzyła, że pozwoli jej żyć. To musiała być jakaś sztuczka. Teraz mówił podniesionym głosem:

-Wynos się stąd, kurwo! Ruszaj w drogę! Natychmiast! Chwiejnie, jak zrebak stawiający pierwsze kroki, Ellen minęła Conrada. Była spięta, spodziewała się kolejnego ataku, ale nie podniosła na nią ręki.

Kiedy dotarła do drzwi, gdzie niesiony wiatrem deszcz chłostał prog, Conrad powiedział:

-Jeszcze jedno.

Odwróciła się do niego, unosząc rękę, by osłonić się przed nieuchronnym w jej mniemaniu ciosem.

On jednak nie zamierzał jej uderzyć. Był nadal wściekły, ale już w pełni nad sobą panował.

-Pewnego dnia, w zwykłym świecie, poślubisz jakiegoś mężczyznę. Bedziesz miała następne dziecko. Może dwoje albo troje.

W jego złowieszczym głosie kryła się groźba, ale była zbyt oszołomiona, by zrozumieć, co sugerował. Czekala, aż powie coś więcej. Jego wąskie, bezkrwiste wargi rozchyliły się z wolną w lodowatym uśmiechu.

-Kiedy znowu będziesz miała dzieci, kiedy zechcesz mieć dzieci, które będziesz hołubić i kochać, przyjdę i odbiorę ci je. Obojętne dokąd się udasz, obojętne jak daleko i ile razy zmienisz nazwisko. Odnajdę cię. Przysięgam, że cię znajdę. Odnajdę cię, a potem odbiorę ci dzieci, tak jak ty odebrałaś mi syna. Zabije je.

-Jestes szalony - powiedziała.

Jego uśmiech wyglądał jak szeroki, pozbawiony wesołości grymas kociotrupa.

-Nie ma takiego miejsca, w którym mogłabyś się ukryć. Nigdzie, na całym świecie nie znajdziesz dla siebie spokojnej przystani. Żaden zakątek świata nie będzie dla ciebie bezpiecznym miejscem. Dopóki żyjesz, będziesz musiała stale oglądać się przez ramię. A teraz spadaj, dziwko. Wynos się, zanim mimo wszystko zdecyduje się rozwalić ci łeb.

Ruszył w jej stronę.

Ellen szybko minęła drzwi i zeszła po dwóch metalowych schodkach w ciemność. Przyczepa stała na niewielkiej polance, otoczonej drzewami, ale w gorze nie było galezi, które mogłyby zatrzymać siekące strugi deszczu. W kilka sekund Ellen była przemoczona do suchej nitki. Przez chwilę w otwartych drzwiach widac było sylwetkę Conrada skapaną w bursztynowym świetle płynącym z wnętrza przyczepy. Przyglądał się jej. W końcu gwałtownie zatrzasnął drzwi.

Otoczały ją zewszad drzewa kolysane podmuchami wiatru. Liście wydawały dzwiek kojarzący się z szarpaną bezlitosnie i ciskana precz nadzieją. Wreszcie Ellen podniosła swoją torebkę i ubłocone walizki.

Przeszła przez parking dla pojazdów wesołego miasteczka, mijając inne przyczepy, ciężarówki i samochody, a pod natarczywymi palcami ulewy każdy z wozów wydawał drobne, ulotne nutki, składające się na symfonię burzy. W niektórych przyczepach miała przyjaciół. Lubila większość pracowników lunaparku, których poznała, i wiedziała, że wielu z nich również darzyło ją sympatią. Kiedy tak brnęła przez błoto, spoglądała tęsknie w stronę oświetlonych okien, ale mimo to nie zatrzymała się. Nie była pewna, jak jej przyjaciele zareagowałiby na wiadomość, że właśnie zabiła Victora Marina Strakera. Pracownicy lunaparku byli przeważnie wyrzutkami, ludźmi, którzy nie pasowali nigdzie indziej. Gorliwie chronili swoich, a wszystkich innych uważali za frajerów, których w ten czy inny sposób należy oszwabić. Silna wiec, jaka ich łączyła, mogła sięgać nawet owego dziecka - potworka. Co więcej, istniało spore prawdopodobieństwo, że opowiedza się raczej po stronie Conrada niż jej. Już rodzice Strakera pracowali w lunaparku, podczas gdy ona rozpoczęła wędrowną karierę w wesołym miasteczku zaledwie przed czternastoma miesiącami.

Maszerowała przed siebie.

Wyszła z gąszczy i znalazła się na głównym placu lunaparku. Teraz, kiedy była nie osłonięta, strugi deszczu siekły ją z jeszcze większą zaciętością niż między drzewami. Grube krople rozpryskiwały się na ziemi, w zwirowych alejkach i splachetkach trocin rozsypanych wokół. Wesole miasteczko spało. Palilo się tylko kilka lamp. Kolysały się na szarpanych wiatrem przewodach tworząc amorficzne, tańczące cienie. Wszystkie ślady ludzi zniknęły, zatarte przez fatalną pogodę. Lunapark był opustoszały. Ellen zobaczyła jedynie dwóch karłów w złotych olejówkach. Przemknęły między milczącą karuzelą i "Młotem", a potem obok jaskrawo udekorowanego salonu tanca erotycznego, spoglądając na Ellen. Ich oczy, w cieniu naciągniętych głęboko kapturów, wydawały się jasne niczym księżycy i pytające.

Ruszyła w stronę frontowej bramy. Kilkakrotnie obejrzała się za siebie w obawie, że Conrad mimo wszystko zmieni zdanie i ruszy za nią w pogon.

Ściany namiotów wydymały się i pływały, targane wiatrem, który bezlitosnie szarpał liny przymocowane do kółek.

Pośród strug zacinającego deszczu, przepłatanych wąskimi pasmami mgły, widac było mroczne koło Diabelskiego Młyna, unoszące się niczym osobiwy, tajemniczy prehistoryczny szkielet, jego znajome kontury w nocy i we mgle wydawały się zniekształcone i jakby zamazane. Minęła również Tunel Strachu. Był on własnością i chluba Conrada. Pracował tam przez cały dzień. Ze szczytu Tunelu Strachu patrzyła na nią głowa wielkiego, usmiechniętego klauna. Dla żartu artysta nadal mu rysy twarzy Conrada. Ellen nawet w półmroku mogła dostrzec podobieństwo.

Miała niepokojące wrażenie, że wielkie namalowane oczy klauna przez cały czas ją obserwują. Odwróciła wzrok w drugą stronę i przyspieszyła kroku.

Kiedy dotarła do głównej bramy lunaparku, zatrzymała się. Dopiero teraz uswiadomiła sobie, że właściwie nie wie, co ze sobą zrobić. Nie miała dokąd pójść. Nie miała nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić. Zawodzący wiatr zdawał się z niej drwić.

* * *

Później tej samej nocy, kiedy front burzowy już przeszedł i padała jedynie lekka, szara mżawka, Conrad wszedł na spowitą mrokiem karuzelę, pośrodku centralnej alejki. Zamiast na koniu usiadł na barwnie pomalowanej, misternie rzeźbionej ławeczce. Cory Baker, który obsługiwał karuzelę, stanął przy konsoli kontrolnej za kasa. Włączył światła karuzeli. Uruchomił potężny silnik, przesunął dźwignię i platforma zaczęła obracać się do tyłu. Rozległa się głośna muzyka, ale nie była w stanie rozproszyć pośpiesznej atmosfery otaczającej całą ceremonię. Mosiężne słupki przesunęły się rytmicznie w górę i w dół, w górę i w dół. Drewniane ogiery galopowały do tyłu, ogonami naprzód, w kółko, w kółko, bez końca. Conrad, samotny pasażer, patrzył przed siebie. Usta miał zacisnięte, twarz pośpieszna.

Taka przejazdka na karuzeli oznaczała w tradycji lunaparku rozwiązanie małżeństwa. Kiedy młodzi chcieli się pobrać, jeździli na karuzeli kręcąc się normalnie, to znaczy do przodu. Jeżeli ktoś z nich chciał rozwodu, otrzymywał go po samotnej przejeździe na karuzeli obracającej się wstecz. Te ceremonie dla ludzi z zewnątrz wydawały się absurdalne, ale w rozumieniu pracowników lunaparku ich tradycje były mniej bezsensowne niż wszelkie religijne i prawne rytuały normalnego świata.

Pięcioro pracowników lunaparku, świadków rozwodu, przyglądało się karuzeli. Cory Baker z żoną. Zena Penetsky, jedna z dziewcząt uprawiających taniec erotyczny. Dwa dziwolagi - gruba kobieta z brodą oraz człowiek aligator, o skorze grubej i pokrytej łuskami. Zbili się w ciasną gromadkę pośród siąpiącego deszczu, obserwując w milczeniu, jak Conrad przemyka w kółko poprzez chłodne powietrze i mgłę, przy dźwiękach hałaśliwej muzyki.

Kiedy karuzela wykonała sześć pełnych obrotów przy normalnej prędkości, Cory wyłączył silnik. Platforma zaczęła zwalniać. Czekając, aż karuzela się zatrzyma, Conrad pomyślał o dzieciach, które Ellen urodzi... któregoś dnia. Uniosł obie dłonie w górę i spojrzał na nie, usiłując wyobrazić je sobie czerwone od krwi potomka Ellen. Za kilka lat ona na pewno znów wyjdzie za mąż. Była zbyt piękna, aby miała pozostać sama. Za dziesięć lat będzie miała co najmniej jedno dziecko. Za dziesięć lat Conrad zacznie jej szukać. Wynajmie detektywa, nie będzie szczędził grosza. Wiedział, że do rana Ellen przestanie traktować jego groźbę poważnie, ale ON nigdy nie zapomni o swojej złowrożej obietnicy. A kiedy po latach odnajdzie ją, gdy Ellen będzie już czuła się pewnie i bezpiecznie, odbierze jej to, co dla niej najcenniejsze. Conrad Straker, którego życie było jednym długim pasmem nieszczęść i niepowodzeń, nareszcie miał po co żyć. Odnalazł swój prawdziwy cel.

Zemście.

* * *

Ellen spędziła noc w motelu niedaleko wesołego miasteczka. Nie spała dobrze. Chociaż opatrzyła rany, wciąż odczuwała dojmujący ból i nie potrafiła znaleźć dla siebie wygodnej pozycji. Co gorsza, za każdym razem, kiedy przysypiała na kilka minut, zaczynały dręczyć ją krwawe koszmary. Obudziwszy się, patrzyła w sufit zamartwiając się o własną przyszłość. Dokąd pójdzie? Co zrobi? Nie miała zbyt dużo pieniędzy. W przyprawie rozpacz rozważała nawet możliwość popełnienia samobójstwa, szybko jednak odegnęła od siebie te myśli. Może nie pójdzie do piekła za zabicie dziecka - potworka, ale za odebranie sobie życia z całą pewnością zostałaby potępiona.

Dla katolika samobójstwo jest grzechem śmiertelnym.

Ellen, która w formie reakcji na religijne opętanie matki zerwała więź z kościołem i na kilka lat utraciła wiarę, stwierdziła, że teraz NAPRAWDĘ WIERZY. Znowu była katoliczka i pragnęła oczyszczenia, jakie daje spowiedź, oraz duchowego wsparcia mszy świętej. Narodziny tego groteskowego, złego dziecka, a zwłaszcza ostatnia z nim walka przekonały Ellen, że istnieje coś takiego jak pojęcie dobra i zła, i że na świecie rzeczywiście działają siły Boga i Szatana.

Leżąc w motelowym łóżku, nakryta przescieradłem po sama brode, tej nocy bardzo często się modliła.

Przed świtem zdołała w końcu przespac kilka godzin bez mrocznych, złowrogich koszmarów, a kiedy się obudziła, nie czuła się już przygnębiona. Depresja minęła. Przez wysokie okno wpadł złoty promień słonecznego światła i zatrzymał się na jej ciele. Ellen rozkoszowała się tym ciepłem i jasnością. Znowu zaczęła odczuwać nadzieję. Conrad został za nią. Na zawsze. Dziecko - potworek odeszło. Na zawsze. Świat był pełen interesujących możliwości. Doświadczyła tak wiele strachu i bólu, że miała ogromne zaległości, jeśli chodzi o szczęście.

Zupełnie zapomniała o pogrozkach Conrada.

Był wtorek, szesnastego sierpnia 1955 roku.

CZESC PIERWSZA

AMY HARPER

1

W noc balu maturalnego Jerry Galloway zapragnął kochać się z Amy Harper, co bynajmniej jej nie zaskoczyło. Zawsze miał ochotę na seks. Stałe wyciągał po nią lapska. Nigdy nie miał jej dość. Ale Amy zaczynała mieć dość Jerry'ego. Prawda powiedziawszy miała go po dziurki w nosie. Była w ciąży. Za każdym razem, kiedy o tym myślała, czuła w piersi zimny, nieprzyjemny ucisk. Bąła się przyszłości - upokorzenia, rozczarowania ojca, gniewu matki. Wzdrygnęła się. Kilkakrotnie tego wieczoru Jerry widział jej drżenie, ale sadił, że winę za to ponosi powiew chłodnego powietrza z klimatyzatora w sali gimnastycznej. Amy miała na sobie koronkową zieloną sukienkę bez ramiączek i Jerry raz po raz proponował, aby narzuciła na ramiona szal. Przetanczyli tylko kilka szybkich utworów, ale nie opuścili ani jednego wolnego. Jerry lubił spokojne tance. Uwielbiał przytulać Amy i przywierać do niej całym ciałem, gdy nieco niezgrabnie przesuwali się po parkiecie. Tancząc, szeptał jej do ucha, mówił, że wygląda wspaniale, że jest najseksowniejsza istota, jaką kiedykolwiek widział, że wszyscy inni faceci pozadłwiwie wpatrują się w jej dekolt i że to bardzo, naprawdę bardzo go rajcuje. Przywarł do niej tak mocno, że mogła wyczuć jego erekcję. Chciał tego. Chciał, żeby wiedziała, że go podnieca. W mniemaniu Jerry'ego erekcja była dla Amy największym komplementem. Jerry był dupkiem.

Amy pozwoliła, żeby odprowadził ją przez zatłoczoną salę, tak jak wcześniej pozwoliła mu, aby ocierał się o nią pod pretekstem tańca. Zastanawiała się, dlaczego w ogóle pozwoliła mu się tknąć. Przecież ten gość to zwyczajny kretyń.

Fakt, był przystojny. Należał do najprzystojniejszych chłopców z klasy maturalnej. Wiele dziewczyn uważało, że Amy chwyciła pana Boga za nogi, kiedy zaczęła chodzić z Jerryem Gallowayem. Ale nie oddajesz się facetowi tylko dlatego, że jest przystojny, powiedziała do siebie. Moj Boże, przecież musisz mieć choć odrobinę wyższe ambicje! Jerry był urodziwy, ale jego inteligencja nie dorównywała urodzie. Nie był mądry ani nawet sprytny, łagodny czy choćby taktowny. Uważał się za cwaniaka i był dobry w odgrywaniu Joe College'a. Mimo to nie miał za grosz charakteru. Amy rozejrzała się wokół, zerkając na inne dziewczyny w jedwabnych, koronkach i szyfonach, z wydekoltowanymi stanikami i wysokimi taliami w wytwornych sukienkach bez pleców, w pantoflach na obcasach, szpanujące wymyślnymi fryzurami, starannie nałożonym makijażem i pożyczoną biżuterią. Wszystkie śmiały się i udawały doświadczony, zblazowane damy. Amy zazdrościła im. Tak dobrze się bawily.

A ona była w ciąży.

Bąła się, że się rozplacze. Przygryzła język i powstrzymała łzy. Bal miał trwać do pierwszej po północy. Później od wpol do drugiej do trzeciej przewidziano wytworne przyjęcie w jednej z najlepszych restauracji w mieście.

Amy otrzymała pozwolenie pojscia na bal, ale nie wolno jej było isc na przyjęcie. Jej ojciec nie miał nic przeciwko temu, ale matka jak zawsze się sprzeciwiła. Ojciec powiedział, że może zostać do trzeciej, bo to noc jedyna w swoim rodzaju, ale matka chciała, by wróciła do domu o dziesiątej, całe trzy godziny przed koncem balu. Amy zawsze musiała być w domu wcześniej - o dziesiątej w weekendy, a o dziewiątej w dni, kiedy miała szkole. Dzisiaj jednak ojciec wstał się za nią i matka, aczkolwiek niechętnie, ustąpiła. Amy mogła wrócić do domu dopiero o pierwszej. Matka nie lubiła ustępstw. Później na sto różnych drobnych sposobów sprawiła, aby Amy jej za to zapłaciła. Gdyby matka miała ostateczne zdanie, pomyślała Amy, i gdyby tato nie ujął się za nią od czasu do czasu, nigdy nie umówiłabym się na żadną randkę. Nie mogłabym nigdzie wyjść, chyba że do kościoła.

-Jesteś bombowa - wyszeptał Jerry Galloway, zapraszając ją do kolejnego tańca. - Cholernie mnie rajcujesz, mała.

Kochana, najdroższa mamusiu, pomyślała z gorącością Amy, spojrz tylko, do czego doprowadziły twoje reguły i zakazy. Wszystkie twoje modlitwy, wszystkie te lata, kiedy trzy, cztery czy nawet pięć razy w tygodniu zaciągałaś mnie do kościoła... i co wieczór odmawianie różańca przed snem. Widzisz, mamo? Widzisz, do czego to doprowadziło? Jestem w ciąży. Będzie miała male. Co pomyślałbyś o tym Jezus? I co ty o tym pomyślisz, kiedy się dowiesz? Co powiesz na to, że będziesz miała wnuka bękartą, matko?

-Znowu drzysz - zauważył Jerry.

-Chłodno mi trochę.

Pare minut po dziesiątej, kiedy orkiestra grała "Scarborough Fair", a Jerry popychał Amy po parkiecie, zaproponował, aby się urwali i spędzili resztę wieczoru razem, po swojemu: tylko ich dwoje, dających sobie nawzajem (jak to określił) dowody miłości. To miała być szczególna noc dla dziewczyny, noc zgromadzenia wielu przyjemnych wspomnień na kolejne lata, a nie byle jaki szybki numer na tylnym siedzeniu samochodu jej chłopaka. Poza tym przyjechali na tańce zaledwie dwie i pół godziny temu. Jerry był diabelnie napalony i egoistycznie zaślepiony pragnieniem seksu. W gruncie rzeczy, upomniała sama siebie, był on tylko zadnym wraz z nastolatkiem, a nie prawdziwym mężczyzną i z całą pewnością nie miał w sobie ani krzty romantyzmu. Poza tym i tak nie czuła się tu dobrze. Miała zbyt wiele problemów, którymi bez przerwy się zadreślała. Zgodziła się wyjść z nim, choć jej plany na ten wieczór nie zawierały seksu na parkingu, w samochodzie z zaparowanymi szybami, o czym przez cały czas myślał Jerry.

Kiedy wychodzili z sali gimnastycznej, która zespół dekoratorów rozpaczliwie starał się zmienić na balową, Amy ze smutkiem obejrzała się za siebie, spoglądając ostatni raz na ozdoby z krepiny, sreberka i kolorowych papierowych chusteczek. Światła były przygaszone. Obrotowa lustrzana kula wisząca pod sufitem kreciła się powoli, rzucając różnobarwne refleksy, gdy promień światła odbijał się w którejś z jej tysiąca fasetek. Sala powinna wydawać się egzotyczna, wręcz czarodziejska. W Amy widok ten budził jedynie uczucie smutku.

Jerry miał starannie utrzymany, zawsze wypucowany dwudziestoletni chevrolet. Wyjechał z miasta wzdłuż wąskiej, krętej Black Hollow Road. W końcu skręcił w jednokierunkową przecznice, wjechał na gruntową drogę biegnącą wzdłuż rzeki i wprowadził samochód pomiędzy gęste krzewy i rozłożyste, choć rzadkie drzewa.

Wylączył reflektory, zgasił silnik i opuścił kilka cali szyby, aby wpuścić do środka ciepły podmuch świeżego, nocnego powietrza.

Zwykle parkowali właśnie w tym miejscu. To właśnie tutaj Amy zaszła w ciążę.

Jerry wysliznął się zza kierownicy. Uśmiechnął się do niej, a jego ręce zdawały się świecić w blasku księżycy, przebijającym pomiędzy drzewami i wpływającym przez przednią szybę do wnętrza wozu. Ujął Amy za rękę i delikatnie położył ją sobie między nogami.

-Czujesz to, malenka? Widzisz, jak mnie podpalilas?

-Jerry...

-Żadna dziewczyna nigdy tak mnie nie rajcowała jak ty. - Wsunął rękę za jej stanik i zaczął obmacywać piersi.

-Jerry, zaczekaj chwila.

Pochylił się w jej stronę i pocałował ją w szyję. Pachniał Old Spice'em. Zabrała dłoń z jego krocza i odsunęła się. Nie rozumiała aluzji. Wyjął rękę z za stanika tylko po to, by sięgnąć do suwaka sukienki.

-Jerry, do diabła! - odsunęła gwałtownie jego dłoń.

-Zamrugaj powiekami, zdeorientowany.

-Ze co? Co sie stalo?

-Ziajesz jak pies.

-Bo mnie podniecasz.

-Ciebie podniecilyby nawet dziura w plocie.

-Co to ma znaczc?

-Chce porozmawiac.

-Porozmawiac?

-Wiesz, czasami ludzie to robia. Rozmawiaja, a dopiero potem sie pieprza. Patrzyl na nia przez chwile, po czym westchnal:

-W porzadku. O czym chcesz rozmawiac?

-Nie chodzi o to, o czym CHCE MOWIC - stwierdzila. - Ale o to, o czym MUSIMY porozmawiac.

-Mow z sensem, dziecino. Co to ma byc, jakas zagadka czy co? Wziela gleboki oddech, po czym wyrzucila z siebie zle wieści:

-Jestem w ciazy.

Przez kilka chwil noc byla tak cicha, ze slychac bylo lagodny szum fal obmywajacych brzeg rzeki dwadziescia stop dalej. Zarechotala zaba.

-To ma byc zart? - spytal w koncu Jerry.

-Nie.

-Naprawde jestes w ciazy? - Tak.

-O kurwa.

-No tak - mruknela sarkastycznie - co za wymowne podsumowanie sytuacji.

-Nie mialas okresu, czy jak?

-Nie mialam w zeszlym miesiacu. I w tym tez juz mi sie opoznia.

-Bylas u lekarza?

-Nie.

-Moze nie jestes w ciazy.

-Jestem.

-Nie przytylas.

-Za wczesnie, aby bylo cos widac.

Milczal przez chwile, wpatrujac sie w drzewa i czarna, oleista rzeke za nimi. Potem rzekl:

-Jak moglas mi zrobic cos takiego?

Jego pytanie zupełnie zbilo ja z nog. Spojrzala na niego rozdziawiajac szeroko usta, a kiedy zorientowala sie, ze nie zartowal, Wybuchnela gromkim smiechem.

-Moze niespecjalnie uwazalam na lekcjach biologii, ale wydaje mi sie, ze TY zrobiles to MNIE, a nie na odwrot. I nie probuj zwalac winy na partenogeneze.

-Parte... co?

-Partenogeneze. Nastepuje wowczas, kiedy samica zachodzi w ciaze bez udzialu samca zapladniajacego jajo.

Z nuta nadziei w glosie zapytal:

-Czy to moze wchodzic w gre?

Boze, co za duzen. Dlaczego w ogole mu sie oddala? Nie mieli ze soba nic wspolnego. Ona byla uzdolniona artystycznie - grala na flecie, lubila rysowac. Jerry absolutnie nie interesowal sie sztuka. Lubil samochody i sport, natomiast Amy nie znosila rozmow na te tematy. Uwielbiala czytac - on uwazal ksiazki za rozrywke dla dziewczyn i pedalow. Z wyjatkiem seksu, samochodow i futbolu zaden temat nie byl w stanie zainteresowac go dluzej niz przez dziesiec minut. Nie potrafil sie skupic - jak male dziecko. Dlaczego wiec mu sie oddala? DLACZEGO?

-Och, oczywiscie - powiedziala w odpowiedzi na jego pytanie. - Jasne ze partenogeneza moglaby wchodzic w gre... gdybym byla owadem. Albo roslina pewnego okreslonego gatunku.

-Jestes pewna, ze to nie przytrafia sie ludziom? - zapytal.

-Boze, Jerry, przeciez nie mozesz byc taki glupi. Zgrywasz sie, prawda?

-Kurwa, nigdy nie uwazalem na lekcjach biologii starej Ameby Peterson - rzucil w charakterze usprawiedliwienia Jerry. - To zawsze mnie nudzilo jak jasny gwint.

Milczal przez pare minut, a ona czekala. Wreszcie sie odezwal:

-I co masz zamiar zrobic?

-Usune - odparla.

W mgnieniu oka sie rozpromienil.

-Tak. Tak bedzie najlepiej. Naprawde. To madre rozwiazanie. Najlepsze dla nas obojga. No bo wiesz, jestesmy za mlodzi, aby zwiazac sie przez jakies dziecko.

-W poniedzialek urwiemy sie ze szkoly - stwierdzila. - Znajdziemy lekarza, umowimy sie na wizyte i zalatwimy te sprawe definitywnie.

-Chcesz, zebym z toba poszedl?

-Oczywiscie.

-Dlaczego?

-Na milosc boska, Jerry. Nie chce isc tam sama. Nie chce sama stawiac temu czola.

-Nie masz sie czego bac - stwierdzil. - Dasz sobie rade. Wiem, ze potrafisz. Spojrzala na niego.

-Pojdziesz ze mna. Musisz. Po pierwsze dlatego, ze to ty wybulisz za zabieg. Moze bedziemy musieli odwiedzic kilka gabinetow, zeby wybrac taki, gdzie bedzie najtaniej. - Wzdrygnela sie. - To zalezy od ciebie.

-To znaczy... chcesz, zebym to JA zaplacil za zabieg?

-Sadze, ze to uczciwe.

-Ile?

-Nie wiem. Przypuszczam, ze pare setek.

-Nie moge - stwierdzil. - Co?

-Nie moge za to zaplacic, Amy.

-Przez ostatnie dwa lata pracowales podczas wakacji. I dorabiasz sobie w prawie wszystkie weekendy.

-Dobrze wiesz, ze za sprzatanie i ukladanie towarow na polkach w sklepie spozywczym placa marne grosze.

-Minimum socjalne.

-Tak, ale...

-Kupiles ten samochod i wyremontowales go. Masz tez spore oszczednosci. Nieraz mi sie tym chwaliles.

Skrzywil sie.

-Nie moge tknac oszczednosci.

-A to dlaczego?

-Bo potrzebuje kazdego centa na wyjazd do Kalifornii.

-Nie rozumiem.

-Za dwa tygodnie po rozdaniu swiadcstw spieprzam z tego cholernego miasta Tu nie ma dla mnie przyszlosci. Royal City. Smiechu warte. To zadupie nie ma w sobie nic krolewskiego. Z wyjatkiem nazwy. A w ogole co to za miasto? Pietnascie tysiecy ludzi zyjacych w samym srodku Ohio, czyli tam, gdzie diabel mowi dobranoc.

-Mnie sie tu podoba.

-Mnie nie.

-Co spodziewasz sie znalezc w Kalifornii?

-Zartujesz sobie? Dla faceta z glowa jest tam cala masa rozmaitych mozliwosci.

-Ale co spodziewasz sie tam znalezc dla SIEBIE? - spytala.

Nie zrozumial, co miala na mysli; nie poczul nawet, kiedy wbila szpile.

-Juz ci mowilem, malenka. W Kalifornii czlowiek ma przed soba wiecej perspektyw. Los Angeles. To miejsce w sam raz dla mnie. Kurwa, tak. Facet taki jak ja w miescie takim jak L. A. moze zajsc naprawde daleko.

-Co chcesz tam robic?

-Cokolwiek.

-To znaczy?

-Po prostu cokolwiek.

-Od jak dawna planujesz wyjazd do Los Angeles?

-Od roku - odrzekl z kretynskim usmieszkiem.

-Nigdy mi o tym nie mowiles.

-Nie chcialem cie denerwowac.

-Po prostu zamierzales cichaczem sie ulotnic.

-Alez nie. Nie, mialem zamiar byc z toba w kontakcie, malenka. Myslalem sobie nawet, czyby cie ze soba nie zabrac.

-Znajac cie, na pewno. Jerry, MUSISZ zaplacic za aborcje.

-A dlaczego TY nie mozesz za nia zaplacic? - wychrypial. - Ubieglego lata tez pracowalas. I w weekendy dorabiasz sobie

tak samo jak ja.

-Matka kontroluje moje oszczednosci. Nie jestem w stanie wybrac tak duzej sumy nie mowiac jej, po co mi tyle pieniedzy. Nie ma takiej mozliwosci.

-A wiec powiedz jej.

-Boze, nie moge. Zabilaby mnie.

-Pokrzyczy, pokrzyczy i najwyzej przez jakis czas bedziesz miala areszt domowy Ale przejdzie jej.

-Nie przejdzie. Zabije mnie.

-Nie wyglupiaj sie. Nic ci nie robi.

-Nie znasz mojej matki. Okropnie zasadnicza, a czasami bywa podla. Poza tym jestesmy katolicka rodzina. Matka jest bardzo pobożna. Bardzo, bardzo pobożna. A dla pobożnej katoliczki aborcja jest strasznym grzechem. To morderstwo. Zdarza sie, ze moj ojciec wykonuje niekiedy za darmo pewne uslugi prawne dla ligi "Prawo do zycia". Nie jest takim bigotem jak moja matka To ogolnie rzecz biorac porzadny facet, ale wydaje mi sie, ze nawet on nie zaaprobowalby aborcji. I WIEM, ze moja matka z cala pewnoscia nigdy tego nie robi. Ani teraz, ani nigdy. Zmusi mnie, abym urodzila to dziecko. Wiem, ze tak bedzie. Ale ja nie moge. Po prostu nie moge. Boze, nie moge.

Zaczela plakac.

-Ejze, dziecino, przeciez to nie koniec swiata. - Objal ja ramieniem. - Jakos sobie poradzisz. Bedzie dobrze. Przecie z wiesz, ze zycie musi sie toczyc dalej.

Nie chciala zadnego wsparcia z jego strony. Ani fizycznego, ani emocjonalnego. Nie od niego. Tyle, ze nic nie byla w stanie na to poradzic. Polozyla glowe na jego ramieniu, gardzac soba za te slabosc.

-Spokojnie - powiedzial. - Uspokoj sie. Wszystko bedzie dobrze. Kiedy lzy przestaly wreszcie plynac z jej oczu, powiedziala:

-Jerry, musisz mi pomoc. MUSISZ i tyle.

-No...

-Jerry, prosze.

-Wiesz, ze zrobilbym to, gdybym mogl. Usiadla prosto, ocierajac oczy chusteczka.

-Jerry, przeciez odpowiedzialnosc spoczywa rowniez na tobie.

-Nie moge - odrzekl stanowczo, odsuwajac jej reke.

-Po prostu pozycz mi te pieniadze. Oddam ci.

-Nie zdazysz mi oddac w ciagu dwoch tygodni. A ja bede potrzebowal kazdego dolara, kiedy pierwszego czerwca wyjade do Kalifornii.

-Chodzi mi tylko o pozyczke.

Nie chciala go prosic, ale nie miala wyboru.

-Nie moge, nie moge, nie moge! - krzyknal jak dziecko w przyplywie zlego humoru podniesionym, ochryplym glosem. - Zapomnij o tym! Po prostu o tym zapomnij, Amy. Bede potrzebowal kazdego centa, kiedy wreszcie wyrwe sie z tego cuchnacego miasta.

CHRYSTE, JAK JA GO NIENAWIDZE!

Ale nienawidzila rowniez siebie za to, co pozwolila mu ze soba zrobic.-Jezeli przynajmniej nie pozyczysz mi tych pieniedzy, zadzwonie do twoich rodzicow. Powiem im, ze mam z toba dziecko. Napytam ci biedy, Jerry.

Nie sadzila, aby naprawde byla w stanie sie do tego posunac, ale miala nadzieje, ze wystarczy sama grozba, by

przemowic mu do rozsadku.

-Bog mi swiadkiem, ze jesli nie bede miala innego wyjscia, zmusze cie, zebys sie ze mna ozenil. Jesli juz mam pojsc na dno, zabiore ciebie ze soba.

-Czego ty ode mnie chcesz, na litosc boska?

-Odrobiny przyzwoitosci. To wszystko.

-Nie uda ci sie zmusic mnie do malzenstwa.

-Moze i nie - przyznala. - Ale moze narobic niezlego smrodu i zmusic, abys placil na dziecko alimenty.

-Nie uda ci sie zmusic mnie do niczego, kiedy tylko znajde sie na terytorium innego stanu. Nie sciagniesz ode mnie z Kalifornii ani grosza.

-To sie okaze - powiedziala, choc byla prawie pewna, ze mial racje.

-Tak czy inaczej, nie potrafisz udowodnic, ze to ja jestem ojcem.

-A ktozby inny?

-Skad mam to wiedziec?

-Bo jestes jedynym, z ktorym to robilam.

-Z cala pewnoscia nie bylem pierwszym - stwierdzil.

-Ty draniu.

-Pierwszy byl Eddie Talbot.

-Nie robilam tego z nikim, odkad pol roku temu zaczelam spotykac sie z toba.

-Skad mam wiedziec, ze to prawda?

-Ty WIESZ - powiedziala Ellen z nienawiscia. Miala ochote kopnac go, uderzyc, paznokciami rozorac mu twarz do krwi, ale pohamowala sie w nadziei, ze moze mimo wszystko uda sie jej wyciagnac od niego forse. - To TWOJE dziecko, Jerry. Nie ma co do tego watpliwosci.

-Nigdy nie doszedlem w tobie - odparl.

-Zrobiles to. Kilka razy. A do tego wystarczy tylko raz.

-Jezeli sprobujesz wniesc sprawe do sadu albo cos w tym rodzaju, sciagne pieciu czy szesciu kumpli, ktorzy zaswiadcza, ze w ciagu ostatnich kilku miesiecy rznelas sie z nimi az miło.

-Wiesz, ze nigdy w moim zyciu nie bylo nikogo oprócz Eddiego i ciebie!

-W sadzie to bedzie twoje zdanie przeciwko ich.

-Zostana oskarzeni o krzywoprzysiestwo!

-Mam paru serdecznych przyjaciol, ktorzy zrobia wszystko, aby mnie ochronic.

-Nawet zniszcza moja reputacje?

-Jaka reputacje? - spytal z drwiacym usmieszkiem.

Amy poczula mdlosci. Sytuacja byla beznadziejna. Nie bylo sposobu, aby zmusic go do zrobienia tego, co nalezalo. Byla zdana tylko na siebie.

-Odwiez mnie do domu - powiedziala.

-Z przyjemnoscia - odrzekl.

Powrot do miasta zajal im pol godziny. Przez ten czas zadne z nich nie odezwalo sie slowem. Dom Harperow znajdowal sie przy Mapie Lane, w typowej dzielnicy klasy sredniej, ze starannie przystrzyzonymi trawnikami i krzewami, swiezo malowanymi domami i plotami, podwojnymi garazami. Harperowie mieszkali w jednopietrowym neokolonialnym domku, bialym z zielonymi okiennicami. W saloniku na parterze palilo sie swiatlo.

Kiedy Jerry zatrzymal woz przy krawezniku, na wprost domu, Amy powiedziala:

-Prawdopodobnie bedziemy mijac sie na korytarzu podczas ostatniego tygodnia sesji egzaminacyjnej. No i spotkamy sie na rozdaniu dyplomow, za dwa tygodnie. Ale wydaje mi sie, ze rozmawiamy ze soba po raz ostatni.

-Mozesz byc tego pewna - rzucil lodowatym tonem.

-Dlatego tez nie chcialabym przepuscic okazji, aby powiedziec ci, ze uwazam cie za parszywego, wrednego skurwysyna - rzucila tym samym tonem.

Patrzyl na nia, ale nie odezwal sie ani slowem.

-Jestes niedojrzalym chlopczykiem, Jerry. I najprawdopodobniej nigdy nie bedziesz mezczyzna.

Nie zareagowal. Stali pod latarnia i wyraznie widziala jego twarz - malowala sie na niej obojetnosc.

Byla wsciekla z powodu takiego braku reakcji. Chciala odejsc ze swiadomoscia, ze zranila go rownie mocno, jak on dopiekl jej swoim docinkiem na temat jej reputacji. Nie potrafila przeklinac. Nie umiala sie klocic. Zwykle wyznawala zasade "zyj i pozwol zyc innym", ale w tym przypadku niesprawiedliwosc, jakiej doswiadczyła ze strony Jerry'ego, byla tak wielka, ze ogarnela ja przemozna chec odwetu.

Zebrala sie w sobie, by po raz ostatni sprobowac mu dogryzc.

-Chcialabym powiedziec ci jeszcze jedno, niejako w formie przyslugi dla twojej nastepnej dziewczyny, Jerry - powiedziala. - Zachowujes sie jak maly chlopiec jeszcze pod innym wzgledem. Kochasz sie jak dzieciak. Rowniez w tej dziedzinie jestes kompletnie niedojrzaly. Wiesz, ile razy udalo ci sie doprowadzic mnie do orgazmu? Trzy. Kochalismy sie tyle razy, a ja doszlam tylko trzykrotnie. Jesteś niezgula, Jerry, i nieudacznikiem. I masz przedwczesny wytrysk. Regularny z ciebie minutowiec. Zrob swojej nastepnej dziewczynie przysluge i przynajmniej przeczytaj kilka ksiazek o seksie. Eddie Talbot tez mial mase wad, ale jezeli chodzi o seks, nie dorastasz mu do piet.

W miare jak wypowiadala te slowa, zobaczyla, ze twarz mu tezeje, miesnie szczek sie zaciskaja i zrozumiala, ze wreszcie dopiekla mu do zywego.

Czujac nieco perwersyjna radosc triumfu, otworzyla drzwiczki i przesunela sie na siedzeniu, by wysiasc.

Chwycil ja za przegub i zatrzymal w samochodzie.

-Wiesz, czym jestes? Swinia, ot co!

-Pusc mnie - rzucila ostro, usilujac uwolnic sie z jego uscisku. - Jezeli mnie nie puscisz, to dowiesz sie jeszcze, jak ta smieszna mala rzecz miedzy twoimi nogami ma sie do sprzetu Eddiego Talbota. A jestem pewna, ze nie chcesz sie o tym dowiedziec.

Nie przypadla jej do gustu brzmiaca w tych slowach ostra, wroga nuta, ale jednoczesnie ogarnela ja gwaltowna, prymitywna radosc wywolana szokiem malujacym sie na jego twarzy.

Kilkakrotnie w ciagu ostatnich szesciu miesiecy wyczula jego seksualna niepewnosc, a teraz byla ona widoczna jak na dloni.

Byl wsciekly. Nie tylko puscil jej reke, ale wrecz odtracil ja na bok, jakby nagle zorientowal sie, ze trzyma w dloni weza.

Kiedy wysiadala z samochodu, powiedzial:

-Ty dziwko! Mam nadzieje, ze twoja stara zmusi cie do urodzenia tego dziecka! I wiesz co? Mam nadzieje, ze ten pieprzony bekart nie bedzie zdrowy. Tak. Mam nadzieje, ze on nie jest normalny. Jesteś paskudna, wyszczekana pieprzona dziwka i mam nadzieje, ze reszte zycia spedzisz ze sliniacym sie malym idiota. To by bylo dla ciebie najlepsze.

Spojrzała na niego i powiedziała:

-Jestes odrazajacy.

Zanim zdazyl odpowiedziec, trzasnela drzwiczkami.

Wrzucil bieg, przydeptal pedal gazu i odjechal przy wtorze przejmujacego pisku opon.

W ciszy, jaka potem nastala, dal sie slyszec krzyk nocnego ptaka.

Amy przeszla przez blekitnawa chmure dymu cuchnacego palona guma i ruszyla w kierunku domu.

Po przejsciukilku krokow calym jej cialem zaczely wstrzasac gwaltowne dreszcze.

Kiedy jej ojciec zgodzil sie, by wrocila do domu pozniej niz zazwyczaj, powiedzial:

-Bal maturalny to szczegolna noc w zyciu dziewczyny. To wielkie wydarzenie, jak szesnaste albo dwudzieste pierwsze urodziny. Nie ma drugiej takiej nocy jak noc balu maturalnego.

Jak sie okazalo, jego slowa w dosc pokretny sposob okazaly sie prawdziwe. Amy nigdy nie przezyla podobnej nocy. I miala nadzieje, ze juz nigdy nie bedzie musiala przezyc drugiej takiej.

Noc balu maturalnego, sobota, siedemnasty maja 1980 roku.

Ta data na zawsze pozostanie w jej pamieci.

Kiedy dotarla do frontowych drzwi, zatrzymala sie, a jej dlon znieruchomiala na klamce. Bala sie wejsc do domu. Nie chciala spotkac sie tej nocy z matka.

Nie zamierzala poinformowac jej, ze jest w ciazy. Jeszcze nie. Moze za kilka dni. Za tydzien lub dwa. I tylko jesli nie bedzie miala wyjścia. Tymczasem zacznie szukac sposobu wyplatania sie z tej kabaly, choc w glebi serca nie ludzila sie, ze to jej sie uda. Nadzieja na wyjście z trudnej sytuacji byla raczej znikoma.

Nie chciala teraz rozmawiac ze swoimi rodzicami. Byla zanadto wzburzona sposobem, w jaki potraktowal ja Jerry, do tego stopnia, ze nie ufala samej sobie, czy bedzie w stanie dochowac tajemnicy.

Mogla wygadac sie przez przypadek lub podswiadomie, spragniona kary i wspolczucia.

Jej dlon, wilgotna od potu, nadal spoczywala na klamce.

Miala ochote odejsc, zwyczajnie opuscic miasto i rozpoczac nowe zycie. Tyle tylko, ze nie miala dokad pojsc. No i nie miala pieniedzy.

Brzemie odpowiedzialnosci, jakie spoczywalo na jej barkach, wydawalo sie nieomal nie do udzwigniecia. A kiedy Jerry dokonal ostatniej dziecinnej proby zranienia jej, kiedy zyczyl, by wydal na swiat zdeformowane dziecko, dolozyl jeszcze jeden kamyk do ciezaru, jakim byla obarczona. Naturalnie nie wierzyla, aby klatwa Jerry'ego miala jakokolwiek moc. Bylo jednak mozliwe, ze matka zmusi ja, by mimo wszystko urodzila dziecko - i istniala szansa, ze dziecko przyjdzie na swiat zdeformowane, a tym samym na zawsze bedzie od niego uzaleznioma.

Prawdopodobienstwo, ze faktycznie tak sie stanie, bylo niewielkie, ale nie az tak, by mogla o nim zapomniec. Podobne nieszczescia przydarzaly sie ludziom kazdego dnia. Codziennie rodzily sie okaleczone dzieci. Niemowleta pozbawione raczek i nozek. Zniekształcone. Dzieci z porazeniem mozgowym. Lista mozliwych wad wrodzonych byla bardzo dluga i przerazajaca.

W koncu otworzyla drzwi i weszla do domu.

2

Chudy, bialy jak kreda, o wlosach cienkich i siwych jak pajeczyna, ubrany od stop do glow na bialo Duch przedziewal sie spiesnie przez zatloczona lunaparkowa alejke. Brnal przed siebie jak blady slup dymu, przeslizgujac sie bez trudu przez najwzniejsze luki w ludzkiej cizbie. Zdawal sie plynac z pradem nocnej bryzy. Z platformy naganiacza przy Tunelu Strachu, znajdujacej sie cztery stopy nad ziemia, Conrad Straker obserwowal albinosa. Widzac zblizajacego sie Ducha natychmiast przerwal swoj potoczysty monolog. Z tylu za Strakerem bez przerwy rozbrzmiewala halasliwa muzyka.

Co trzydziści sekund wielka głowa klauna - dużo większa, bardziej złożona i lepiej animowana wersja oblicza zdobiącego jego pierwszy Tunel Strachu przed dwudziestu siedmiu laty, mrugała do przechodzących i wydawała nagrane czterotaktowe szczeknięcie śmiechu - "Haa, haa, haa, haaaaa!"

Czekając na albinosa Straker zapalił papierosa. Dłoni mu drżała. Zapalka zakolysała się w powietrzu. Wreszcie Duch dotarł do Tunelu Strachu i wszedł na platformę naganiacza.

-Zalutwione - stwierdził. - Dalem jej darmowy bilet. - Miał dzweczny, łagodny, głos, który jednak zawsze było doskonale słychać nawet pośród lunaparkowego zgiełku.

-Niczego nie podejrzewała?

-Oczywiście, że nie. Ucieszyła się z darmowego seansu u wrożki. Zachowywała się tak, jakby naprawdę uwierzyła, że Madame Zena potrafi widzieć przyszłość.

-Nie chciałbym, aby myślała, że została wybrana celowo - rzekł Straker zatroskany.

-Uspokój się - rzucił Duch. - Sprzedałem jej starą bajeczkę, a ona z miejsca ją kupiła. Powiedziałem jej, że moim zadaniem jest krzanie po głównej alei i rozdawanie przypadkowym ludziom darmowych biletów o, tak sobie, dla wzbudzenia zaciekawienia. Public relations.

Straker zmarszczył brwi.

-Na pewno podszedł do właściwej dziewczyny?

-Do tej, która mi pokazała.

Nad nimi wielki mechaniczny klaun ponownie wybuchnął urywanym śmiechem. Zaciągając się szybko i nerwowo papierosem Straker mówił dalej:

-Ma jakieś sześćdziesiąt lat. Włosy bardzo ciemne, prawie czarne. Ciemne oczy około pięciu stop pięciu cali wzrostu.

-Jasne - mruknął Duch. - Tak jak inne w poprzednim sezonie.

-Ta nosiła niebieskoszary sweter. Była z blondynem, chyba swoim rówieśnikiem.

-To ona - stwierdził Duch przeczesując proste włosy długimi, wąskimi, mlecznobiałymi palcami.

-Jestes pewien, że wykorzystła bilet?

-Tak. Zaprowadziłem ją wprost do namiotu Zeny.

-Może tym razem...

-Co ona robi z tymi dziećmi, które jej podsyłasz?

-Przepowiadając im przyszłość dowiaduje się możliwie jak najwięcej na ich temat - pyta o nazwiska, o to, jak nazywają się ich rodzice i tak dalej.

-Dlaczego?

-Bo chce to wiedzieć.

-Ale dlaczego?

-Nie twoja sprawa.

Za nim wewnątrz ogromnego Tunelu Strachu dziewczęta krzyczały przeraźliwie, kiedy coś wyskoczyło na nie z ciemności. Ich piski przerażenia były w dużej mierze udawane; jak tysiące nastolatka przed nimi, tak i one wykorzystywały pretekst strachu, by przytulić się mocniej do siedzących obok nich chłopców. Ignorując krzyki za plecami, Duch wpatrywał się z przejęciem w Strakera. W błędnym, prawie bezbarwnym, półprzezroczystym oczach albinosa malowało się zakłopotanie.

-Muszę się czegoś dowiedzieć. Czy ty kiedykolwiek... eee... czy kiedykolwiek tknałeś choć jednego z dziećmi, które

wysyłałem do Zeny?

Straker spojrzal na niego.

-Jezeli pytasz mnie, czy napastowalem seksualnie jakiegos chlopca lub dziewczyne, ktorymi bylem zainteresowany, odpowiedz brzmi: nie. To absurd.

-Nie chcialbym brac udzialu w czymys takim - stwierdzil Duch.

-Masz brudne mysli - rzekl Straker, zdegustowany. - Na litosc Boska, ja nie szukam swiezego ciala. Chodzi mi o pewne konkretne dziecko, kogos szczegolnego.

-Kogo?

-Nie twoja sprawa. - Jak zawsze podniecony perspektywa pomyslnego zakonczenia swoich dlugich poszukiwan, Conrad dodal: - Musze teraz pojsc do namiotu Zeny. Prawdopodobnie juz skonczyla z ta dziewczyna. To moze byc ona. To moze byc ta, ktorej szukam.

W Tunelu Strachu dziewczeta ponownie zaczely krzyczec. Sciandy znacznie wylumialy ten dzwiek.

Kiedy Straker skierowal sie ku schodkom, pragnac jak najszybciej uslyszec, czego dowiedziala sie Zena, albinos zatrzymal go, kladac mu dlon na ramieniu.

-W poprzednim sezonie niemal w kazdym miescie, gdzie sie zatrzymywalismy, byl jakis dzieciak, ktory przykuwal twoja uwage. Czasami dwoje lub troje. Jak dlugo juz szukasz?

-Pietnascie lat.

Duch zamrugal. Przez chwile cienkie przezroczyte powieki przeslonily jego dziwne oczy, nie zakrywajac ich zupelnie.

-Pietnascie lat? To bez sensu.

-Nie dla mnie.

-Posluchaj... Pracuje dla ciebie od zeszlego sezonu i do tej pory nie narzekalem. Ale ta sprawa z dzieciakami naprawde nie daje mi spokoju. Jest w tym cos przerazajacego. I w tym roku wszystko zaczelo sie od nowa. Nie chce brac w tym udzialu.

-To zrezygnuj. Rzuc robote i z glowy - rzucil ostro Straker. - Idz pracowac dla kogos innego.

-Tyle tylko, ze z tym jednym wyjatkiem lubie to, co robie. To dobra praca i dobrze platna.

-A wiec rob to, za co ci place i o nic nie pytaj - mruknal Straker. - Albo spadaj stad. Wybor nalezy do ciebie.

Straker usilowal odsunac sie od albinosa, ale Duch mocno trzymal ramie wyzszeego mezczyzny. Jego chuda, wilgotna, biala jak kosc reka miala zdumiewajaco silny uscisk.

-Powiedz mi jedno. Zaspokoj moja ciekawosc.

-To znaczy? - spytal zniecierpliwiony Straker.

-Jesli juz znajdziesz tego, kogo szukasz... czy to bedzie chlopak, czy dziewczyna... zamierzasz skrzywdzic jego lub ja?

-Oczywiscie, ze nie - sklamal Straker. - Czemu mialbym to robic?

-Bo widzisz, nie rozumiem, dlaczego tak sie zawziales na tego kogos, ze chcesz go odnalezc... chyba ze...

-Posluchaj - rzekl Straker. - Jest pewna kobieta, wobec ktorej mam olbrzymi dlug wdziecznosci. Znalem ja wiele lat temu, ale nasze drogi sie rozeszly. Wiem, ze ma juz dzieci i za kazdym razem, kiedy widze dzieciaka podobnego do niej, sprawdzam go. Kto wie, moze szczescie mi dopisze. Natknawszy sie na jej corke lub syna, odnajde ja i wreszcie bede mogl splacic swoj dlug.

Duch zmarszczyl brwi.

-Zadajesz sobie sporo trudu, zeby...

-Bo to naprawde wielki dlug - rzekl Straker, przerywajac mu. - Chodzi o moje sumienie. Nie zazna spokoju, dopoki nie zalatwie tej sprawy do konca.

-Ale szansa, ze ona ma dziecko podobne do niej i ze ten dzieciak ktoregos dnia trafi do twojego Tunelu Strachu. Czy zdajesz sobie sprawe, jak znikome jest takie prawdopodobienstwo?

-Wiem, ze to malo prawdopodobne - mruknal Straker. - Ale co mi szkodzi miec oko na dzieciaki, ktore ja przypominaja. To nic nie kosztuje. A w zyciu zdarzaja sie jeszcze dziwniejsze przypadki.

Albinos spojrzal Strakerowi w oczy, szukajac w nich falszu lub prawdy. Za to Straker nie byl w stanie nic wyczytac z oczu Ducha. Byly tak bezbarwne, ze nie mialy odrobiny wyrazu. Biale. Bladorozowe. Wodniste. Bezdenne oczy. Spojrzzenie albinosa bylo przeszywajace, ale lodowate.

Wreszcie Duch powiedzial:

-W porzadku. Skoro chodzi ci tylko o odnalezienie kogos, bo chcesz splacic stary dlug... nie mam nic przeciwko temu, aby ci pomoc.

-Dobrze. A wiec sprawa zalatwiona. Teraz musze jeszcze pomowic z Guntherem, a potem pojde do Zeny. Ty zajmij sie naganianiem klientow - rzekl Straker, uwalniajac sie wreszcie z uchwytu wilgotnej, lepkiej dloni albinosa.

Wewnatrz Tunelu Strachu nowy chorek dziewczeczych glosow zawyl w piskliwej imitacji przerazenia. Kiedy z wielkich ust klauna poplynela kolejna porcja mechanicznego smiechu, Straker szybkim krokiem przeszedl przez platforme pod transparentem z napisem NAJWIEKSZY TUNEL STRACHU NA SWIECIE! Zszedl po drewnianych schodach, minal czerwono - czarna budke kasy i zatrzymal sie na chwile przy rampie wjazdowej, gdzie kilka osob z biletami w dloniach zajmowalo miejsca w jaskrawo pomalowanych wagonikach, ktore jada przez tunel.

Conrad uniosl wzrok na Gunthera, ktory stal na mierzacej szesc stop kwadratowych platformie, cztery stopy nad wjazdem. Gunther wymachiwal dlugimi rekoma i warczal na ludzi w wagonikach udajac, ze im wygraza. Byl poteznie zbudowany, mierzyl ponad szesc i pol stopy wzrostu, a na jego cialo skladalo sie wiecej niz dwiescie piecdziesiat funtow miesni i kosci. Ubrany byl od stop do glow na czarno, a na glowie nosil hollywoodzka kopie maski Frankensteina, ktorej brzegi wciskal pod kolnierz. Mial tez rekawice potwora - wielkie, zielone, gumowe dlonie upstrzone plamami sztucznej krwi, siegajace daleko w glab rekawow jego marynarki.

Gunther zauwazyl, ze Conrad na niego patrzy i odwrociwszy sie, poslal mu wyjatkowo grozne warkniecie. Straker usmiechnal sie. Zlaczyl kciuk i palec wskazujacy prawej dloni w male kolko - na znak aprobaty. Gunther zaczal krzycz po platformie w niezadarnym, upiornym tancu zadowolenia. Ludzie czekajacy na wejscie do wagonikow wybuchneli smiechem i nagrodzili wystep oklaskami. W tej samej chwili obdarzony doskonaly zmyslem scenicznym Gunther ponownie zmienil sie w rozszalala bestie i wydal przeciagly, gardlowy ryk. Kilka dziewczat wrzasnelo. Gunther zawyl, potrzasnal glowa, warknal, tupnal noga, syknal i zaczal wymachiwac rekoma.

Uwielbial swoja prace.

Straker odwrocil sie z usmiechem od Tunelu Strachu i wmieszal sie w tlum ludzi na glownej alei. Kiedy zblizal sie do namiotu Zeny, jego usmiech przygasl. Pomyslal o ciemnowlosej, ciemnokokiej dziewczynie, ktora widzial z platformy naganiacza, zaledwie przed chwila. Moze to byla ona. Moze to byla corka Ellen. Nawet po tylu latach mysl o tym, co Ellen uczynila z jego synkiem, przepelniala go plomieniem nienawisci, zas szansa na dokonanie zemsty nadawala jego sercu inny rytm i sprawiala, ze krew zaczynala szybciej krzycz w zylach.

Zanim jeszcze dotarl do namiotu Zeny, usmiech na jego ustach zmienil sie w grozny grymas.

* * *

Przyodziana w czerwien, czern i zloto, przyozdobiona gwiazdzista szarfa, spora liczba pierscionkow i zbyt gruba warstwa szminki, Zena siedziala sama w slabo oswietlonym namiocie, czekajac na Conrada. Cztery swieczki palily sie wewnatrz czterech oddzielnych szklanych "kominkow", rzucajac pomaranczowa poswiata, ktora nie dosiegala rogow pomieszczenia. Jeszcze jednym zrodlem swiatla byla krysztalowa kula stojaca posrodku stolu. Muzyka, podniesione glosy, pokrzykiwania naganiaczy i wrzaski rozbawionej mlodziezy naplywaly od strony alejki przez grube plotno namiotu. Po lewej stronie stolu w ogromnej klatce stal kruk z przekrzywionym lebkim. Jednym Isniacym okiem wpatrywal sie w krysztalowa kule. Madame Zena, jak sama siebie nazywala, udawala Cyganke obdarzona nadprzyrodzona moca. Nie miala w sobie nawet kropli cyganskiej krwi i jedyna rzecz dotyczaca przyszlosci, jaka potrafilo przepowiedziec, bylo, ze nazajutrz rano wzejdzie

slonce, aby wieczorem powrocic za horyzont. Pochodzila z Polski. Pelne jej nazwisko brzmialo Zena Anna Penetsky. Wedrowala z wesolym miasteczkiem od dwudziestu osmiu lat, zaczela majac zaledwie pietnascie i nigdy nie pragnela innego zycia. Lubila podroze, wolnosc i pracownikow lunaparku.

Od czasu do czasu jednak nuzyla ja przepowiadanie przyszlosci, a bezgraniczna naiwnosc klientow wprawiala w zaklopotanie. Zнала tysiac sposobow, aby wydoic klienta, tysiac sposobow, by przekonac go (juz po tym, jak zaplacil jej za wrozenie z reki), aby wysuplal kolejnych kilka zielonych w zamian za dokladniejsze i pelniejsze informacje o jego przyszlosci.

Latwosc, z jaka manipulowala ludzmi, wprawiala ja w oslupienie. Powiedziala sobie, ze to, co robi, jest sluszne, bowiem tamci to obcy, mieszczuchy, a nie pracownicy lunaparku, a co za tym idzie, nie sa PRAWDZIWYMI ludzmi. Byl to normalny punkt widzenia lunaparkowcow, ale Zena nie zawsze potrafila byc dostatecznie stanowcza. Zdarzalo sie, ze dreczylo ja poczucie winy. Bywalo, ze zastanawiala sie, czy nie powinna zerwac z przepowiadaniem przyszlosci. Mogla wziac sobie partnera, kogos, kto zajmowal sie juz kiedys wrozeniem z dloni. Oznaczaloby to dzielenie sie zyskami, ale Zena bynajmniej sie tym nie przejmowala. Byla wlascicielka stanowiska gier zrecznosciowych (rzucania kolkami na butelki) i bardzo rentownego baru szybkiej obslugi. W ciagu roku potrafila zarobic wiecej niz pol tuzina mieszczuchow na ich nudnych, cieplych posadach. Mimo to nadal odgrywala cyganska wrozke, bowiem musiala cos robic: nie nalezala do ludzi, ktorzy siedza beczynnosc i uwazaja biernosc za najlepszy sposob na zycie.

W wieku lat pietnastu byla juz dojrzala kobieta i rozpoczela swoja kariere w lunaparku jako tancerka wykonujaca taniec erotyczny. W ostatnich dniach, kiedy rola Madame Zeny sprawiala jej coraz mniej satysfakcji, czesto zastanawiala sie nad stworzeniem wlasnego show z dziewczetami. Kto wie, moze nawet sama wrocilaby na scene. To mogloby byc mile.

Miala czterdzieci trzy lata, ale wiedziala, ze w dalszym ciagu potrafilaby podniecic niejednego mezczyzne. Wygladala o dziesiec lat mlodziej. Wlosy kasztanowe, geste, nie naznaczone siwizna okalaly urodziwa, pozbawiona zmarszczek twarz o mocnych rysach. Jej cieple, lagodne oczy mialy rzadki fiolkowy odcien. Przed laty, kiedy zaczynala prace jako tancerka, byla bardzo zmyslowa. To zostalo jej do dzisiaj. Dzieki diecie i cwiczeniom zachowala doskonala figure. Natura rowniez okazala sie dla niej przychylna i duze, kragle piersi z biegiem lat nie obwisly. Jednak nawet marzac o powrocie na scene, zdawala sobie sprawe, ze jej przyszlosc bedzie wygladala zupełnie inaczej. Taniec erotyczny byl ni mniej, ni wiecej tylko jeszcze jednym sposobem na manipulowanie mieszczuchami, podobnie jak przepowiadanie przyszlosci. Jedyna rzecz, jakiej naprawde pragnela, to oderwac sie od tego przynajmniej na pewien czas. Bedzie musiala wymyslic dla siebie jakies inne zajecie.

Kruk poruszył się na swojej zerdce i zatrzepotał skrzydłami, wrywając ją z zamyslenia. W chwili później Conrad Straker wszedł do namiotu. Usiadł na krzesle, na którym zwykle siadali klienci - dokładnie naprzeciw Zeny. Pochylił się do przodu, spięty i zaniepokojony.

-No i?

-Bez powodzenia - odparła krótko Zena. Pochylił się jeszcze bardziej.

-Na pewno mówimy o tej samej dziewczynie? - Tak.

-Nosila szaroniebieski sweter.

-Tak, tak - rzuciła niecierpliwie Zena. - Miala bilet od Ducha.

-Jak miala na imie? Dowiedzialas sie, jak sie nazywala?

-Oczywiscie. Laura Alwine.

-A jej matka?

-Sandra. Nie Ellen. Sandra. I Sandra jest naturalna blondynka, nie brunetka jak Ellen. Laura twierdzi, ze ma ciemne wlosy i ciemna oprawe oczu po ojcu. Przykro mi, Conradzie. Przepowiadajac jej przyszlosc staralam sie wyciagnac ile sie da, ale zadna z informacji nie pokrywala sie z twoimi oczekiwaniami.

-Bylem przekonany, ze to ona.

-Zawsze jestes tego pewien.

Spojrzał na nią, a twarz mu poczerwieniała. Wbił wzrok w blat stołu i nagle wpadł w pasję, jakby ujrzał w drewnie coś, co go rozwscieczyło. Rabnął piescia w stol, raz i drugi. Potem jeszcze raz i jeszcze... Wnetrze namiotu wypelnilo sie

głosnymi, miarowymi odgłosami jego wściekłości. Conrad dygotał, dyszał, ociekał potem. Oczy mu błyszczały, klął na cały głos, a drobinki sliny przyskaly na blat stolika. Nagle wydal dziwny, ochryply, zwierzęcy charkot; jego piasec w dalszym ciągu walila w stol, jakby blat był żywa istota, która zrobiła mu coś złego.

Zena nie była zaskoczona jego wybuchem. Przywykła do tych szalonych napadów wściekłości. Była przecież przed dwa lata jego żona. Tamtej burzliwej nocy w sierpniu 1955 roku stała w strugach deszczu patrzeć, jak kreci się samotnie na puszczonej wstecz karuzeli. Wydawał się wtedy taki przystojny, taki romantyczny, bezradny i zalamany, że obudził jej matczyne, ale i zmysłowe instynkty i zdobył jej serce, czego dotąd nie udało się dokonać żadnemu innemu mężczyźnie. W lutym następnego roku oboje odbyli przejazd na krecacej się do przodu karuzeli. Zaledwie w dwa tygodnie po ślubie Conrad wściekł się na Zene, bo jego zdaniem zrobiła coś nie tak - i uderzył ją. Kilkakrotnie. Była zbyt oszłamiona, by się bronić. Później Conrad był pełen skruchy, zakłopotany, wstrząsniety tym, co uczynił. Plakał i błagał o przebaczenie. Była pewna, że ten napad złego humoru był wyjątkiem, a nie przykładem typowego dlań zachowania.

Jednak już w trzy tygodnie później ponownie ją zaatakował i mocno poturbował. Dwa tygodnie po tym incydencie, kiedy znowu wpadł w szal i próbował ją uderzyć, ona zaatakowała pierwsza. Trzasnęła go kolanem w krocze i rozorała mu twarz paznokciami z taką furia, że spasował. Od tej pory stała się czujna i wypatrywała najdrobniejszych oznak kolejnego przyływu wściekłości, żeby wiedzieć, kiedy i jak się bronić.

Zena bardzo się starała, aby mimo paskudnego charakteru Conrada ich małżeństwo się nie rozpadło. Było dwóch Conradów Strakerów. Pierwszy był ponurym brutalem o iscie zwierzęcych, nieprzewidywalnych reakcjach, zdumiewających umiejętnościach i zamilowaniu do sadyzmu. Drugi Conrad był łagodnym, rozważnym, wręcz czarującym facetem, dobrym kochankiem, inteligentnym i twórczym. Przez pewien czas Zena wierzyła, że duża dora miłości, cierpliwości i zrozumienia zdola ją zmienić.

Była pewna, iż osobowość przerażającego pana Hyde'a z czasem odejdzie w zapomnienie, Conrad się usatkuje i pozostanie w nim tylko dobry i szlachetny doktor Jekyll. Jednak, im więcej dawała mu swojej miłości i zrozumienia, tym bardziej stawał się gwałtowny i brutalny, jak gdyby postawił sobie za punkt honoru udowodnienie, że nie jest wart jej miłości.

Wiedziała, że gardził sobą. Niezdolność do polubienia samego siebie i niemożność uspokojenia duszy, a także frustracja wywołana tą niemożliwością do uleczenia autonienawistą - to były główne przyczyny jego okresowych szalonych ataków wściekłości. Coś potwornego musiało przytrafić mu się dawno, bardzo dawno temu, kiedy był jeszcze dzieckiem, jakaś mroczna tragedia, która pozostawiła w jego wnętrzu rany i blizny tak głębokie, że nawet miłość Zeny nie była w stanie ich zaleczyć. Jakis horror z odległej przeszłości, potworne nieszczęście, za które czuł się odpowiedzialny, sprawiło, że każdej nocy dreczyły go koszmarne sny. Był trawiony płomieniem poczucia winy, który palił się w jego wnętrzu przez całe lata, obracając kawałek po kawałku jego serce w popiół.

Zena wielokrotnie usiłowała poznać tajemnicę drecząca Conrada, on jednak nie chciał zdradzić jej swego sekretu, w obawie, że prawda na zawsze odepchnęłaby ją od meza i obrocila przeciwko niemu. Zapewniała go, że nic, co jej powie, nie może sprawić, by poczuła do niego odrazę. Byłoby dla niego lepiej, gdyby zdecydował się w końcu pozbyć tego upiornego brzemienia. Conrad jednak nie potrafił się na to zdobyć. Zena dowiedziała się tylko jednego: wydarzenie, które nie dawało mu spokoju, miało miejsce w Wigilie, kiedy Conrad miał zaledwie dwanaście lat. Od tamtego wieczoru zmienił się diametralnie. Dzień po dniu narastało w nim coraz większe zgorzknienie i rozgoryczenie. Coraz częściej przejawiał skłonności do przemocy. Przez krótki okres po urodzeniu przez Ellen upragnionego dziecka, chociaż było ono tak potwornie zdeformowane, stan Conrada bardzo się poprawił. Gdy jednak Ellen zabiła dziecko, jeszcze bardziej pograżył się w rozpacz i nienawiści do siebie. Było raczej mało prawdopodobne, aby ktoś kiedykolwiek zdołał wydobyć go z psychicznej otchłani, w którą sam siebie wtracił.

Wreszcie po dwóch latach staran, aby ich małżeństwo przetrwało, i nieustannymi obawami przed gniewem Conrada, Zena pogodziła się z faktem, że rozwód jest nieunikniony. Zostawiła go, ale nie przestali być przyjaciółmi. Łaczyły ich wiezy, których nic nie mogło rozerwać, niemniej oboje zdawali sobie sprawę, iż nie są w stanie prowadzić wspólnie szczęśliwego życia.

Odbyla przejazd na karuzeli krecacej się wstecz.

Teraz, gdy Zena patrzyła, jak Conrad wyladowuje swą wściekłość na stole, uswiadomila sobie, że miłość, jaka niegdys czuła do niego, przerodziła się we współczucie. Nie czuła już pozadania, a jedynie dojmujący smutek.

Conrad klął dalej, a kropelki sliny wypryskaly spomiedzy jego bezkrwistych, wykrzywionych wściekle warg. Piasec raz po raz z hukiem uderzała w stol.

Kruk zatrzepotał łsniacymi, czarnymi skrzydłami i zaskrzeczał. Zena czekała cierpliwie.

Niebawem Conrad zmeczył się i uspokoił. Odchylił się do tyłu na krzesło, mrugając powiekami, jakby nie był pewien, gdzie się właściwie znajduje. Po minucie milczenia Zena odezwała się:

-Conradzie, nie znajdziesz dziecka Ellen. Czemu po prostu nie dasz sobie z tym spokoju?

-Nigdy - odparł ochryplym głosem.

-Przez dziesięć lat wynajmowałeś cały sztab detektywów. Jednego po drugim. Bywało, że nawet kilku naraz. Wydałeś na nich całą fortunę, ale oni nic nie znaleźli. Najmniejszego śladu.

-Bo byli nieudacznikami. Nie znali się na swojej robocie - rzekł posepnie Straker.

-Ty również przez wiele lat prowadziłeś poszukiwania na własną rękę.

-Znajdę to, czego szukam.

-Dzisiaj wieczorem znowu się omyliłeś. Czy naprawdę uważasz, że znajdziesz jej dzieciaki TUTAJ, na wiosennym festynie w Coal Country w Pensylwanii? Jeśli chcesz znać moje zdanie, uważam, że to mało prawdopodobne.

-Miejsce równie dobre jak każde inne.

-Może Ellen nie żyła na tyle długo, by związać się z innym mężczyzną. Brales to pod uwagę? Może ona już od dawna nie żyje.

-Żyje.

-Nie możesz mieć pewności.

-Mam.

-A nawet jeżeli żyje, to skąd wiadomo, że ma dzieci?

-Ma. One na pewno gdzieś są.

-Do diabła, nie masz najmniejszego powodu, by tak twierdzić!

-Widziałem znaki.

Zena spojrzała w jego lodowate, błękitne oczy i zadrzała. Znaki? Czy Conrad był w dalszym ciągu na wpół szalony - a może zupełnie stracił rozum? Kruk postukał dziobem w metalowe prety kratki.

-A jeżeli jakimś cudem odnajdziesz dzieciaki Ellen - zaczęła - co z nimi zrobisz?

-Już ci mówiłem.

-Powiedz jeszcze raz - mruknęła, obserwując go z uwagą.

-Chcę powiedzieć jej dzieciakom, co ona zrobiła - rzekł Conrad. - Chcę, aby wiedziały, że jest dzieciobojczynią. Chcę nastawić je przeciwko niej. Wykorzystam swoje umiejętności, aby przekonać je, że ich matka jest plugawa, odrazająca zbrodniarka, najgorszego rodzaju, jaki tylko można sobie wyobrazić. Dzieciobojczynią. Sprawie, że nienawidza ją równie mocno jak ja jej nienawidzę. W rezultacie odbiorę jej dzieci, choć nie tak brutalnie jak ona odebrała mi synka.

Jak zawsze, kiedy mówił na ten temat, w jego głosie słychać było niezłomne przekonanie. I jak zawsze Zena miała wrażenie, że kłamie. Była pewna, że miał wobec nich inne plany, a zemsta, jaką sobie obmyślił, była bardziej brutalna i okrutna niż to, co dwadzieścia pięć lat temu Ellen zrobiła z dziwnym, kłopotliwym dzieckiem - potworkiem. Jeżeli Conrad zamierzał zabić dzieci Ellen, kiedy - i jeżeli - je odnajdzie, Zena nie chciała brać w tym udziału. Nie miała zamiaru stać się współwinną morderstwa.

Mimo to nadal pomagała mu w poszukiwaniach. Czyniła to tylko dlatego, że nie wierzyła, aby kiedykolwiek udało mu się odnaleźć to, czego szukał. Pomoc, jakiej mu udzielała, wydawała się zgola nieszkodliwa, właściwie próbowała go tylko udobruchać. To wszystko. Jego poszukiwania nie miały szans powodzenia. Nigdy nie odnajdzie dzieci Ellen, zakładając, że w ogóle istnieją. Conrad odwrócił od niej wzrok i spojrzał na kruka.

Ptaka zmierzył go jednym czarnym i lśniącym jak smoła okiem, a kiedy ich spojrzenia spotkały się, kruk znieruchomiał. Z

zewnař slychac bylo dzwieki muzyki plynacej z organow parowych i glos stutysiecznego tłumu, jaki zawital do lunaparku w ostatnim dniu jego pobytu w miasteczku. Zlaly sie w jeden rytmiczny szum, przypominajacy oddech gigantycznej bestii.

W oddali wielki mechaniczny klaun na szczycie Tunelu Strachu raz po raz wybuchal ochryplym smiechem.

3

Kiedy Amy weszla do domu za kwadrans dwunasta, uslyszala dobiegajace z kuchni przytlumione glosy. Zdziwila sie, ze ojciec jeszcze nie spal, choc w sobotnie wieczory kladl sie zazwyczaj wczesnie, aby w niedziele pojsc na pierwsza poranna msze do kościoła. Tym samym reszte dnia mogl poswiecić swojemu hobby - miniaturowej kolejce i dobudowywaniu do niej coraz to nowych elementow. Jednak w kuchni znalazla tylko matke. Glosy dochodzily z radia, nastawionego na telefoniczny talk show jednej z chicagowskich stacji. Radio bylo sciszone.

W pokoju unosil sie slaby zapach czosnku, cebuli i sosu pomidorowego.

Swiatlo bylo zgaszone. Palila sie tylko pojedyncza zarowka nad zlewem i lampka z abazurem, wiszaca nad kuchenka. Z radia plynela lagodna zielonkawa poswiata.

Ellen Harper siedziala przy kuchennym stole. Splecione rece polozyla na blacie, oparla na nich glowe i patrzyla w przeciwna strone, nie w kierunku drzwi, w ktorych pojawila sie Amy. Wysoka szklaneczka wypelniona w polowie zoltyym plynem znajdowala sie w zasiegu reki Ellen. Amy nie musiala probowac, aby wiedziec, co to takiego. Jej matka zawsze pila to samo - wodke z sokiem pomaranczowym. W nadmiernej ilosci.

Spi, pomyslala z ulga Amy.

Odwrocila sie od matki, zamierzajac pojsc na gore do swego lozka, ale Ellen odezwala sie nagle:

-Ty...

Amy westchnela i spojrzala na nia.

Oczy Ellen byly metne, przekrwione, powieki jej opadaly. Zamrugala ze zdumienia.

-Co ty robisz w domu? - spytala. - Przyszlas ponad godzine za wczesnie.

-Jerry sie rozchorowal - sklamala Amy. - Musial wrocic do domu.

-Ale przyszlas godzine za wczesnie - powtorzyla jej matka spogladajac na nia ze zdumieniem i raz po raz mrugajac powiekami, usilujac przeniknac opary alkoholowej mgielki, ktore spowijaly jej mysli.

-Jerry zle sie poczul, mamó. Widocznie na balu zjadal cos, co mu zaszkodzilo.

-To byly TANCE, nieprawdaz?

-Oczywiscie. Ale bylo tez jedzenie. Przystawki, ciasta, ciasteczka, poncz i takie tam. Widocznie cos mu nie posluzyló.

-Komu?

-Jerry'emu - stwierdzila spokojnie Amy. Jej matka zmarszczyla brwi.

-Jestes pewna, ze to wszystko, co sie wydarzylo?

-Co chcesz przez to powiedziec?

-To wydaje mi sie... zabawne - powiedziala ochryple Ellen, siegajac po nie dopitego drinka. - Podejrzane.

-Co moze byc podejrzanego w tym, ze Jerry sie rozchorowal? - spytala Amy. Ellen saczyla wodke z sokiem pomaranczowym. Wpatrywala sie w Amy ponad krawedzia szklanki, a jej spojrzenie bylo bardziej przenikliwie niz przed minuta.

Rozdrazniona Amy odezwala sie, zanim matka zdazyla ja o cokolwiek oskarzyc:

-Mamó, nie spoznilam sie. Przyszlam wczesniej. Chyba nie powinnaś mi robic wyrzutow.

-Nie wymadrzaj sie - powiedziala jej matka.

Amy wbila wzrok w podloge i zaczela przestepowac nerwowo z nogi na noge.

-Nie pamietasz, co rzekl nasz Pan? - zapytala Ellen. - Czcij ojca swego i matke swoja. Oto, co On mowi. Czy naprawde po tylu latach uczeszczenia do kosciola i studiowania Biblii nic ci nie zostalo w glowie?

Amy nie odpowiedziala. Z doswiadczenia wiedziala, ze w takich sytuacjach najlepiej bylo milczec.

Ellen dopila drinka i wstala. Krzeslo zaszuralo po plytkach podlogi, kiedy odsuwala je do tylu. Obeszla stol lekko chwiejajac sie na nogach i zatrzymala sie przed Amy. Miala kwasny oddech.

-Staralam sie, tak bardzo sie staralam zrobic z ciebie dobra chrzescijanke. Pilnowalam, zebys chodzila do kosciola. Zmuszalam cie do czytania Biblii, codziennych modlitw. Modlilam sie z toba az do upadlego. Nauczylam cie tego, co dobre. Staralam sie powstrzymac cie przed czynieniem zla. Ale zawsze mialam swiadomosc, ze mozesz wybrac jedna z dwoch stron. Jedna z nich. Dobro albo zlo.

Zakolysala sie i polozyla dlon na ramieniu Amy, zeby utrzymac rownowage.

-Widzialam w tobie wielki potencjal do czynienia zla. Codziennie modlilam sie z calego serca do Najswietszej Panienki, aby cie strzegla i czuwala nad toba. Masz w sobie mrok i nigdy nie mozesz pozwolic mu wydostac sie na powierzchnie.

Ellen przyblizyla sie, uniosla brode Amy i zajrzala jej gleboko w oczy. Amy miala wrazenie, jakby gdzies w jej glowie wily sie odrazajace, zimne jak lod weze.

Ellen przygladala sie jej z osobliwa pijacka intensywnoscia, palacym spojrzeniem chorej, trawionej wysoka goraczka. Zdawala sie zagladac w glab duszy corki, a na jej twarzy malowala sie mieszanina strachu, gniewu i niezlomnej determinacji.

-Tak - wyszeptala. - Latwo moglabys przejsc na druga strone. Tak latwo. To jest w tobie. Slabosc. Masz w sobie cos zlego i w kazdej minucie musisz z tym walczyć. Musisz byc ostrozna, zawsze ostrozna.

-Prosze, mammo...

-Czy dzis wieczorem pozwolilas temu chlopcu, aby cie dotykal?

-Nie, mammo.

-Az do slubu te rzeczy sa brudne i plugawe. Jesli zawiedziesz, szatan cie dopadnie. To, co jest w tobie, zostanie ujawnione i wszyscy beda mogli to zobaczyc. A nikt nie moze tego ujrzec. Nikt nie moze wiedziec, co tkwi gleboko w tobie. Musisz walczyć z tym zlem, ujarzmic je.

-Tak, mammo.

-Pozwalanie chlopcu, aby cie dotykal, jest straszliwym grzechem.

"Upijanie sie kazdej nocy do nieprzytomnosci rowniez, mammo. Wykorzystywanie wodka jako ucieczki od trosk jest grzechem, a ty w ten sposob wykorzystujesz zarowno alkohol, jak i kosciol, mammo. Dzieki nim zapominasz o swoich klopotach. Chcesz sie przed czyms ukryc. Przed czym sie ukrywasz, mammo? Czego tak bardzo sie boisz?"

Amy pragnela wypowiedziec na glos swoje mysli, ale nie odwazyla sie tego uczynic.

-Czy on cie dotykal? - zapytala znowu matka.

-Juz ci mowilam. Nie.

-Dotkнал cie.

-Nie.

-Nie kłam.

-Bylismy na balu - powtorzyla drzacym glosem Amy. - I Jerry'emu cos zaszкодzilo. Odwiozl mnie do domu. To wszystko, mammo.

-Dotykał twoich piersi?

-Nie - powiedziała niepewnie Amy. Czula się zakłopotana.

-Pozwoliłaś mu, żeby kładł dłonie na twoich udach? Amy pokręciła głową.

Ellen zacisnęła dłoń na jej ramieniu. Szponiaste palce wpily się bolesnie i głęboko w ciało.

-Ty go dotykałaś - powiedziała lekko belkotliwym głosem.

-Nie - stwierdziła Amy. - Nie zrobiłam tego.

-Dotykałaś go między nogami.

-Mamo, przecież wróciłam do domu WCZESNIEJ!

Ellen patrzyła na nią przez kilka sekund, usiłując doszukać się prawdy, ale ostatnie iskielki ognia znikły z jej ciemnych oczu. Wypity alkohol znow zaczął działać - efekt był piorunujący. Powieki Ellen opadły, a twarz osiadła jakby mocniej na kościach. Na trzeźwo była piękna kobieta, ale po pijanemu wyglądała na wymizerowaną i dużo starszą niż w rzeczywistości. Pusiła Amy, odwróciła się i podreptała do stołu. Wzięła pustą szklaneczkę, podeszła do lodówki i dorzuciła kilka świeżych kostek lodu. Dolęła odrobine soku pomarańczowego i spora porcję wódki.

-Mamo, czy mogę już iść do swojego pokoju? Chce się położyć?

-Nie zapomnij o modlitwie.

-Nie zapomnę.

-Odmów też rozaniec. To ci nie zaszkodzi.

-Tak, mamo.

Szeleszcząc spodnicą długiej sukni Amy pośpiesznie weszła na piętro.

W sypialni włączyła lampkę i stała przez chwilę przy łóżku, dygocząc jak w febrze.

Jeżeli nie zdoła zdobyć pieniędzy na zabieg, jeżeli będzie musiała powiedzieć o wszystkim matce, nie może liczyć na to, że ojciec opowie się po jej stronie. Nie tym razem. Będzie na nią zły i zgodzi się na każdy rodzaj kary, jaki wymyśli dla niej Ellen.

Paul Harper był prawnikiem, powodziło mu się niezgorzej. Na sali sądowej brylował, natomiast w domu zniżał się do roli pokornego, cichego pantoflarza. Wszelkie decyzje związane ze sprawami domowymi podejmowała Ellen, a Paul był w sumie zadowolony z takiej sytuacji.

Gdyby Ellen uparła się, że Amy ma urodzić to dziecko, Paul Harper poparłby jej decyzje. A mama będzie na to nalegać, pomyślała ze smutkiem Amy. Spojrzała na święte obrazy, które matka powiesiła w jej pokoju. U wezłowania łóżka wisiał krzyż, a drugi nieco mniejszy znajdował się nad drzwiami. Na nocnym stoliku znalazło się miejsce dla figurki Matki Boskiej. Dwie kolejne statuetki stały na toalecie. Jeden z obrazów przedstawiał Jezusa. Chrystus wskazywał na swe Najświętsze Serce, odsłonięte i krwawiące.

Amy usłyszała w myślach głos matki: NIE ZAPOMNIJ O MODLITWIE.

-Pieprze to - powiedziała Amy na głos bunczucznym tonem.

O co mogła poprosić Boga? Co chciała, aby dla niej zrobił? Zesłał jej pieniądze na zabieg? Było raczej mało prawdopodobne, aby TA modlitwa doczekała się spełnienia.

Rozebrała się. Przez kilka minut stała przed lustrem, przyglądając się swemu nagiemu ciału. Nie zauważyła jak dotąd żadnych oznak ciąży. Brzuch miała płaski.

Stopniowo te lekarskie oględziny nabrały bardziej intymnego, zmysłowego charakteru. Zaczęła przesuwac wolno dłońmi w gore, aż do piersi, ujęła je delikatnie, drażniac palcami sutki. Spojrzała na figurki stojące na toalecie. Sutki jej stwardniały.

Powiodła dłońmi wzdłuż boków w dół i ku tyłowi, zaciskając palce na jednych, krągłych pośladkach. Spojrzała na obraz

Jezusa.

Nagle nie wiedzieć czemu stwierdziła, że wykonując te nieprzyzwoite gesty przed wizerunkiem Chrystusa rani swoją matkę naprawdę głęboko. Amy nie rozumiała, skąd wzięło się u niej to wrażenie. Było absurdalne. Przecież obraz to tylko obraz. Tak naprawdę Jezusa nie było w tym pokoju i wcale się jej nie przyglądał. Mimo to jeszcze przez chwile wyginała się przed lustrem niczym wąż, w lubieżnym tańcu dotykając swojego ciała.

Wreszcie przypadkiem zwróciła uwagę na odbicie swoich oczu w lustrze i to krótkie wejrzenie w głąb własnej duszy sprawiło ją w zaniepokojenie i zakłopotanie. Pospiesznie włożyła flanelową koszulę nocną.

Co jest ze mną nie tak? - zastanawiała się. Czy naprawdę jestem wewnętrznie zła, jak mówi mama? Czy jestem zła?

Skonfundowana ukleknęła przy łóżku i mimo wszystko pomodliła się.

Kwadrans później, kiedy miała już się położyć i odkryła koc, zobaczyła, że na poduszce siedzi ogromna tarantula. Amy wstrzymała oddech, odskoczyła w tył - i nagle zorientowała się, że ow odrazający stwór jest po prostu gumowa zabawka. Westchnęła ciężko, włożyła gumowego pajaka do szuflady nocnego stolika i położyła się.

Jej dziesięcioletni brat, Joey, nigdy nie przepuścił okazji, by zrobić jej jakiś kawał. Zazwyczaj, gdy wyciął jej kolejny numer, zaczynała go szukać, udając strasznie zagniewana i grozić całą litanią poważnych konsekwencji, z rozległymi uszkodzeniami ciała włącznie.

Naturalnie nie byłaby w stanie go skrzywdzić. Bardzo go kochała. Jednak ten udawany gniew stanowił część gry, którą Joey lubił najbardziej. Przeważnie, w formie odwetu za żart, Amy po prostu unieruchamiała brata na łóżku i laskotała go, dopóki nie obiecał jej, że już będzie grzeczny. Teraz leżał w łóżku i pomimo późnej pory prawdopodobnie jeszcze czuwał, czekając aż Ellen wtargnie do jego pokoju. Tej nocy jednak siostra go rozczaruje. Nie miała nastroju, by zrobić to, co zwykle, a poza tym czuła się zmęczona.

Położyła się i zgasła światło.

Myslała o Jerry'ym Gallowayu. Mówiła prawdę, kiedy drwiła z jego umiejętności jako kochanka. Rzadko miała orgazm. Był niezdarnym, nieudolnym i egoistycznym partnerem. Mimo to pozwoliła, by dotykał jej praktycznie każdego wieczoru. Z tego związku nie miała wcale, albo bardzo niewiele przyjemności, ale pozwalała, by wykorzystywał ją, gdy tylko miał ochotę. Dlaczego? Dlaczego?

Nie była złą dziewczyną. W głębi serca nie była zbuntowana ani zepsuta. Nawet kiedy Jerry się z nią kochał, nienawidziła samej siebie za to, że jest taka łatwa. Kochając się z chłopakiem w zaparkowanym samochodzie czuła się nieswojo; zakłopotana i zazenowana, jakby udawała kogos, kim nie jest.

A przecież była ambitna. Planowała pójść do Royal City Junior College, a potem do Hio State, na wydział sztuk pięknych. Chciała pracować jako grafik reklamowy, a wolny czas - wieczory i weekendy poświęcić własnej twórczości. Gdyby okazało się, że ma prawdziwy talent i jest w stanie wyzyc z malowania, porzuciłaby codzienną pracę i zajęłaby się tworzeniem wspaniałych obrazów, które będą wystawiane na sprzedaż w galeriach. Zamierzała prowadzić udane, ciekawe życie.

Ale teraz była w ciąży. Jej marzenia obrocily się w niwecz. Może nie zasługiwała na szczęście? Może istotnie w głębi serca była zła, przeżarta do dna zgnilizną?

Czy dobra dziewczyna rozkłada nogi na tylnym siedzeniu samochodu swojego chłopaka, aby pieprzyć się z nim prawie każdego wieczoru? Czy dobra dziewczyna zachodzi w ciążę będąc jeszcze w liceum?

Mroczne minuty nocy rozwijały się jak czarna nic, podobnie jak myśli Amy - ponure, pogmatwane i niepokojące. Nie wiedziała, co ma sadzić o sobie - nie potrafiła zdecydować, czy w rzeczywistości jest dobra, czy raczej zła.

Znowu usłyszała w myślach głos matki:

MASZ W SOBIE MROK. TKWI W TOBIE COS ZLEGO I MUSISZ Z TYM STAŁE WALCZYĆ.

Nagle Amy przyszło do głowy, że jej zachowanie, wszystko, co uczyniła było próbą zrobienia na złość matce.

Ta myśl nie dawała jej spokoju.

Rzuciła polgłosem w ciemność:

-Czy pozwolilam Jerry'emu, aby zrobil mi dziecko, bo wiedzialam, ze to wstrzasnie mama? Czy niszcze wlasna przyszlosc tylko po to, by dopiec tej jazdy? - Tylko ona znalazla odpowiedz na to pytanie. Bedzie musiala wejrzec w glab siebie.

Lezala w lozku przykryta kocem, rozmyslajac.

Na zewnatrz wiatr kolysal koronami rozlozystych klonow. W oddali rozlegl sie przeciagly gwizd przejezdzajacego pociagu. Skrzypnelo otwierane drzwi, a deski pod dywanem zaskrzypialy, kiedy ktos wszedl do pokoju.

Halas obudzil Joeya Harpera. Otworzyl oczy i spojrzal na budzik widoczny w slabym blasku nocnej lampki. Dwunasta trzydziesti szesc.

Spal tylko poltorej godziny, ale nie czul sie oszolomiony ani otepialy. Umysl mial jasny i czujny, bo przewidzial, jaka bedzie reakcja Amy na tarantule w lozku. Ustawil budzik na pierwsza, spodziewajac sie, ze wlasnie o tej porze Amy wroci do domu. Najwyrazniej wrocila wczesniej. Kroki. Miekkie, zblizajace sie, jakby ktos sie skradal. Joey zeszytnial pod kocem, ale w dalszym ciagu udawal, ze spi.

Kroki ucichly, ktos stanal przy lozku.

Joey poczul, jak narasta w nim chichot. Przygryzl jezyk, aby powstrzymac smiech. Wyczul, jak nachyla sie ku niemu. Byla juz oddalona zaledwie o kilka cali. Zamierzal odczekac jeszcze kilka sekund, a potem, kiedy wyciagnie rece, aby zaczac go laskotac krzyknie: Buu! - prosto w twarz siostry, aby ja wystraszyt.

Nie otwieral oczu, oddech mial plytki i rowny, miarowo odliczal sekundy...

Mial wlasnie krzyknac, kiedy uswiadomil sobie, ze osoba pochylajaca sie nad nim wcale nie byla Amy. Poczul oddech przesycony kwasna wonia alkoholu i jego serce zabilo szybciej.

Nieswiadoma, ze Joey nie spi, matka odezwała sie spiewnie:

-Slodziutki, slodziutki. Kochany maly Joey. Malenki anioleczek. Slodziutki bezcenny malenki cherubinek. - Miala dziwny glos. Mowila cichym, lecz chrapliwym i melodyjnym szeptem. Słowa wydawaly sie odrobine zniekształcone.

Joey pragnal, aby sobie poszla. Byla mocno pijana, bardziej niz zazwyczaj. Juz wielokrotnie w tym stanie wchodzila noca do jego pokoju. Mowila do niego, myslac, ze chlopiec spi. Zapewne niejednokrotnie rzeczywiscie tak bylo. Joey wiedzial, co sie teraz stanie. Wiedzial, co jego matka powie i zrobi i bal sie tego. Byl smiertelnie przerazony.

-Aniolek. Wygladasz jak maly spiacy aniolek, cherubinek, lezysz tam taki niewinny, taki kochany i slodki.

Nachylila sie jeszcze bardziej, omiatajac jego twarz cuchnacym oddechem.

-Ale jaki jestes w srodku, aniolku? Czy caly jestes dobry, slodki i czysty? PRZESTAN, PRZESTAN, PRZESTAN - pomyslal Joey. Proszę, nie rob tego wiecej, mamó. Odejdz. Wyjdz stad. PROSZE.

Ale nie odezwal sie do niej, nawet nie drgnal. Nie chcial, aby zorientowala sie, ze nie spi. Kiedy byla w takim stanie, naprawde sie jej obawial.

-Wydajesz sie taki czysty - powiedziala, jej ochryply od alkoholu glos stal sie lagodniejszy, ale i bardziej belkotliwy.

-Lecz kto wie... moze twoja anielska buzia jest tylko przykrywka... maska. Moze tylko grasz przede mna. Czy tak wlasnie jest, aniolku? Moze... pod nia... jestes taki sam jak tamten. Jest tak, cherubinku? Czy pod ta slodka buzia jestes taki jak tamten potwor, istota, ktora on nazywal Victorem?

Joey nie mial pojecia, o czym mowila za kazdym razem, kiedy zakradala sie tu nocami po pijanemu i mamrotala don belkotliwie. Kim byl Victor?

-Skoro juz wydalam na swiat jednego takiego, czemu nie mialabym urodzic nastepnego? - powiedziala polglosem, a Joey odniosl wrazenie, ze jest czymś zaniepokojona.

-Moze tym razem... potwor czai sie WEWNATRZ. W umysle. Potwor WEWNATRZ.. ukrywajacy sie w normalnym cieiele... pod piekna, niewinna twarzyczka... czekajacy, aby sie ujawnic, kiedy nikt nie bedzie patrzyl. Po prostu czekajacy cierpliwie. Oboje - ty i Amy. I co wy na to? Wilki w owczych skorach. To mozliwe. Pewnie, ze mozliwe. A jezeli tak, to co? Wlasnie, co? Kiedy to sie stanie? Kiedy to COS sie ujawni? Czy moze odwrocic sie od ciebie plecami, moj sliczny, maly aniolku? Czy

kiedykolwiek bede bezpieczna? Jezu, Jezu, dopomoz mi. Wspomoz mnie, Matko Boza. Nigdy nie powinnam miec dzieci. Nie po tym pierwszym. Nigdy nie moge byc pewna, co wlasciwie stworzylam. Nigdy. A co, jesli...

Język i wargi, odretwiały od alkoholu, z kazda chwila coraz trudniej formułowaly kolejne slowa, a kiedy jeszcze bardziej zнизyla glos, Joey z trudem mogl doslyszec, co mowila, chociaz jej twarz znajdowala sie zaledwie pare cali od niego.

-A co, jesli... ktoregos dnia... bede... musiala cie zabic... aniolku? Kolejne slowa byly coraz cichsze i coraz mniej wyrazne:

-Co, jesli... bede musiala... zabic cie... tak... jak musialam... zabic tamtego? Zaczela cichutko poplakiwac.

Nagle Joeya przeszył lodowaty dreszcz, który zmrozil go do szpiku kosci. Zaniepokoil sie, ze to nagle drzenie spowoduje poruszenie koca i przykuje uwage matki. Bal sie, zeby sie nie zorientowala, ze uslyszal kazde wypowiedziane przez nia slowo. Wreszcie troche sie uspokoila. Przestala pochlipywac.

Joey byl pewien, ze slyszala glosne bicie jego serca.

Czul sie dziwnie. Bal sie matki, a jednocześnie bylo mu jej zal. Chcialby ja objac i powiedziec, ze wszystko bedzie w porzadku, ale brakowalo mu odwagi.

Wreszcie po minucie lub dwoch, ktore zdawaly sie dlugimi godzinami, wyszla z sypialni, delikatnie zamykajac za soba drzwi.

Przykryty kocem Joey skulil sie w pozycji embrionalnej.

Co to wszystko mialo oznaczac? O czym ona mowila? Czy to tylko dlatego, ze sie upila? A moze byla szalona?

Pomimo przerazenia Joey zawstydzil sie, ze pomyslal w ten sposob o swojej matce.

W glebi serca cieszył sie, ze mrok pokoju rozjasniala blada, slaba poswiata nocnej lampki. Nie chcial byc teraz sam wsrod zupelnych ciemnosci.

* * *

W koszmarnym snie Amy urodzila przerazajaco zdeformowane dziecko - odrazajaca, dzika istota, ktora bardziej niz czlowieka przypominala kraba. Znajdowala sie wraz z nia w malym slabo oswietlonym pokoju, a ta istota atakowala ja, klapiac ostrymi szczypcami i wilczymi szczekami. W scianach tkwily waskie okna i za kazdym razem, gdy mijala kolejne z nich, po drugiej stronie szyby widziala matke i Jerry'ego Gallowaya - patrzyli na nia i smieli sie. Nagle dziecko sunac zwawo po podlodze podpelzlo do niej i chwycilo ja ostrymi szczypcami za kostke.

Obudzila sie i usiadla na lozku, tlumiac krzyk narastajacy w gardle. Na szczescie zdolala go pohamowac.

To tylko sen, na milosc Boska, powiedziala sobie w duchu. Tylko zly sen, ktory zawdzieczasz Jerry emu Gallowayowi. Niech go wszyscy diabli!

W polmroku po jej prawej stronie cos sie poruszylo.

Wlaczyla nocna lampke.

Zaslony. Okno bylo uchylone na pare cali, aby pokoj byl stale wietrzony, i lekki podmuch poruszył zaslonami.

Przecznice lub dwie dalej zawyl zalosnie jakies pies.

Amy spojrzala na zegarek. Trzecia nad ranem.

Siedziala przez chwile na lozku, dopoki sie nie uspokoila, ale kiedy zgasila swiatlo, nie byla w stanie zasnac. Ciemnosc byla nieprzyjemna i grozna. Od dzieciinstwa Amy nie czula sie w ten sposob.

Miala osobliwe, niepokojace wrazenie, ze gdzies tam, posrod nocy, znajdowalo sie cos potwornego, co zmierzalo w kierunku domu Harperow. To cos przypominalo tornado, ale nie bylo nim.

Bylo czymś gorszym. Czymś dziwnym i niezwyklym, duzo grozniejszym niz zwykle tornado.

Miala przecucie - moze nie bylo to najwlasciwsze okreslenie, ale najblizsze temu, co czula - mrozace do szpiku kosci przecucie, ze do niej i do calej jej rodziny zbliza sie jakas nieublagalna, niszczaca, bezlitosna sila. Probowala sobie ja

wyobrazic, ale nie była w stanie.

Zadne porównanie nie przychodziło jej do głowy. Uczucie zagrożenia pozostawało nieokreślone, nie nazwane, ale mimo wszystko bardzo silne.

Prawde mówiąc doznanie było na tyle dojmujące, wymowne i nieodparte, że koniec końców Amy wstała z łóżka i podeszła do okna, chociaż w głębi duszy wiedziała, że to bezcelowe.

Mapie Lane pogrążona była w spokojnym śnie, spowita głębokimi, ale niegroźnymi cieniami. Poza ich ulica na kilku łagodnych pagórkach rozciągały się przedmieścia południowego krańca Royal City. O tak wcześniej porze widac było światła tylko w kilku domach.

Nieco dalej na południe, na skraju miasta i za nim znajdowały się tereny komunalne hrabstwa.

Teraz ogromna, mroczna przestrzeń była pustką, ale w lipcu, kiedy przyjeżdżało tu wesole miasteczko, Amy stojąc przy oknie będzie wpatrywać się jak urzeczona w feerie jaskrawych różnobarwnych świateł i odległy, czarodziejski, nieco rozmyty zarys obracającego się wolno Diabelskiego Młyna.

Noc była taka jak zwykle. Amy nie zauważyła niczego nowego ani tym bardziej niebezpiecznego.

Wrażenie, że znalazła się na drodze nadciągającej rozszalałej burzy, przygasło; zastąpiło je zniechęcenie.

Wrocila do łóżka.

W tej chwili nad domem Harperów zawisła tylko jedna groźba - jej ciąża, nieunikniony skutek grzechu, jaki popełniła.

Amy przyłożyła obie dłonie do brzucha. Zastanawiał się, co powie na to jej matka. Zastanawiała się też, czy zawsze będzie równie samotna i bezradna jak teraz. Z niepokojem patrzyła w przyszłość.

4

Przy stoisku z napojami orzeźwiającymi obok karuzeli przed Chrissy Lampion i Bobem Drew stało jeszcze w kolejce pięć osób. -Nie znoszę tak czekać - stwierdziła Chrissy - Ale naprawdę mam ochotę na to słodkie jabłko.

-To nie potrwa długo - mruknął Bob.

-Tyle jeszcze chciałabym zobaczyć.

-Spoko. Dopiero wpeł do dwunastej. Lunaparku nie zamkna przed pierwszą.

-Ale to ostatnia noc - rzuciła Chrissy. Wzięła głęboki oddech, napawając się aromatem przenikającym nocne powietrze. Była to osobliwa mieszanina zapachu prażonej kukurydzy, waty cukrowej, frytek czosnkowych, prażonych orzeszków i jeszcze paru innych.

-Ach! Az mi leci slinka. Napycham się przez cały wieczór i ciągle ma miło. Nie wierzę, że tyle zjadłam!

-To na pewno z podniecenia - orzekł Bob. - Podniecenie powoduje spalanie kalorii. No i te szalone przejeżdżki. Przeważnie byłaś nieomal śmiertelnie przerażona, a strach spala kalorie jeszcze szybciej niż forsowny trening.

Z powagą usiłował analizować przyczynę jej niezwyklego apetytu. Bob był księgowym.

-Może ty postoisz w kolejce - powiedziała Chrissy - a ja tymczasem zajrzę do toalety. Spotkamy się za parę minut przy karuzeli. W ten sposób ubijemy dwa wroble naraz.

-Jednym strzałem - poprawił Bob.

-Ze co?

-Mówi się: "Zabijemy dwa wroble jednym strzałem".

-A, tak. Jasne.

-Ale nie wydaje mi się, żeby to określenie tutaj pasowało - dodał Bob. - No, ale idź do toalety, skoro musisz. Spotkamy się, jak powiedziałas, przy karuzeli.

Jezu! - westchnęła w duchu Chrissy. Czy wszyscy księgowi są tacy?

Odeszła od stoiska po wilgotnych trocinach zascielających ziemię i zanurzywszy się w fali hałaśliwej muzyki płynącej od strony karuzeli minęła "krowadło silacza", gdzie muskularny młody chłopak trzasnął właśnie wielkim młotem w cel, powodując uruchomienie dzwonka i wzbudzając zachwyt swojej dziewczyny. Nie zwolniła też przechodząc obok tuzina naganiaczy, którzy wypluwali słowa z prędkością karabinu maszynowego, namawiając ludzi do spróbowania szczęścia przy jednym z wielu stanowisk gier, gdzie wygrane stanowiły pluszowe misie, szmaciane lalki i tym podobny chlamek. Z głośników przy rozmaitych stanowiskach płynęły dźwięki setek różnych piosenek, ale o dziwo ich połączenie wcale nie wydawało się drażniące. Wręcz przeciwnie, brzmiało to może nieco dziwnie, ale niewątpliwie urzekająco.

Lunapark był oceanem hałasu, a Chrissy z radosnym uśmiechem brnęła jego środkiem.

Chrissy Lampton uwielbiała wiosenny festyn w Coal Country. To była jedna z największych dorocznych atrakcji. Festyn, Boże Narodzenie, Sylwester, Święto Dziekczynienia, tance z okazji Halloween w Elks Club, Noce Las Vegas w kościele św. Tomasza (jedna w kwietniu, druga w sierpniu) stanowiły największe wydarzenia w ciągu całego roku, były jedynymi atrakcjami w Coal Country, na które warto było czekać.

Przypominała sobie fragment zabawnej i dość wulgarnego piosenki, która krążyła, kiedy Chrissy była jeszcze w liceum:

Wszyscy w tym miasteczku stale w maskach muszą chodzić, I w kaloszach, bo jest trudno w gestym gównie brodzić.
Jest tak, bowiem życie im przyszło w takim miejscu, gdzie Bóg ma zwyczaj się załatwiać, Gdy za wiele zje.

W liceum często śmiała się z tej piosenki. Teraz jednak, mając dwadzieścia siedem lat, zdawała sobie sprawę z faktu, że w miasteczku czekała ją, szara i nudna przyszłość, bez żadnych perspektyw; nic dziwnego, że głupi wierszyk przestał ją bawić.

Któregoś dnia wyjedzie do Nowego Jorku albo Los Angeles. Tam przynajmniej będzie miała jakąś przyszłość. Zamierzała stąd spłynąć, kiedy tylko zbierze na koncie dość pieniędzy, by przeżyć pół roku w nowym miejscu. Na razie dysponowała funduszami na pięć miesięcy.

Chłonąc po drodze barwy, dźwięki i urok wesołego miasteczka, Chrissy zmierzała w stronę Gabinetu Śmiechu. Tuż za nim powinno znajdować się WC. Toalety mieściły się w zuzłowych budynkach rozrzuconych na obrzeżach wesołego miasteczka.

Gdy przechodziła wśród tłumu, naganiacz przy strzelnicy zagwizdał na nią głośno i znacząco.

Uśmiechnęła się i pomachała do niego.

Czuła się świetnie. Choć na razie tkwiła w Coal Country, miała przed sobą wspaniałą, bajeczną przyszłość. Zdawała sobie sprawę, że jest atrakcyjna, a przy tym niegłupia. Z takimi atutami zdola w rekordowym czasie uwieść sobie gniazdko w wielkim mieście. Zajmie jej to nie więcej niż pół roku.

W tej chwili była maszynistką, ale to tylko na razie.

Kolejny naganiacz, tym razem przy kole fortuny, usłyszał gwizd pierwszego i też powitał ją w ten sposób. Zaraz potem dołączył do niego trzeci.

Miała wrażenie, że jest niesmiertelna.

Przed nią z głowy wielkiego klauna, tkwiacej na Tunelu Strachu, dobył się ochryply śmiech.

Tunel Strachu stał tuż obok Gabinetu Osobliwości, na wschodnim skraju lunaparku. Chrissy przypuszczała, że bezpośrednio za nimi powinny znajdować się toalety. Skreśliła obok wielkiej budowli, mijając po prawej salon dziwołagów, i ruszyła w głąb wąskiej alejki, oddalając się od tłumu, świateł i muzyki.

W powietrzu nie unosiła się już won smazonych potraw. Czuć było zapach wilgotnych trocin, smaru i benzyny z wielkich, buczących generatorów.

Wewnątrz Tunelu Strachu pobrzekiwały lancuchy, wilkolaki zawodziły jekliwie, duchy śmiały się, wampiry zgrzytały zębami, wagoniki z turkotem sunęły po kretym torze, a upiorna muzyka to cichła, to przybierała na sile. Jakaś dziewczyna krzyknęła. Zaraz potem to samo zrobiła druga. Potem trzy lub cztery naraz.

Zachowują się jak małe dzieci, pomyślała z pogardą Chrissy. Chociaż to aż wzduszające, jak niemal na siłę pragną odrobiny przerażenia i zgorliwości przyjmują zamknięte wewnątrz czterech ścian iluzje, aby choć na moment oderwać się od nudnej, szarej egzystencji na zadupiu znanym jako Coal Country, Pensylwania.

Godzine lub dwie temu, jadąc przez tunel z Bobem Drew, ona również wrzeszczała na całe gardło. Teraz, gdy przypominała sobie własną historię, czuła się odrobine zawstydzona.

Przestępując liny i kable i ostrożnie zmierzając w stronę drugiego końca tunelu uswiadomiła sobie, że za kilka lat, kiedy już będzie miała za sobą inne, głębsze doświadczenia, gdy dorosnie i przywyknie do bardziej złożonych emocji, lunapark nie będzie już dla niej egzotyczna i wspaniała atrakcja, ale czymś tandetnym i zgoła dziecięcym.

Dotarła już prawie do wylotu długiego, wąskiego przejścia.

Było tu ciemniej niż się spodziewała.

Potknęła się o gruby kabel elektryczny.

-Cholera! - syknęła.

Zachowała równowagę i zmrużywszy oczy spojrzała w dół.

Światła było akurat tyle, by po jej obu stronach utworzyły się nieprzeniknione, fioletowo czarne cienie.

Zapragnęła zawrócić, ale naprawdę bardzo chciało jej się siusiu, a nie miała wątpliwości, że toaleta jest już niedaleko.

W końcu dotarła do końca alejki i skręciła za róg, w ciemność za Tunelem Strachu, szukając jasno oświetlonego WC.

Mало brakowało, a zderzyłaby się z tym mężczyzną.

Stał przy tylnej ścianie Tunelu Strachu, ukryty wśród najgłębszych cieni.

Chrissy, zaskoczona, krzyknęła.

Nie widziała jego twarzy, ale zauważyła, że jest potężny. Bardzo potężny. Olbrzymi.

W ulamek sekundy po tym, jak zauważyła jego obecność, jeszcze zanim zszokowana otworzyła usta ze zdumienia, usłyszała, że to na nią czekał. Zaczęła krzyczeć.

Uderzył ją w bok głowy z taką siłą, że cudem chyba nie złamał jej przy tym karku. Krzyk uwiązł jej w gardle. Upadła na kolana, po czym oszłamiona przewróciła się na bok, na ziemię. Była kompletnie oślepiała. Nie mogła się ruszyć, ale rozpaczliwie walczyła o zachowanie przytomności.

Jej umysł był jedyną jasną plamą. Po obu stronach rozciągały się mroczne, bezdenne głębiny.

Prawie nie zdawała sobie sprawy, że tamten wziął ją na ręce i zaczął nieść.

Nie potrafiła mu się oprzeć - była zupełnie bezsilna.

Drzwi skrzypnęły głośno.

Zmusiła się do otwarcia oczu, aby się przekonać, że z mroku nocy trafiła do jeszcze ciemniejszego miejsca.

Serce biło jej tak mocno, jakby chciało wydusić powietrze z obu płuc za każdym razem, kiedy usiłowała wziąć głębszy oddech.

Olbrzym upuścił ją bezceremonialnie na twarde drewniane podłogi.

WSTAN! UCIEKAJ! - ponagliła się w myśli.

Nie mogła się ruszyć. Czowała się jak sparalizowana.

Skrzypnęły zawiasy, gdy ponownie zamykał drzwi.

TO NIE MOŻE SIĘ DZIAĆ NAPRAWDĘ! - pomyślała.

Zgrzytnęła zasuwka, a mężczyzna chrząknął, jakby z zadowoleniem. Była zamknięta sama na sam z tym człowiekiem.

Otepiała, oszłamiona, słaba jak dziecko, ale na szczęście bez obaw o utratę przytomności, usiłowała się zorientować, gdzie się znalazła. W pomieszczeniu było ciemno choć oko wykol. Drewniana podłoga była szorstka, a deski wibrowały; słychać było stłumione odgłosy pracujących maszyn.

Ktoś krzyknął. Potem dołączył do niego następny. Powietrze przeszył szalency śmiech. Muzyka przybrała na sile. Wibracje desek rozmyły się w głuchym TUK TUK TUK stalowych kół na metalowych szynach.

Znajdowała się w Tunelu Strachu. Prawdopodobnie w jakimś pomieszczeniu służbowym. Za torami, po których jeździły wagoniki.

Chrissy prawie nie była w stanie unieść dłoni do naznaczonej siniakiem skroni. Spodziewała się, że jej skóra i włosy będą mokre i lepkie od krwi, ale okazały się suche. Ciało było spuchnięte, ale skóra nie została uszkodzona.

Obcy ukląkł na podłodze obok niej.

Słyszała go, czuła, ale nie widziała; mimo to nawet tu, wśród tych ciemności, zdawała sobie sprawę z jego potężnej postury - to był istny człowiek góra.

Zgwałci mnie, pomyślała. Boże, nie. Proszę. Och, proszę, nie pozwól mu tego zrobić.

Obcy dziwnie dyszał. Weszł jak zwierzę. Jak pies usiłujący zwietrzyć jej won.

-Nie - powiedziała.

Ponownie chrząknął.

Bob będzie mnie szukał - powiedziała sobie z nadzieją i narastającą paniką. Bob tu przyjdzie, zjawi się tu i uratuje mnie, dobry, stary Bob. Proszę, Boże, proszę.

Panika narastała w niej w zastraszającym tempie, a w miarę jak uświadamiała sobie ogrom zagrożenia, jej umysł odzyskiwał dawną bystrość.

Obcy dotknął jej biodra.

Usiłowała się cofnąć.

Przytrzymał ją.

Zaczęła pojeikiwać i dygotać. Chwilowy paraliż minal, odretwienie kończył również. Nagle od stop do głowy zalała ją fala bólu - skutek ciosu w głowę sprzed paru minut.

Obcy przesunął dłoń w górę jej brzucha, do piersi i szarpnięciem rozerwał bluzkę.

Chrissy krzyknęła.

Spoliczkował ją, aż szczerknęły zęby.

Stwierdziła, że skoro znajduje się w Tunelu Strachu, wołanie o pomoc jest bezcelowe. Nawet gdyby ludzie zdołali ją usłyszeć poprzez muzykę, przez nagrane na taśmie zawodzenia i jęki upiórów, uznaliby, że to jeszcze jedna poszukiwaczka wrażeń, która zaskoczył wylaniający się z ciemności pirat albo wyskakujący z trumny wampir.

Mężczyzna zerwał jej biustonosz.

Fizycznie nie mogła się z nim mierzyć, ale odzyskała już dość sił, by móc choć przez chwilę mu się oprzeć; przecież nie mogła leżeć zupełnie bezczynnie, czekając aż ją zgwałci.

Chwyciła go za ręce, aby je od siebie odsunąć, ale z przerażeniem stwierdziła, że nie były to ludzkie dłonie. W każdym razie niezupełnie. Były po prostu... inne.

O BOŻE.

Nagle w ciemności dostrzegła dwa zielone owale. Dwa świecące zielone punkciki. Unosiły się w ciemności ponad nią.

Oczy.

Patrzyła w oczy Tamtego.

JAKI CZŁOWIEK MA OCZY, KTORE SWIECA W CIEMNOSCI?

* * *

Bob Drew stał przy karuzeli ze słodkimi jabłkami w obu dłoniach, czekając na Chrissy. Po pięciu minutach zaczął nadgryzać swoje jabłko. Po dziesięciu zniecierpliwził się i zaczął spacerować wokół. Po piętnastu wkurzył się na Chrissy - była fajna dziewczyna, ale czasami jej odbijało i nieraz wykazywała się razącą bezmyślnością. Po dwudziestu minutach jego gniew ustąpił na rzecz lekkiego zaniepokojenia - w końcu zaczął się martwić. Może zrobiło jej się niedobrze? Zjadła niesamowitą ilość różnego smięciowego zarcia. Byłoby dziwne, gdyby przedtem czy później tego nie zwróciła. Poza tym nigdy nie wiadomo na pewno, jak świeże jest jedzenie podawane w wesołym miasteczku. Może trafił się jej zepsuty hot dog albo razem z chiliburgerem zjadła jakieś świństwo.

Rozważając tę ewentualność on również zaczął odczuwać sensacje żołądkowe. Spojrzył na nie dojedzone jabłko i w końcu cisnął je do najbliższego kosza.

Chciał ją odnaleźć i upewnić się, że nic jej nie stało, ale przypuszczał, że nie będzie

zachwycona widząc go, kiedy jej oddech wciąż będzie cuchnął wymiocinami. Jeżeli rzeczywiście puszczała teraz pawia w damskiej toalecie, będzie potrzebowała czasu, aby się odświeżyć, poprawić makijaż i ogólnie doprowadzić do porządku.

Po dwudziestu pięciu minutach jabłko Chrissy trafiło do tego samego kosza co jego.

Po półgodzinie, znudzony galopującymi donikąd koniami i rytmicznie błyskającymi mosiężnymi słupkami, czując narastający niepokój o Chrissy, ruszył na jej poszukiwanie. Jeszcze nie tak dawno obserwował ją, jak odchodziła od stoiska z napojami i słodyczami, by rozplynąć się w tłumie. Pozerł wzrokiem jej krągłe pośladki i kształtne łydki. W minutę czy dwie później miał wrażenie, że dostrzega jej złote włosy w alejce opodal Tunelu Strachu, więc uznał, że powinien rozpocząć poszukiwania od tego właśnie miejsca.

Pomiędzy Tunelem Strachu a Gabinetem Osobliwości biegła pięciostopowej szerokości alejka wiodąca na obrzeża lunaparku, gdzie znajdowały się toalety. Przy końcu przejścia cienie były tak mroczne i gęste, że wydawały się niemal namacalne, niczym czarne zasłony, a teren wydawał się zdumiewająco pusty, chociaż od głównej alei dzieliło go nie więcej niż szesćdziesiąt stop.

Spoglądając niepewnie w mrok Bob zastanowił się, czy Chrissy mogła mieć poważniejsze kłopoty aniżeli zwykle sensacje żołądkowe. Była piękna dziewczyna, a w obecnych czasach, kiedy rzadko kto przejawiał jeszcze szacunek wobec prawa, znalazłaby wiele ludzi gotowych wziąć od dziewczyny wszystko, na co tylko mieli ochotę, obojętne czy ona tego pragnęła, czy też nie. Bob przypuszczał, że lunaparki przyciągały takich ludzi bardziej niż jakiegokolwiek inne miejsca na świecie.

Z rosnącym niepokojem dotarł do końca ścieżki i wyszedł na otwartą przestrzeń za Tunelem Strachu. Spojrzał w lewo, potem w prawo i zobaczył toalety. Niewielki, kanciasty cementowy budynek znajdował się o szesćdziesiąt stop od niego, skąpany w jasnym żółtym blasku. Nie widział całosci, załedwie jedna trzecia, ponieważ na placu przed toaletami stał rzad kilkunastu wielkich ciężarówek należących do lunaparku. Ciemność wydawała się tu jeszcze czarniejsza - ciężarówki przywoziły mu na myśl uszione prehistoryczne bestie.

Zrobił załedwie dwa kroki w stronę toalety, kiedy nagle potknął się o coś i mało nie upadł. Gdy odzyskał równowagę, pochylił się i podniósł zdradziecki przedmiot.

To była czerwona torebka Chrissy.

Bob Drew poczuł, że serce podchodzi mu do gardła.

Od wejścia do Tunelu Strachu, ozdobionego ogromną głową klauna, w mrok nocy pomknęła fala ochryplego, urywanego śmiechu.

Bob miał sucho w ustach. Gwałtownie przelknął, usiłując wytworzyć choć trochę śliny.

-Chrissy?

Nie odpowiedziała.

-Chrissy, na miłość Boska, gdzie jesteś?

Za nim skrzypnęły zawiasy otwieranych drzwi. Muzyka i okrzyki dobiegające z wnętrza tunelu stały się głośniejsze.

Bob odwrócił się w kierunku, skąd dobiegał hałas, czując się tak, jak nie czuł się od wielu lat, od czasu kiedy jako mały chłopiec kulil się w mrocznej sypialni ogarnięty przeraźliwym przeswiadczeniem, że w szafie czai się jakaś potworna istota. Ujrzał las cieni, zupełnie nieruchomych z wyjątkiem jednego, który przemieszczał się bardzo szybko. Pedził wprost na niego. Pochwycił go mocne dłonie.

-Nieee.

Bob poleciał na tylną ścianę Tunelu Strachu, cisnięty z siłą, która wycisnęła mu powietrze z płuc. Jego głowa odskoczyła w tył i z trzaskiem rąbnęła w grube deski. Usiłując odzyskać oddech, rozpaczliwie zaczerpnął powietrza. Płuca paliły go żywym ogniem, nocne powietrze przechodzące pomiędzy zębami wydawało się zimne jak lód.

Cień ponownie skoczył na niego.

Nie poruszał się jak człowiek.

Bob ujrzał zielone, błyszczące oczy. Uniosł jedną rękę, aby osłonić twarz, ale napastnik uderzył nizej. Bob zainkasował potężny cios w żołądek. Jeszcze przez jedną przepelnioną optymizmem chwilę miał nadzieję, że uderzono go pięścią.

Okazało się jednak, zbyt szybko, że cień zadał mu cios nożem. Przepelnilo go wilgotne, przyprawiające o mdłości uczucie, że brzuch rozchodzi mu się w szwach.

Oszolomiony sięgnął w dół, przykładając drżącą dłoń do brzucha i jęknął z odrazy i zgrozy, kiedy wyczuł palcami rozmiar rany.

MOJ BOŻE! ON WYPRUL MI WNETRZNOSCI!

Cień cofnął się i przykucnął obserwując, prychając i weszac jak pies. Belkoczac histerycznie Bob Drew usiłował zatrzymać nabrzmiałe zwoje jelit na swoim miejscu. Gdyby mu się to nie udało, nie mogłby marzyć, że lekarze jakos go pozszywają i przywrócą do zdrowia.

Istota - cień syknęła.

Bob był w zbyt głębokim szoku, aby czuć ból, ale wzrok z wolna przycmiewała mu czerwona mgielka.

Czul sie tak, jakby w ogole nie mial nog. Oparl sie o sciane Tunelu Strachu ze swiadomoscia, ze gdyby utrzymal sie na nogach, mialby pewna, choc niewielka szanse na przezycie. Rownie mocno jednak zdawal sobie sprawe, ze jezeli upadnie, jego szanse przetrwania stana sie rowne zeru. Jedyna nadzieja, ze wytrzyma. Wezmie sie w garosc. Dotrze do lekarza. Moze zdolaja go pozszywac. Moze uda im sie powkladac wszystko na swoje miejsce i zapobiec zapaleniu otrzewnej. Szansy byly prawie zadne, ale moze... gdyby tylko nie upadl... Nie mogl sobie pozwolic na upadek. Nie wolno mu upasc. Nie upadnie.

Upadl.

* * *

Lunaparkowcy nazywali to "noca wylinki" i obchodzili ja w iscie cyganskim duchu. Ostatnia noc pobytu w tym miejscu. Noc, kiedy demontowali wszystkie stanowiska. Noc, kiedy pakowali manatki i przygotowywali sie do przeniesienia na nowe miejsce. Lunapark wyslizgiwal sie z miasta mniej wiecej tak jak waz ze swojej brudnej, zeschlej, niechcianej skory. Dla Conrada Strakera noc wylinki zawsze byla najlepsza noca tygodnia, bowiem nadal wbrew zdrowemu rozsadkowi mial nadzieja, ze w nastepnym miejscu znajdzie Ellen i jej dzieci.

Przed wpol do drugiej w nocy ostatni klienci opuscili teren wesolego miasteczka w Coal Country, Pensylwania. Do tej pory rozebrano kilka kramow, chociaz wiekszosc roboty wciaz jeszcze mieli przed soba.

Conrad, ktory oprócz Tunelu Strachu byl wlascicielem jeszcze dwoch stanowisk, osobiscie nadzorowal ich demontaz. Stanowisko gier zamknieto i rozebrano okolo pierwszej. Byl jeszcze barek "Na stojaka", nazwany tak, poniewaz nie bylo w nim stolkow, na ktorych mozna by usiasc. Klienci odbierali posilki i jedli na stojaco lub wrecz idac w kierunku kolejnych "atrakcji" lunaparku. Bar Conrad zamknal nieco wczesniej, przed polnoca.

Teraz w te chlodna majowa noc wraz Guntherem, Duchem, jednym pracownikiem lunaparku, paroma miejscowymi robotnikami pragnacyimi zarobic na lebka po czterdziesti dolarow i dwoma najemnymi wloczegami podrozujacymi wraz z wesolym miasteczkiem, pracowal przy demontazu Tunelu Strachu.

Rozebrali calosc na poszczegolne elementy i zaladowali na dwie ogromne ciezarowki, ktore dostarcza wszystko do miejsca przeznaczenia.

Tunel Strachu Conrada w pelni zasluzenie szczylic sie mianem najwiekszego na swiecie. Oferowal nalezyta porcje wrazen w zamian za pieniadze wydane na bilety, poniewaz przejazdka byla dostatecznie dluga i prowadzila w glab mrocznego tunelu, gdzie napaleni mlodzienci mogli liczyc na co najmniej kilka czulych usciskow ze strony swoich dziewczat. Stanowil wiec popularna i nader rentowna atrakcje lunaparku. Conrad poswiecil wiele lat i sporo pieniedzy na jego rozbudowanie, sprawiajac, ze ostatecznie stal sie najwspanialszym

tunelem tego typu na świecie.

Był dumny ze swego dzieła.

Mimo to za każdym razem, kiedy tunel trzeba było stawiać lub rozbierać, Conrad nienawidził go z pasją, której większość ludzi nie byłaby w stanie odczuwać w stosunku do rzeczy martwych - może z wyjątkiem kradnącego monety automatu telefonicznego albo upartego bankomatu.

Chociaż tunel był nader przemyślnie zaprojektowany - prawdziwe cudo, jeśli chodzi o konstrukcję - składanie go, a następnie rozbieranie zdawało się, przynajmniej w mniemaniu Conrada, dorównywać najbardziej spektakularnym wyczynom egipskich budowniczych piramid.

Przez ponad cztery godziny Conrad i jego dwunastoosobowa załoga pracowali z mrowczą gorliwością nad demontażem tunelu w blasku ogromnych, zasilanych z generatora lamp rozwieszonych przy alejce.

Zdjęli i rozłożyli na części wielką głowę klauna, ściągali sznury z pękami kolorowych lampek, zwinieli mierzące kilka tysięcy stop grube przewody elektryczne. Ściągneli i zrolowali płachty tworzące ściany tunelu. Pomrukując i pocąc się rozłączyli i załadowali na ciężarówki wagoniki kolejki. Zdemontowali mechaniczne wampiry, upiory i postacie zabójców z siekierami, które przyprawiały o dreszcz tysiące zadnych włazów nastolatków, po czym owinęli ruchome manekiny kocami i innymi miękkimi materiałami.

Wyjęli sworznie z drewnianych paneli ścian, rozmontowali belki i zwory, zdjęli i zabrali deski rozłożone na ziemi, a następnie wpełchnęli to wszystko, wraz z elementami kas biletowych, stoisk z napojami oraz skrzyniami generatorów, transformatorów i całą masą innego sprzętu, do czekających ciężarówek, których załadunek nadzorował skrzętnie Max Freed i jeden z jego asystentów Max, kierownik Wielkiego Amerykańskiego Show Objazdowego, czyli BAM - u, jak nazywali go pracownicy i współtowarzysze wędrowek, nadzorował demontaż i załadunek ogromnego lunaparku. Obok słynnej organizacji E. Jamesa Strakera BAM był największym lunaparkiem na świecie. Nie żadnym tandetnym, tanim wesołym miasteczkiem. To była naprawdę ogromna impreza. BAM podróżował na czterdziestu czterech wagonach kolejowych i ponad sześćdziesięciu ogromnych ciężarówkach. Chociaż część wyposażenia należała do niezależnych koncesjonariuszy, sprzęt załadowany na każdą z ciężarówek musiał zostać sprawdzony przez Maxa Freeda, bowiem wina za ewentualny wypadek spowodowany przez niesprawną ciężarówkę lub niewłaściwe zabezpieczenie ładunku zostałiby obciążeni wszyscy bez wyjątku pracownicy lunaparku.

Podczas gdy Conrad i jego ludzie demontowali Tunel Strachu, na głównej alei pracowało kilkuset innych lunaparkowców - robotników sezonowych i stałych, treserów zwierząt, naganiaczy, sprzedawców, techników obsługi maszyn, licytatorów, kucharzy, tancerki, karłow i karlic, a także kilka słoni. Z wyjątkiem szoferów, którzy nazajutrz rano siada za

kierownicami ciężarówek, w związku z czym teraz smacznie spali, nikt nie miał zmrużyć oka, dopóki wszystkie urządzenia wesołego miasteczka nie zostaną przygotowane do wyjazdu.

Koło Diabelskiego Młyna zostało już zdjęte. Częściowo zdemontowane, wyglądało jak para gigantycznych, najezonych długimi klami szczek wgrzających się w niebo.

Inne atrakcje również zostały rozebrane. Fala, karuzela lancuchowa, Młyn, Młot. Czarodziejskie urządzenia dające radość i śmiech zostały zamknięte wewnątrz pospolitych, brudnych od kurzu i smaru ciężarówek.

W jednej minucie namioty falowały niczym strugi ciemnego deszczu.

W następnej leżały na ziemi jak nieruchome czarne kaluże.

Groteskowe malowidła na transparentach przy Gabinetcie Osobliwości - dzieła lunaparkowego artysty Davida "Snap" Wyatta - trzepotały i wydymały się na wietrze. Na niektórych spośród wielkich płócien przedstawione były zdeformowane oblicza kilku ludzkich dziwolągów z Gabinetu Osobliwości - teraz zdawały się wykrzywiac, zerkac, mrugac i szczerzyć do pracujących niżej lunaparkowców. Powodował to wiatr igrający z płotnami.

Następnie sznury rozwiązano, skrzypnęły kolka masztu, a flagi i transparenty zsunęły się w dół na platforme naganiacza, gdzie zostały zwinięte i starannie poukładane - koszmary w wielkich, kartonowych tubach.

O wpół do szóstej rano wyczerpany Conrad obejrzał dokładnie miejsce, na którym stał Tunel Strachu, po czym uznał, że wreszcie może się położyć. Wszystko zostało zdemontowane. Na załadunek czekała jeszcze niewielka sterta sprzętu, ale tym zajma się już Gunther, Duch i jeden lub dwóch pracowników. To nie potrwa dłużej niż pół godziny. Conrad zapłacił lokalnym robotnikom i pracownikom najemnym. Wydał Duchowi polecenie, by nadzorował ostatni etap załadunku i aby już po wszystkim poprosił Maxa Freeda o ostatni przegląd. Powiedział także Guntherowi, aby robił wszystko, co Duch mu każe.

Wyplacił zaliczkę dwóm świeżym i wypoczętym szoferom, którzy właśnie wstali i niebawem mieli wyruszyć ciężarówkami do Clearfield w Pensylwanii, które w tym sezonie było ich kolejnym przystankiem. Conrad podąży za nimi tego samego dnia, tylko nieco później, swoim travelmasterem.

W końcu, czując dojmujący ból wszystkich mięśni, pomaszerował do swojego furgonu stojącego wśród ponad dwustu podobnych pojazdów, przyczep i domów na kolkach na placu przy zachodnim krancu lunaparku.

Im bliżej travelmastera, tym wolniej szedł. Posuwał się ciężko, leniwie, noga za nogą. Rozglądał się wokół podziwiając cicha, spokojna noc. Wiatr ucichł, powietrze wydawało się podejrzanie spokojne. Zbliżał się świt, chociaż na horyzoncie nie było jeszcze widac brzasku. Przedtem na niebie wisiał blady księżyc, ale niedawno zaszedł za gorami. Teraz

widac bylo jedynie klebiaste, lekko fosforyzujace chmury, srebrzystoczarne na tle ciemniejszego, granatowoczarnego nieba. Conrad stanal przy drzwiach swojego furgonu i wzial kilka glebokich oddechow, napawajac sie swiezym, orzezwiajacym powietrzem. Nie mial ochoty wejsc do srodka z obawy przed tym, co moze tam zastac.

Nie mogli jednak stac tak bez konca. Przygotowujac sie na najgorsze otworzyl drzwi, wszedl do travelmastera i wlaczyl swiatla.

W szoferce nie bylo nikogo. Podobnie w kuchni i sypialni.

Conrad przeszedl na tyl furgonu i zatrzymal sie, drzac, by po chwili z wahaniem uchylic drzwi prowadzace do glownej sypialni. Zdecydowanym ruchem wlaczyl swiatlo.

Lozko nadal bylo starannie zaslane, dokladnie tak jak je zostawil wczoraj rano. Na materacu - wbrew jego przypuszczeniom - nie bylo lezacej bezwladnie martwej kobiety.

Odetchnal z ulga.

Minal tydzien, odkad znalazl ostatnia kobiete. Niedlugo natrafi na kolejna. Byl tego pewien. Pragnienie gwaltu, zabojstw i zadawania bolu pojawialo sie teraz w tygodniowych odstepach, duzo czesciej niz dotychczas. Ale najwyrazniej dzis w nocy nic sie nie wydarzylo.

Z odrobine lepszym samopoczuciem wszedl do malej lazienki, by przed polozeniem sie do lozka wziac szybki, goracy prysznic - i stwierdzil, ze w umywalce zostaly slady krwi. Sterta recznikow pokrytych ciemnymi plamami lezala na podlodze.

A wiec TO sie stalo.

Kostka mydla Ivory na mydelniczce spoczywala posrod geste, ciemnej kaluzy. Mydlo bylo czerwobrazowe od krwi.

Przez prawie minute Conrad stal w progu, spogladajac z niepokojem w strone prysznicza. Zaslona byla zaciagnieta. Wiedzial, ze musi ja odsunac i sprawdzic co jest za nia, ale bal sie to uczynic.

Zamknal oczy i oparl sie o framuge, czekajac, az odzyska dosc sil, by uporac sie z tym, co musialo byc zrobione.

Do tej pory dwukrotnie odnalazl zwloki w kabinie prysznicza. Rozszarpane, zmiadzzone, roztrzaskane i nadgryzione. Nie wygladaly juz na istote ludzka.

Uslyszal, ze zaslona prysznicza grzechoczac przesuwala sie po metalowym precie - klak, klak, klak.

Gwałtownie otworzył oczy.

Zasłona nadal była zaciągnięta i zwisała luzno, nie poruszona.

Dźwięk był jedynie wytworem jego wyobraźni.

Głosno wypuścił powietrze.

Nerwowo oblizal wargi i odsuwając się od framugi podszedł do prysznica. Zaciśnął palce na zasłonie i szarpnięciem odsunął ją w bok.

Kabina była pusta.

Przynajmniej tym razem wszystko zostało usunięte. Był z tego powodu niezmiernie zadowolony. Zajmowanie się odrazajacymi szczatkami było zajęciem, którego Conrad nienawidził.

Naturalnie będzie musiał dowiedzieć się, co się stało z ostatnimi zwłokami. Jeżeli nie zostały przeniesione dość daleko od wesołego miasteczka, policja może zainteresować się ewentualnym związkiem między ofiarą a lunaparkiem. Będzie musiał już wkrótce pojechać tam i przetransportować trupa gdzieś dalej.

Odwrocił się od prysznica i zabrał za sprzątanie łazienki. W piętnaście minut później, trawiony przemożnym pragnieniem wypicia paru głębszych, zabrał z kuchni szklaneczkę, tacę z kostkami lodu i butelkę Johnniego Walkera. Przeniósł to wszystko do sypialni, usiadł na łóżku i nalal sobie dwie lub trzy uncje do szklaneczki. Usiadł prosto, opierając się plecami o trzy poduszki i saczył whisky, usiłując uspokoić się przynajmniej na tyle, by nie grzechotać przez cały czas kostkami lodu w szklaneczce.

Na nocnym stoliku leżała kserokopia grafiku miejscowości, które w tym sezonie miało odwiedzić ich wesołe miasteczko. Kartka była mocno postrzępiona od częstego przeglądania. Conrad wziął ją do ręki.

Od początku listopada do połowy kwietnia BAM, podobnie jak inne lunaparki, był nieczynny. Przerwa zimowa. Większość lunaparkowców i pracowników wędrownych wesołych miasteczek zimowała w Gibsonton na Florydzie, zwanym przez nich powszechnie Gibtown - miasteczko, które było ich całoroczna przystaniami, Shangrila, azyłem, miejscem, gdzie kobieta z broda i trzyoki mężczyzna mogli wypić razem drinka w pobliskim barze i nikt nie zwracał na nich uwagi. Od kwietnia do października jednak BAM był bez przerwy w drodze, odwiedzając co tydzień nowe miasto, by po sześciu dniach pojechać ku następnej przystani. Popijając szkocka Conrad Straker przejrzał grafik BAM - u. Zatrzymywał wzrok przy każdej kolejnej linii, rozkoszując się nazwami miasteczek, przetrawiając je i usiłując dzięki swojej mocy określić, w którym z nich mógł wreszcie natknąć się na dzieci Ellen.

Liczył, że miała przynajmniej jedną córkę. Dla syna - jeżeli go miała - opracował już odrębny

plan. Ale szczególne zamiary miał w stosunku do córki.

Po wypiciu kolejnych kilku uncji poczuł, że alkohol podziałał. Jednak, jak zawsze, nazwy miejscowości, jakie mieli odwiedzić w sezonie, ukoili jego nerwy lepiej niż jakakolwiek whisky.

Wreszcie odłożył listę i unosząc wzrok spojrzął na krzyż przybity do ściany w nogach łóżka. Był zawieszony do góry nogami, a twarz cierpiącego Chrystusa została starannie pomalowana na czarno.

Na stoliku w szklanym naczyniu stała zapalona świeca wotywna. Palila się na okrągło, przez całą dobę. Conrad skrzetnie tego pilnował. Świeca była czarna. Palący się wosk dawał osobliwy, ciemnawy płomyk.

Conrad Straker był wierzący. Modlił się gorliwie każdego wieczoru. Ale nie do Jezusa.

Dwadzieścia dwa lata temu przeszedł na satanizm. Stało się to wkrótce po rozwodzie z Zena. Z prawdziwą rozkoszą rozmyślał o śmierci, zarliwie i z niepokojem oczekując znalezienia się w piekle. Wiedział, że było ono jego przeznaczeniem. Piekło. Jego prawdziwy dom. Nie obawiał się go. Tam będzie spokojny. Będzie docenianym akolitą szatana. W gruncie rzeczy od owej pamiętnej, tragicznej wigilii, kiedy miał dwanaście lat, każdy kolejny dzień, całe jego życie, było istnym piekłem na ziemi.

Drzwi w przedniej części travelmastera otworzyły się, a przyczepa zadrgała, gdy do środka wszedł drugi z jej lokatorów. Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

-Jestem tu, w sypialni! - zawołał Conrad, który nie miał ochoty wstawać z łóżka. Nie usłyszał odpowiedzi, ale wiedział, kto wszedł do przyczepy.

-Zostawiłeś w łazience nieładny bałagan, kiedy się myłeś! - zawołał Conrad. Ciężkie kroki zbliżały się ku niemu.

* * *

Następnej niedzieli David Clippert i jego pies Moose wędrowali po wzgórzach Coal Country, dwie mile od terenów zarezerwowanych dla wesołych miasteczek. Parę minut przed czwartą, gdy pokonywali trawiasty pagórek, Moose wysforował się nagle naprzód i wśród niedużej kępy krzewów natrafił na coś, co wydało mu się szczególnie interesujące. Zaczął biegać wokół po trawie, nie zbliżając się jednak do gestwiny, zafascynowany niezwyklej znajomością. Zaszczekał kilka razy, zatrzymał się, by coś obwąchać, po czym dalej biegł w kółko, głośno oznajmiając o swoim odkryciu.

David, idący dwadzieścia jardów za psem, nie mógł dostrzec obiektu jego zainteresowania. Domyslał się, co to mogło być. Prawdopodobnie psiak wypatrzył stado motyli wśród chaszczki. Albo może mała jaszczurka, która przywarła do liścia, ale nie umknęła

byстрыm slegiom Moose'a. Najpewniej jednak byla to zwyczajna polna mysz. Moose nie ujadalby tak dlugo na cos, co byloby choc troche od niego wieksze. Byl wielkim seterem irlandzkim o gladkiej lsniacej siersci, psem silnym, przyjaznym i dobrym, ale niestety tchorzliwym. Gdyby natknal sie na weza, lisa albo nawet krolika, z miejsca podkulilby ogon pod siebie.

Kiedy David zblizyl sie do wysokich mniej wiecej na trzy stopy zarosli, skladajacych sie w glownej mierze z jezyn i tarniny, Moose cicho popiskujac wycofal sie za niego.

-Co sie stalo, psinko?

Pies zajal pozycje pietnascie stop od znaleziska i spogladajac pytajaco na swego pana zaskomlal cichutko.

Dziwne zachowanie, pomyslal David, marszczac brwi.

To bylo niepodobne do Moose'a, aby wystraszył sie zwykłej jaszczurki albo paru motyli. Tchorz natrafiając na taką ofiarę zmieniał się w godnego jej przeciwnika, bezlitosnego, dzikiego i nieposkromionego.

Pare sekund później, kiedy David dotarł do krzewów i ujrzał, co przykuło uwagę psa, zatrzymał się, jakby nagle natrafił na ceglana ścianę.

-Chryste - jeknal.

Front arktycznego powietrza musiał chyba zmienić kierunek, bowiem ciepłe majowe popołudnie stało się nagle niesamowicie chłodne. Lodowaty ziąb przenikał do szpiku kości, mroził krew w żyłach.

Wśród krzewów, podtrzymywane w pozycji siedzącej przez splecione galezie jezyn spoczywały dwa trupy, mężczyzny i kobiety. Zwłoki były skierowane twarzami ku gorze, a ramiona miały rozłożone na boki, jak gdyby zostały ukrzyżowane na najezonych kolcami gałązkach. Mężczyzna miał rozdarty brzuch i wyprute wnętrzności.

David wzdrygnął się, ale nie odwrócił od tego przerażającego widoku. W końcu lat sześćdziesiątych odsłużył dwie tury w Wietnamie jako lekarz polowy, zanim został ranny i odesłany do domu. Widział wszelkiego rodzaju rany jamy brzusznej, żołądki podziurawione kulami, rozprute bagnietami i odłamkami min przeciwpiechotnych. Nie był mieczakiem.

Kiedy jednak przyjrzał się uważniej kobiecie i ujrzał, co z nią zrobiono, mimowolnie krzyknął, odwrócił się, przeszedł chwiejnie kilka kroków, po czym ciężko opadł na kolana i gwałtownie wymiotował. Jego ciałem wstrzasnęły silne dreszcze.

"Dive" była ulubiona knajpka nastolatków w Royal City. Znajdowała się przy Mavin Street, cztery przecznice od budynku liceum. Zdaniem Amy nie było w niej nic szczególnego. Automat z napojami. Niewielki grill. Dziesięć stolików nakrytych cerata. Ośmiu stolików z obitymi skórą czerwonymi siedzeniami. Poł tuzina automatów bilardowych na zapleczu. Szafa grająca. To było wszystko. Nic specjalnego. Amy przypuszczała, że w całym kraju musiało być z milion podobnych lokali. Wiedziała o czterech innych, znajdujących się w dobrym starym Royal City. Jednak z jakiegoś tajemniczego powodu, być może dzięki instynktowi stadnemu albo chwytności nazwie, która kojarzyła się z cuchnącymi oparami dymu i alkoholu spelunka, jakiej z pewnością nie zaakceptowałyby ich rodzice, nastolatki nie z Royal City zbierały się w "Dive" liczniej niż w jakimkolwiek innym lokalu w mieście. Amy przez ostatnie dwa lata pracowała w czasie wakacji w "Dive" jako kelnerka i miała powrócić tam od pierwszego czerwca do września, kiedy to rozpoczyna się jesienny semestr w college'u. W roku szkolnym dorabiała sobie w knajpce przed świętami i w większość weekendów.

Z tego, co zarobiła, niewielką część przeznaczala na drobne wydatki, resztę zaś wpłacała na konto oszczędnościowe. Te pieniądze posłużyły jej do opłacenia czesnego.

W niedzielę, dzień po balu maturalnym Amy pracowała od południa do osiemnastej. W "Dive" było niewiarygodnie dużo klientów. Do czwartej po południu była kompletnie wypompowana. Przed piątą dziwiła się, że jeszcze trzyma się na nogach. W miarę jak zbliżał się koniec jej zmiany, co chwila popatrywała na zegarek, pragnąc by wskazówki przesuwały się coraz szybciej i szybciej.

Zastanawiała się, czy ten nietypowy dla niej brak energii można wyjaśnić ciążą. Prawdopodobnie tak. Część jej sił przeniosła się na dziecko. Nawet w tak wczesnym okresie musiała odczuwać efekty swego stanu, nieprawdaz?

Rozmyślanie o ciąży przygnębiło ją. Pograżona w posepnej zadumie miała wrażenie, że czas płynie jeszcze wolniej niż dotychczas.

Pare minut przed szóstą do "Dive" weszła Liz Duncan.

Wyglądała olśniewająco. Miała na sobie obcisłe francuskie dzinsy i fioletowo niebieski sweter, który wyglądał, jakby został udziergany wprost na jej ciele. Była efektowna blondynka o wspaniałej, przykuwającej oko figurze. Amy zauważyła, że kiedy Liz weszła do lokalu, wszyscy chłopcy natychmiast skierowali na nią wzrok.

Liz była sama, właśnie rzuciła kolejnego faceta. W jej przypadku nie było to niczym dziwnym. Stała się zmieniała chłopaków i z żadnym nie chodziła długo. Wymieniała ich równie często jak Amy pudełka z chusteczkami higienicznymi. Wczoraj wieczorem Liz była na balu z kolejnym znajomym "na jedną noc". Amy miała wrażenie, że wszyscy chłopcy Liz byli jej znajomymi "na jedną noc", nawet jeśli spotykała się z nimi przez miesiąc czy dwa. Liz nigdy nie pragnęła trwałego związku.

W przeciwieństwie do innych dziewcząt myśli o wymianie obrączek i chodzeniu z jednym, stałym chłopakiem napawała ją odraza. Lubiła odmiane, która zdawała się jej silną napędową.

Była złą dziewczyną, miała w liceum fatalną reputację, a niektóre z jej wyczynów przeszły wręcz do legendy.

Liz bynajmniej nie przejmowała się tym, co o niej gadają. Amy wyjęła z automatu dwie schłodzone puszki piwa korzennego, gdy Liz podeszła do kontuaru i odezwała się:

-Cześć, mała, co slychac?

-Jestem skonana - wyznała Amy.

-Niedługo kończysz?

-Za pięć minut.

-Jestes potem zajeta?

-Nie. Ciesze się, że wpadłaś. Muszę z tobą pogadać.

-Brzmi tajemniczo.

-To ważne - dodała Amy.

-Mamy szansę na malinową colę na koszt firmy?

-Jasne. Tam jest wolny stolik. Zajmij go, a ja przyjdę do ciebie, jak tylko skończę zmiany.

W kilka minut później Amy przyniosła colę do stolika i usiadła naprzeciw Liz.

-Co się stało? - spytała Liz. Amy pomieszała swoją colę słomką.

-Widzisz... potrzebuje... - Tak?

-Muszę... pożyczyć trochę pieniędzy.

-Jasne. Jak chcesz, pożyczę ci dziesiątą. To ci uradza?

-Liz... Potrzebuje dużo więcej. Trzy, cztery setki. Może nawet pięć.

-Mówisz serio?

-Tak.

-Jezu, Amy, znasz mnie. Jeżeli chodzi o pieniądze, przeciekają mi przez palce jak woda. Po

prostu sie rozplywaja. Starzy daja mi szmal, kiedy ich o to poprosze, ale nim sie obejrze, trzask prask i juz nie mam grosza przy duszy. To chyba cud, ze zostala mi jeszcze ta dziesiatka. Jezeli chcesz, to ja wez. Ale trzy, cztery paczki... zapomnij!

Amy westchnela i pokiwala glowa.

-Obawialam sie, ze to powiesz.

-Posluchaj, pozyczylabym ci, gdybym miala.

-Wiem.

Pomimo swoich wad, a bylo ich dosc sporo, Liz z cala pewnoscia nie nalezala do osob skapych.

-A co z twoimi oszczednosciami? - zwrocila sie do Amy. Amy pokrecila glowa.

-Nie moze tknac pieniedzy z konta bez aprobaty mojej mamy. I mam nadzieje, ze sie o tym nie dowie.

-O czym? Po co ci tyle forsy?

Amy chciala jej powiedziec, ale glos uwiadz jej w gardle. Wahala sie ujawnic swoj straszliwy sekret drugiej osobie, nawet jesli byla nia Liz. Upila lyk coli grajac na czas i zastanawiajac sie, czy powinna podzielic sie klopotami z przyjaciolka.

-Amy?

W "Dive" panowal potworny halas - dzwonienie i brzeczenie elektrycznych bilardow, jazgoczące tony rockowych piosenek plynace z szafy grajacej, gwar glosow, salwy smiechow.

-Amy, co sie stalo?

Amy, czerwona jak burak, odpowiedziala:

-Pewno uznasz, ze to absurdalne, ale widzisz... jestem zbyt... eee... zaklopotana, aby ci powiedziec.

-Faktycznie, to absurd. Mozesz powiedziec mi wszystko. Przeciez jestem twoja najlepsza przyjaciolka, prawda?

-Tak.

Rzeczywiscie Liz Duncan BYLA jej najlepsza przyjaciolka, scislej mowiac, jedyna przyjaciolka. Nie spedzala wiele czasu w towarzystwie innych swoich rowiesniczek.

Przyjazniła się głównie z Liz i jeśli zastanowić się nad tym dłużej, było to doprawdy nad wyraz osobliwe. Ona i Liz diametralnie różniły się od siebie. Amy pilnie się uczyła i w szkole szło jej raczej niezle. Liz kompletnie nie zależało na ocenach. Amy chciała pojsć do college'u, Liz absolutnie sobie tego nie wyobrażała. Amy była introwertyczką, cichą, spokojną i często niesmiałą. Liz cechowała odwaga i hardość, która często przeradzała się w otwartą bezczelność. Amy lubiła książki, Liz wolała filmy i czasopisma poświęcone plotkom o gwiazdach Hollywoodu. Amy, chociaż nastawiona negatywnie do ogarniętej fanatyzmem religijnym matki, nadal wierzyła w Boga, Liz natomiast twierdziła, że cała koncepcja Boga i życia po śmierci jest jednym wielkim stekiem bzdur. Amy nie przepadała za alkoholem i trawką i piła lub paliła jedynie po to, aby sprawić przyjemność Liz, zaś Liz twierdziła, że jeśli Bog faktycznie istnieje - po czym zwykle starała się przekonać Amy, że tak nie jest - to należałoby go czcić jedynie za to, że stworzył whisky i marihuane. Mimo wszystko ich przyjaźń kwitła. Działo się tak głównie dlatego, że Amy za wszelką cenę starała się ją utrzymać. Robiła to, czego chciała od niej Liz, i mówiła to, co jej koleżanka spodziewała się usłyszeć. Nigdy nie krytykowała Liz, zawsze ją rozbawiała, śmiała się z jej żartów i prawie zawsze zgadzała się z jej opiniami. Amy poświęcała ogromnie wiele czasu i energii, by ich przyjaźń przetrwała, ale nigdy nie zadawała sobie pytania, dlaczego tak bardzo zależało jej, aby być najlepszą przyjaciółką Liz Duncan.

Zeszłej nocy leżąc w łóżku Amy zaczęła podejrzewać, czy podświadomie nie pragnęła, aby Jerry Galloway zrobił jej dziecko na złość matce. To była zdumiewająca myśl.

Zastanawiała się teraz, czy również z tego samego paskudnego powodu tak usilnie starała się podtrzymać związek z Liz Duncan.

Liz cieszyła się (i chlubiła) najgorszą opinią w całej szkole. Miała niewyparzony język, aroganckie maniery i lubiła "te rzeczy". Przyjaźń z nią mogła być dla Amy jeszcze jednym przejawem buntu wobec tradycyjnych wartości i postaw moralnych wpajanych jej przez matkę.

Tak jak poprzednio, Amy zaniepokoiła się na myśl, że mogła niszczyć własną przyszłość tylko po to, by dopieć własnej matce. Jeśli faktycznie tak było, jej uraza i niechęć musiała być dużo głębsza i dużo mroczniejsza niż się jej wydawało. Jednocześnie oznaczało to, że nie panowała nad własnym życiem, że kierowała nią ślepa nienawiść i niepohamowana, wszechogarniająca, zjadliwa gorycz. To było potworne. Nie była w stanie się nad tym dłużej zastanawiać - czym prędzej odegnęła od siebie przerażające myśli.

-No więc? - spytała Liz. - Powiesz mi, co się dzieje? Amy zamrugala.

-No... wiesz... zerwałam z Jerrym.

-Kiedy?

-Wczoraj wieczorem.

-Po tym jak wy szliscie z balu? Dlaczego?

-Bo to glupi, podly gnojek.

-Zawsze byl taki - stwierdzila Liz. - Ale wczesniej cie to nie ruszalo. Czemu tak nagle zmienilas zdanie? I co to ma wspolnego z tym, ze potrzebujesz trzech lub czterech setek?

Amy rozejrzala sie wokolo zaniepokojona, ze ktos moglby podslychiwac. Siedzialy przy ostatnim stoliku, tak wiec za soba nie miala nikogo. Po drugiej stronie za Liz czterech futbolistow dziarsko silowalo sie na rece. Przy sasiednim stoliku para domoroslych intelektualistow zazarcie dyskutowala na temat nowych filmow - nazywali je "obrazami" i mowili o autorach, jakby od lat pracowali w Hollywood i wiedzieli wszystko na temat sztuki rezynerskiej. Nikt nie podslychiwal.

Amy spojrzala na Liz.

-Ostatnio rano miewam mdlosci. Liz zrozumiala wszystko w lot.

-O, nie! A okres?

-Nie mialam.

-Cholera.

-Teraz juz widzisz, po co mi ten szmal.

-Na aborcje - powiedziala polglosem Liz. - Powiedzialas Jerry'emu?

-Wlasnie dlatego zerwalismy. Powiedzial, ze to nie jego dziecko. Nie pomoze.

-Podly sukinsyn.

-Jestem w kropce.

-Cholera! - rzucila Liz. - Czemu nie poszlas do tego lekarza, ktorego ci polecilam? Czemu nie zalatwilas sobie recepty na pigulki?

-Balam sie pigulek. Tyle sie slyszy historii o raku i zakrzepach...

-Kiedy tylko skonczy dwadziescia jeden lat - stwierdzila Liz - poddam sie zabiegowi. Ale poki co, pigulki sa niezbedne. Co jest gorsze - ryzyko zakrzepu krwi czy zajscie w ciaze?

-Masz racje - powiedziala ze smutkiem Amy. - Nie wiem, dlaczego cie nie posluchalam.

MOZE DLATEGO, ZE CHCIALAS ZROBIC SOBIE BRZUCH, TYLE ZE NIE ZDAWALAS SOBIE Z TEGO SPRAWY. Liz nachylila sie w jej strone.

-Jezu, mala. Tak mi przykro. Cholernie mi przykro. Czuje sie chora. Powaznie. To okropne, jak glupio wpadlas. Jezu, co za szambo.

-Jestem w kropce - powtorzyla Amy.

-Powiem ci, co masz zrobic - zaczela Liz. - Pojdiesz do domu i opowiesz o wszystkim swoim starym.

-Nie. Nie moglabym. To byloby okropne.

-Przyjemne na pewno nie bedzie. Spodziewaj sie krzykow, wrzaskow i wyzywania od najgorszych. Zrzuca na ciebie cholernie ciezkie brzemie winy. Nie ma co, czeka cie nie lada przeprawa. Ale nie boj sie, przeciez cie nie pobija, ani tym bardziej nie zabija.

-Moja matka moglaby.

-Nie wyglupiaj sie. Ta stara larwa bedzie zrzedit, jeczec, wrzeszczec o tym, co jest dla ciebie najwazniejsze. A najwazniejsze jest, abys trafila do pieprzonej kliniki i jak najszybciej dala z siebie wyskrobac tego cholernego bekarta.

Amy skrzywila sie slyszac slowa przyjaciolki.

-Jedynie, co musisz zrobic - dodala Liz - to zacisnac zeby i przetrzymac spokojnie cala burze, az starzy zaplaca za skrobanke.

-Zapominasz, ze moi rodzice sa katolikami. Uwazaja, ze aborcja to grzech.

-Moga uwazac, ze to grzech, ale nie zmusza mlodej dziewczyny, aby zrujnowala sobie z tego powodu cale zycie. Jest cala masa wierzacych kobiet, ktore decyduja sie na skrobanke.

-Na pewno masz racje - powiedziala Amy. - Ale moja matka to dewotka. Nie pojdzie na to.

-Naprawde sadzisz, ze bedzie chciala zyc z pietnem wstydu, wychowujac nieslubnego wnuczka?

-Aby mnie zranic... a przede wszystkim, aby dac mi nauczke... tak.

-Jestes pewna?

-Jak najbardziej.

Przez chwile siedzialy w posepnym milczeniu.

Z szafy grajacej plynal glos Donny Summer, spiewajacej o cenie, jaka trzeba zaplacic za milosc.

Nagle Liz pstryknęła palcami.

-Mam! - Co?

-Nawet katolicy godzą się na aborcję, kiedy zagrożone jest życie matki, zgadza się?

-Nie wszyscy. Jedynie ci najbardziej liberalni.

-A twoja stara do nich nie należy.

-Raczej nie.

-Ale ojciec jest lepszy, no nie? W każdym razie jeżeli chodzi o sprawy religijne?

-Nie jest takim fanatykiem jak mama. Mogłby mi pozwolić na dokonanie zabiegu, gdyby rzeczywiście uważał, że dziecko może zagrozić memu zdrowiu.

-W porządku. A więc spraw, aby myślał, że ono niszczy twoje zdrowie PSYCHICZNE. Kapujesz? Zagroź mu samobójstwem. Powiedz, że się zabijesz, jeśli nie pozwoli ci na usunięcie dziecka. Zachowuj się, jakbys była na wpół szalona. Histeryzuj. Wariuj. Krzycz, płacz, a potem ni z tego ni z owego ryknij śmiechem, potem znowu płacz, stłucz parę rzeczy... Jeżeli to wszystko go nie przekona, możesz spróbować się ciąć... oczywiście tylko na niby, niezbyt groźnie, ale na tyle głęboko, żeby poleła się krew. Nie będa pewni, czy zrobiłaś to przypadkiem, czy celowo i uznają, że dalsza zwłoka może być ryzykowna.

Amy powoli pokręciła głową.

-To się nie uda.

-Dlaczego?

-Nie potrafię grać.

-Załóżę się, że uda ci się ich oszukać.

-Takie udawanie... Będę się głupio czuła.

-A wolisz urodzić?

-Musi być inny sposób.

-Jaki?

-Nie wiem.

-Spójrz prawdzie w oczy, mała. To twoja najlepsza szansa.

-Nie wiem.

-Ale ja wiem.

Amy upiła łyk coli. Wreszcie po namyśle stwierdziła:

-Może masz racje. Może powinnam spróbować numeru z samobójstwem.

-Uda się. Bez pudła. Zobacysz. Kiedy im powiesz?

-No coż... uznałam, że najlepiej będzie, jeśli zaserwuję im te nowiny po otrzymaniu świadectwa maturalnego, naturalnie jeśli do tego czasu nie uda mi się jakos wybrnąć z tej kabaly.

-To całe dwa tygodnie! Posłuchaj, mała, im szybciej, tym lepiej!

-Dwa tygodnie nikogo nie zbawia. Może przez ten czas uda mi się jakos zdobyć pieniądze.

-Nie licz na to.

-Może jednak...

-Nie ludy się - rzuciła ostro Liz. - Poza tym masz tylko siedemnaście lat. Prawdopodobnie nawet gdybys miała szmal na zabieg, nie pozwoliliby ci usunąć dziecka bez zgody twoich rodziców. Załóż się, że musisz mieć co najmniej osiemnaście, aby móc decydować o sobie w jakiegokolwiek sprawie.

Amy zastanawiała się nad tym przez chwilę. Absolutnie nie myślała o sobie jako o nieletniej - czuła się jak stuletnia staruszka.

-Spójrz prawdzie w oczy, mała - namawiała Liz. - Nie posłuchalas mojej rady na temat pigulek. Nie schrzani tego i tym razem, dobrze? Proszę, bardzo cię proszę, zaklinam na wszystkie świętości, zrób to, co ci mówię. Im szybciej, tym lepiej.

Amy zdała sobie sprawę, że Liz ma racje. Odchyliła się do tyłu, odsuwając się od stolika i nagle ogarnęła ją fala rezygnacji. Zwiórczała i zapadła się w sobie jak marionetka, której poprzecinano wszystkie sznurki.

-W porządku. Im szybciej, tym lepiej. Powiem im dziś wieczorem... albo jutro.

-Dzisiaj.

-Dzisiaj raczej nie będę miała dość sił. Skoro mam odegrać numer z samobójstwem, będę musiała dać z siebie wszystko. A zatem powinnam solidnie wypocząć.

-Dobrze. Jutro - zgodziła się Liz. - Ale nie później niż jutro. Zrób to. Zbliża się wspaniałe

lato. Jeżeli pod koniec roku wyjadę na wschód, tak jak zamierzam, będzie to prawdopodobnie nasze ostatnie wspólne lato. Musimy je spędzić jak najlepiej. Niech to będzie takie lato, po którym długo pozostają wspomnienia. Sporo słońca, dużo dobrej trawki i paru nowych facetów. Tak. To będzie bombowe lato. Musi być. A nie będzie, jeśli nie załatwisz swojej sprawy i brzuch urosnie ci jak balon.

* * *

Dla Joeya Harpera niedziela okazała się wspaniałym dniem. Poranek rozpoczął się od mszy i szkolki niedzielnej, jak zawsze nudnych jak flaki z olejem, ale później nagle wszystko się odmieniło. Kiedy ojciec zatrzymał się przy Royal City News, aby nabyć niedzielne gazety, Joey zauważył na stoisku nowe komiksy, a w kieszeni miał dość drobnych, by kupić dwa numery swoich ulubionych serii. Potem matka zrobiła na lunch kurczaka i wafle, czyli to, co najbardziej lubił.

Po lunchu ojciec dał mu pieniądze, aby mógł pojechać do "Rialto". Było to kino, w którym wyświetlano wyłącznie stare filmy. Znajdowało się o szesć przecznic od ich domu i wolno mu było pojechać tam na rowerze, ale nie mógł wypuszczać się nigdzie dalej. Na niedzielny podwójny seans w "Rialto" zaplanowano dwa klasyczne filmy o potworach - Cos i To przybyło z kosmosu. Oba były super.

Joey uwielbiał horrory. W gruncie rzeczy nie wiedział, dlaczego tak za nimi przepada. Czasami, siedząc w mrocznym kinie i patrząc, jak jakaś obrzydliwa, oślizła istota skrada się w stronę bohatera, Joey o mało nie zsiadł się w majtki, a mimo to uwielbiał każdą przeżyta w ten sposób chwilę.

Po kinie wrócił do domu na kolację. Były cheeseburgery i przązona fasola, jeszcze lepsze niż kurczak i wafle, co wydawało mu się wręcz nieprawdopodobne.

Jadł, aż mu się uszy trzesły.

Amy wróciła z "Dive" do domu o dwunastej, na półtorej godziny przed tym, jak Joey położył się do łóżka, tak że jeszcze nie spał, kiedy znalazła powieszoną w swojej szafie gumowego weza. Przebiegła przez korytarz wrzeszcząc i goniła go po pokoju, aż złapała. Kiedy już go polaskotała, a on obiecał, że już nigdy nie zrobi jej podobnego kawału (w gruncie rzeczy oboje zdawali sobie sprawę, że nie dotrzyma obietnicy), namówił ją na godzinna (z zegarkiem w reku) gre w Monopol i to było naprawdę wdechowe. Pokonał ją - jak zawsze zresztą, bo chociaż była już prawie dorosła, bardzo słabo orientowała się w sprawach biznesu i finansów.

Kochał Amy bardziej niż kogokolwiek innego. Może to niedobrze? Przecież najbardziej powinno się kochać rodziców. To znaczy najpierw Boga, a dopiero potem rodziców. Tyle tylko, że mamę naprawdę trudno było kochać. Przez cały czas albo się z toba modliła, albo modliła się za ciebie, albo udzielała ci wykładu na temat właściwego zachowania,

powtarzając raz po raz, że stara się wychować cię na ludzi, czyli we właściwy sposób, tyle tylko, że nigdy nie okazywała, że naprawdę jej na tym zależało. Wszystko kończyło się na słowach.

Tate łatwiej było kochać, ale on bywał w domu raczej rzadkim gościem. Był bardzo zajęty jakimiś prawniczymi sprawami, prawdopodobnie ratował niewinnych ludzi przed elektrycznym krzesłem i innymi tego typu rzeczami, a kiedy już się pojawiał, spędzał większość czasu samotnie budując modele planszowe do miniaturowej kolejki. Nie lubił, kiedy mu się w tym przeszkadzało.

Tak więc pozostawała tylko Amy. Często bywała w domu. I zawsze wtedy, kiedy jej potrzebował. Była najmilszą osobą, jaką Joey znalazł, najwspanialszą, jaką jego zdaniem mógł poznać - i cieszył się, że to ona była jego siostrą, a nie ta durna, niemila Veronica Culp, z którą musiał mieszkać jego najlepszy przyjaciel, Tommy Culp.

Później, po zakończeniu gry w Monopol, kiedy już przebrał się w piżamę i umył zęby, odmówił wraz z Amy modlitwę i to było lepsze niż modlenie się z mamą. Amy odmawiała modlitwy szybciej niż mama i czasami ot tak, dla żartów zmieniała tu i owdzie jakieś słowo mówiąc na przykład zamiast "Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami wszystkimi" - "Święta Mario, Matko Boża, módl się za pchłami wszystkimi".

Joey zawsze wtedy chichotał, ale musiał uważać, aby nie śmiać się zbyt głośno, ponieważ mama mogłaby zacząć zastanawiać się, co śmiesznego widzieli w modlitwie, a wtedy oboje napytaliby sobie biedy.

Amy otuliła go starannie, pocałowała i zostawiła samego w księżycowej poświacie słabej nocnej lampki. Ułożył się wygodnie i prawie natychmiast usnął.

Niedziela była naprawdę świetnym dniem.

Ale poniedziałek zaczął się fatalnie.

Wkrótce po północy, kiedy nowy dzień miał zaledwie kilka minut, Joey obudził się słysząc szept matki stojącej przy łóżku i prowadzącej długi belkotliwy monolog. Tak jak zawsze, nie otwierał oczu, udając, że śpi.

-Mój mały aniołek... może w środku wcale nie jesteś aniołkiem...

Była pijana... i to bardzo. Tommy Culp na określenie tego stadium upojenia alkoholowego używał określenia "pijany w sztok". Nie ulegało wątpliwości, że jego matka tego wieczoru była pijana w sztok.

Belkotała pod nosem, jak to nie może zdecydować, czy on jest dobry, czy zły, czysty czy skalany, że w jego wnętrzu może ukrywać się coś szpetnego, coś potwornego, co tylko czeka, aby się wydostać, że nie chciała wydawać diabła na świat, że zadaniem Boga było

oczyszczać świat z takiego plugastwa, a także jak zabiła kogoś imieniem Victor i ma nadzieję, że nie będzie musiała postąpić w ten sam sposób z jej cudownym, bezcennym aniołeczkiem.

Joey zaczął drzeć. Był śmiertelnie przerażony, że jego matka zorientuje się, że nie śpi. Nie wiedział, co mogłaby zrobić, gdyby odkryła, że usłyszał jej dziwny, bełkotliwy monolog.

Był już bliski powiedzenia jej, aby się zamknęła i wyszła z pokoju, ale rozpaczliwie starał się jakos ją zagłuszyć. Zmusił się, by myśleć o czymś innym. Skupił się na wyobrażeniu sobie (ze szczegółami) ogromnej, złowrogiej istoty, przybysza z kosmosu z filmu Cos, który widział poprzedniego popołudnia w kinie "Rialto". Stwor z tego filmu wyglądał jak człowiek, tyle, że był dużo większy. Swymi gigantycznymi łapami mógł w mgnieniu oka rozerwać człowieka na strzępy.

A te jego oczy, w których wewnątrz zdawał się płonąć ogień! A przecież ten stwor był w rzeczywistości rośliną. Obca roślina, przybyszem z kosmosu, prawie niezniszczalnym i żywiącym się krwią. Doskonale pamiętał scenę, w której naukowcy szukali obcego sprawdzając kolejne pomieszczenia; nie znaleźli go jednak, a kiedy w końcu zrezygnowali, następne drzwi tuż za nimi otworzyły się na oścież i z wnętrza wypadł rozszalały, ryczący potwór pragnący kogoś pozrec.

Przypominając sobie nieoczekiwana furie ataku monstrum Joey poczuł, że krew zastyga mu w żyłach. Czuł się jak w kinie. Ta scena była tak przerażająca, że po grzbiecie przeszły mu lodowate ciarki. W porównaniu z tym upiornym dreszczem bełkot matki wydawał się praktycznie niczym. Istoty, z którymi musieli mierzyć się ludzie w filmach grozy, były tak straszne, że wszelkie okropne zdarzenia mające miejsce w realnym życiu stawały się przy nich mdłe, bezbarwne i zgoła niegroźne.

Nagle Joey zaczął się zastanawiać, czy to właśnie dlatego tak bardzo lubi celuloidowe koszmary.

6

Rano mama zawsze wstawiała pierwsza. Codziennie chodziła na msze, nawet kiedy była chora albo kiedy męczył ją potworny kac. Latem, podczas wakacji, oczekiwała, że Amy i Joey również będą uczeszczali do kościoła i przyjmowali komunie święta równie często jak ona. Jednak w ten poniedziałkowy majowy poranek Amy, wciąż leżąc w łóżku, nasłuchiwała jak jej matka przechodzi przez dom i wchodzi do garażu znajdującego się bezpośrednio pod sypialnią Amy. Toyota zaskarżowała przy drugiej próbie, a automatycznie otwierane drzwi zgrzytnęły i znieruchomiały przy wtórze metalicznego loskotu, od którego w pokoju Amy zatrzęsły się szyby.

Kiedy matka odjechała, Amy wstała z łóżka; wzięła prysznic, ubrała się i zeszła na parter do kuchni. Ojciec i Joey kończyli śniadanie składające się z angielskich grzanek i soku

pomaranczowego.

-Pozno dzis wstalas - rzekl jej ojciec. - Lepiej sie pospiesz i zjedz cos. Za piec minut wyjezdziemy.

-Jest taki piekny poranek - stwierdzila Amy. - Chyba pojde do szkoly na piechote.

-Na pewno zdazysz?

-O tak. Mam sporo czasu.

-Ja tez - rzekl Joey. - Chce pojsc z Amy.

-Do szkoly podstawowej jest trzy razy dalej niz do liceum - stwierdzil Paul Harper. - Zanim tam dotrzesz, zetrzesz sobie nogi do kolan.

-Nie - mruknal Joey. - Dam rade. Jestem twardy i dzielny.

-Prawdziwy zimny hombre - przyznal ojciec. - Ale mimo to pojedziesz ze mna.

-Au, dostalem! - rzucil Joey.

-Trafiony! - powiedziala Amy wskazujac na niego palcem. Joey usmiechnal sie.

-Chodz, hombre - mruknal jego ojciec. - Ruszamy.

Amy stala przy jednym z okien saloniku obserwujac, jak odjezdza rodzinnym pontakiem.

Oklamala ojca. Nie pojdzie do szkoly na piechote. Prawde mowiac w ogole nie wybierala sie dzis do szkoly.

Wrocila do kuchni i zaparzyła kawę. Nalala sobie kubek goracego napoju, nastepnie usiadla przy kuchennym stole czekajac na powrot mamy z kosciola.

Ubieglej nocy, kiedy nie mogla zasnac i przewracajac sie z boku na bok rozwazala najlepsze warianty czekajacej ja "spowiedzi", uznala, ze najpierw powinna powiedziec o wszystkim matce. Gdyby Amy nakazala usiasc rodzicom i powiedziala im obojgu naraz, reakcja mamy na te nowine bylaby skalkulowana w taki sposob, by wyrzec wplyw nie tylko na jej corke, ale i na meza - potraktowalaby Amy jeszcze surowiej niz gdyby rozmawialy w cztery oczy.

Poza tym Amy zdawala sobie sprawe, ze gdyby najpierw powiedziala o wszystkim ojcu, wygladaloby to tak, jakby usilowala obejsc matke, prawie wbic klin pomiedzy rodzicow, szukajac wsparcia jednego z nich. Gdyby matka tak wlasnie pomyslala, sprawilaby jej dwa razy gorsze trudnosci niz w innym przypadku. Mowiac matce pierwszej i niejako dajac tym samym dowod swego szacunku, Amy miala nadzieje na poprawienie swojej sytuacji i

pomysłne załatwienie kwestii zabiegu.

Dopila kawę. Nalala sobie drugą i również wysaczyła.

Tykanie kuchennego zegara wydawało się coraz głośniejsze, aż zmieniło się w rytmiczne dudnienie, poruszające z każdym uderzeniem wszystkie nerwy w jej ciele.

Kiedy mama wróciła wreszcie do domu z mszy i weszła do kuchni przez drzwi prowadzące z garażu, Amy była spięta jak nigdy dotąd. Jej bluzka na plecach i pod pachami pokrywała plamy potu. Choć wypila gorącą kawę, miała wrażenie, że w jej żołądku zaległa wielka lodowa bryła.

-Dzień dobry, mamo.

Matka stanęła zdumiona, z jedną ręką na uchylonych drzwiach. Z tyłu za nią widac było cienie wewnątrz garażu.

-Co ty tu robisz?

-Chciałabym...

-Powinnas być w szkole.

-Zostałam w domu, bo chciałam...

-Czy to nie jest ostatni tydzień egzaminów?

-Nie. Egzaminy są w przyszłym tygodniu. W tym powtarzamy materiał do testów.

-To również jest ważne.

-Tak, ale chyba nie pójdę dziś do szkoły.

Mama zatrzasnęła i zamknęła na klucz drzwi do garażu, potem spytała:

-Co się stało? Jesteś chora?

-Niezupełnie. Ja...

-Co to znaczy niezupełnie? - spytała kładąc torebkę na ładzie przy zlewie. - Albo jesteś chora, albo nie. A jeśli nie jesteś, powinnas być w szkole.

-Muszę z tobą porozmawiać - stwierdziła Amy. Matka podeszła do stołu i wbiła w nią wzrok.

-Porozmawiać? Ale o czym?

Amy nie mogła spojrzeć jej w oczy. Odwróciła wzrok wpatrując się w metna zawieszony fusow zimnej kawy na dnie swojego kubka.

-No wiec? - spytała mama.

Amy miała w ustach tak sucho, że język przywarł jej do podniebienia. Przelknęła ślinę, oblizła spierzchnięte wargi, chrząknęła i w końcu powiedziała:

-Muszę wybrać pewną sumę pieniędzy z mojego konta.

-O czym ty mówisz?

-Potrzebuje... czterystu dolarów.

-To absurd.

-Nie. Naprawdę ich potrzebuje, mamo.

-Na co?

-Wolałabym nie mówić. Matka wydawała się zdumiona.

-Wolałabys nie mówić?

-Właśnie.

Zdumienie zmieniło się w konsternację.

-Pragniesz wybrać czterysta dolarów z pieniędzy przeznaczonych na czesne w twoim college'u i nie chcesz powiedzieć, co zamierzasz z nimi zrobić?

-Mamo, proszę. Przecież bądź co bądź sama je zarobiłam. Konsternacja przerodziła się w gniew.

-Posłuchaj mnie uważnie, młoda damo. Twój ojciec radzi sobie całkiem dobrze na prawniczej posadce, ale nie AZ TAK dobrze. Nie jest F. Lee Baileyem. Zamierzasz iść do college'u, a to będzie dużo kosztowało. Aby go opłacić, będziesz potrzebowała pomocy. Prawde mówiąc większość opłat będziesz musiała uiszczyć sama. Pozwolimy ci tu naturalnie mieszkać i zapłacimy za twoje wyżywienie, ubranie i opiekę medyczną podczas całego pobytu w college'u, ale opłaty za studia pozostawimy w twojej gestii. Po to masz konto oszczędnościowe. Kiedy za parę lat pojdiesz na uniwersytet i wyjedziesz, zamierzamy co pewien czas wysyłać ci pieniądze, ale czesne również będziesz musiała opłacać sama. Nie stac nas na nic więcej. I tak będzie to dla nas nie lada poświęceniem.

Gdybys nie wydawała tyle pieniędzy usiłując wywrzeć wrażenie na ojcu O'Hara, jaka to jesteś oddana kościołowi Sw. Marii, gdybyscie ty i tatus nie przeznaczali lwiej części

zarobkow, by okazac, jacy jestescie dobrzy i szlachetni, moze bylibyscie w stanie zrobic cos wiecej dla swoich wlasnych dzieci, pomyslala Amy. Milosc blizniego zaczyna sie we wlasnym domu, mammo. Czyz nie tak wlasnie mowi nam Biblia? A gdybys nie zmuszala MNIE do placenia skladek na koscioł Sw. Marii, mialabym teraz te cztery stowki, ktorych mi potrzeba.

Amy pragnela powiedziec to wszystko na glos, ale nie miala dosc odwagi. Nie chciala zupełnie odcinac sie od matki, zanim jeszcze zdazyla powiedziec jej o ciazy. Zreszta niezaleznie od tego, jak usilowalaby wyrazic swoje mysli, jakich slow by uzyla, jej wypowiedz zabrzmialaby z pewnoscia malostkowo i egoistycznie.

Ale przeciez nie byla egoistka, do cholery.

Wiedziala, ze ofiarowywanie pieniedzy na koscioł bylo dobra rzecza, ale musialy istniec jakies granice. I racje, dla ktorych to czyniles, powinny byc sluszne. W przeciwnym razie wszystko mijalo sie z celem. Czasami Amy podejrzewala, ze jej matka miala nadzieje WYKUPIC sobie miejsce w niebie, a to z cala pewnoscia bylo niewlasciwym powodem zwracania sie ku kosciołowi.

Amy zmusila sie, by uniesc wzrok, spojrzec na matke i usmiechnac sie.

-Mamo, przeciez ja juz mam male stypendium na przyszly rok. Jesli bede pracowac dostatecznie ciezko, prawdopodobnie uda mi sie zdobyc stypendium na kazdy nastepny rok, nawet jesli nie beda to zbyt duze pieniadze. Podczas wakacji i w weekendy bede pracowac, a wtedy pieniadze w banku powinny mi w zapelnosci wystarczyc. Zanim znajde sie na uniwersytecie Ohio, nie bede musiala prosic ciebie ani taty o pomoc, nawet nie bedziecie musieli przysylac mi pieniedzy na zycie. Moge wybrac teraz te cztery setki, mammo, stac mnie na to. Moge sobie na to pozwolic.

-Nie - powiedziala mama. - I nie mysl sobie, ze uda ci sie wybrac te pieniadze z banku bez mojej wiedzy. Na koncie obok twojego widnieje rowniez moje imie. Nie zapominaj, ze wciaz jeszcze jestes nieletnia. Dopoki moge, zamierzam broniec cie przed soba sama. Nie pozwole ci wydawac pieniedzy przeznaczonych na college na modne nowe ciuchy, ktorych nie potrzebujesz, albo jakas glupia blyskotke, ktora zauwazylas na sklepowej wystawie.

-Nie potrzebuje tych pieniedzy na nowe rzeczy, mammo.

-Niewazne. Nie pozwole, zebys...

-Ani na glupawe blyskotki...

-Nie obchodzi mnie, z jakiego glupiego powodu...

-Tylko na aborcje - dokonczyla Amy.

Matka spojrzala na nia wytrzeszczajac oczy. Spytala powoli:

-Na co?

Strach zadzialal jak zapalnik i Amy w mgnieniu oka Wybuchnela potokiem slow.

-Mecza mnie poranne mdlosci, nie mialam ostatnio okresu, naprawde jestem w ciazy, wiem, ze jestem. To Jerry Galloway zrobil mi dziecko, ja tego nie chcialam, tak mi przykro, ze to sie stalo, naprawde mi przykro, nienawidze samej siebie, naprawde, ale musze sie poddac zabiegowi, po prostu musze, prosze, prosze, JA MUSZE to zrobic!

Twarz mamy nagle pobladla, stala sie biala jak plotno. Nawet jej usta byly kredowobiale.

-Mamo? Rozumiesz, ze ja nie moge miec tego dziecka? Po prostu nie moge go urodzic, mamo.

Mama zamknela oczy. Zakolysala sie i przez chwile wydawalo sie, jakby miala zemdlec.

-Wiem, ze zle zrobilam, mamo - powiedziala Amy i zaczela plakac. - Czuje sie zbrukana. Nie wiem czy jeszcze kiedykolwiek poczuje sie czysta. Nienawidze siebie. I wiem, ze aborcja jest jeszcze gorszym grzechem niz to co zrobilam. Wiem o tym i obawiam sie o swoja dusze. Ale jeszcze bardziej lekam sie przyszlosci i urodzenia dziecka. Mam do przezycia swoje wlasne zycie, mamo. CHCE ZYC WLASNYM ZYCIEM! CHCE SIE NIM NACIESZYC! MAM SWOJE ZYCIE!

Oczy mamy otworzyly sie. Spojrzala na Amy i usilowala cos powiedziec, ale byla zbyt wstrzasnieta, aby wydobyć z siebie choc slowo. Jej usta poruszily sie bezdzwiecznie.

-Mamo?

Tak szybko, ze Amy nawet tego nie zauwazyla, jej matka uniosla dlon i uderzyla ja w twarz. Raz. Drugi raz. Mocno.

Amy krzyknela z bolu i zdumienia, po czym uniosla reke, aby sie oslonic.

Matka chwycila ja za bluzke i szarpala, usilujac zmusic Amy do powstania. Proba sil trwala przez dluzsza chwile.

Krzeslo przewrocilo sie z trzaskiem.

Matka potrzasnela nia jak pekiem szmat.

Zaplakana, przerazona Amy wykrztusila:

-Mamo, prosze, nie rob mi krzywdy! Wybacz mi, mamo. Prosze.

-Ty plugawa, zepsuta, niewdzieczna mala dziwko!

-Mamo...

-Jestes glupia, glupia, bezdennie glupia! - krzyknela jej matka, opryskujac ja slina goraca i piekaca niczym jad. - O niczym nie masz pojecia, ty mala puszcza!ska kretynko! Nie, wiesz co mogloby sie stac. Nie masz zielonego pojecia Nie wiesz, co moglabys urodzic. Po prostu NIE WIESZ!

Amy nie chciala i nie byla w stanie sie bronic. Mama popychala ja, ciagnela, potrzasala i szarpala. Targala nia tak zaciekle, ze zeby dziewczyny szczekaly jak kastaniety i w pewnej chwili dal sie slyszec trzask pekajacej bluzki.

-Nie zdajesz sobie sprawy, co mogloby wyjsc z twego lona - rzucila ochryplym, oblakany m glosem matka. - Bog jeden wie, co by to bylo!

O czym ona mowi? - zastanawiala sie rozpaczliwie Amy. Zupelnie jakby slyszala klatwe Jerry'ego i uwierzyla, ze moze sie spelnic. Co sie tu dzieje? Co sie z nia dzialo?

Z sekundy na sekunde matka stawala sie coraz bardziej brutalna. Amy nigdy naprawde nie wierzyła, ze mama moglaby ja zabic. Wprawdzie powiedziala o tym Liz, ale bylo w tym sporo przesady. A w kazdym razie WTEDY sadzila, ze przesadza. Teraz jednak, kiedy matka w dalszym ciagu zlorzeczyla i potrzasala nia jak szmaciana lalka, Amy zaczela sie martwic, ze naprawde moze zrobic jej cos zlego. Sprobowala wyrwac sie z jej uscisku.

Bezskutecznie. Mama trzymala ja mocno.

Dwie kobiety zatoczyly sie w bok i z impetem uderzyly o stol. Prawie pusty kubek przewrocil sie, przeturlal dwa razy, spadl ze stolu, rozbryzgujac kropelki zimnej kawy, po czym rabnal o podloge i roztrzaskal sie na kawalki.

Matka przestala potrzasac Amy, ale wzrok nadal miala bledny i odrobine szalony.

-Modl sie - rzucila ostro. - Musimy sie modlic, aby sie okazalo, ze nie masz w sobie dziecka. Musimy sie modlic, aby to bylo pomylka.

Gwaltownie szarpnela Amy, zmuszajac ja, by upadla na kolana. Uklekly jedna obok drugiej na chlodnych plytkach. Mama zaczela sie glosno modlic trzymajac Amy za reke tak mocno, ze jej palce zdawaly sie przebijac cialo. Amy plakala i prosila, aby ja puscila, lecz mama ponownie ja spoliczkowala i zaczela blagac Najswietsza Dziewice o laske. A przeciez sama nie byla litosciwa, bo kiedy zobaczyla, ze Amy nie jest pochylona dostatecznie nisko, schwycila corke za kark i popchnela jej glowe ku plytkom - pchala ja coraz nizej i nizej, az Amy dotknela czolem zimnej posadzki, a nosem wilgotnej kaluzy rozlanej kawy. Choc powtarzala raz po raz: "Mamo, prosze, mamo, prosze"... Ellen jej nie sluchala, byla bowiem zajeta modlitwa. Modlila sie do kogo sie tylko dalo: Matki Bozej, Jezusa i Jozefa Opiekuna,

Boga Ojca i Ducha Świętego a potem skierowała modły ku poszczególnym świętym. Amy wciągnęła powietrze i drobinki z fusów kawy wpadły jej do nosa. Zaczęła się krztusić i prychnąć, ale matka wciskała jej twarz w podłogę jeszcze mocniej niż dotychczas. Zaciśnięła stalowe palce na jej karku, jęczała i zawodziła, bijąc przy tym wolną ręką w podłogę. Miotła się i dygotała w religijnym uniesieniu, prosząc, błagając i zebrząc o łaskę, łaskę dla siebie i dla jej krnąbrnej córki. Plakała, wyla, szlochając i prosiła, zachowując się jak fundamentalista z kościoła nazaretńskiego. Mama tak jak oni wymachiwała rękoma, mamroczała bez przerwy pod nosem, aż w końcu jej modlitwa dobiegła końca i kobieta, zachrypnięta i wyczerpana, nagle opadła z sił.

Cisza, jaka teraz nastąpiła, wydawała się pełna napięcia i niepokoju - podobnego efektu nie mogłoby zapewnić nawet najgłośniejszy grzmot.

Mama puściła kark Amy.

W pierwszej chwili dziewczyna pozostała w tej samej pozycji co dotychczas, przywierając twarz do podłogi, ale po kilku sekundach uniosła głowę i zakolysała się w tył, kłęcząc.

Dłoń Ellen ścierała po tak długim trzymaniu karku Amy w stalowym uścisku. Spojrzała na swoje wykrzywione jak szpony palce i zaczęła rozmasowywać je zdrową dłonią.

Oddychała ciężko.

Amy uniosła dłonie do twarzy, ocierając z niej fusy z kawy i łzy. Nie potrafiła opanować drżenia.

Na zewnątrz chmury przesłoniły słońce, a poranne światło wpadające przez kuchenne okna zafalowało niczym woda w strumieniu, po czym przygasło.

Zegar tykał głucho.

Dla Amy ta cisza była przerażająca niczym nie kończąca się chwila pomiędzy jednym uderzeniem serca a drugim, gdy mimowolnie zastanawiasz się, czy ów najważniejszy mięsień tkwiący w twojej piersi nie przestanie nagle pracować.

Kiedy w końcu matka się odezwała, Amy drgnęła gwałtownie, zaskoczona.

-Wstawaj - rzuciła lodowato matka. - Idź na górę i umyj twarz. Uczesz się.

-Tak, mamo. Obie wstały.

Amy nogi miała jak z gumy. Wygładziła pomięta spódnice drzącymi dłońmi.

-Przebierz się - dodała mama beznamiętnym, obojętnym głosem.

-Tak, mamo.

-Zadzwoń do doktora Spanglera i sprawdź, czy ma dziś komplet pacjentów. Pojedziemy do niego od razu, jeśli tylko zechce nas przyjąć.

-Do doktora Spanglera? - powtórzyła Amy, zdziwiona.

-Naturalnie będziesz musiała przejść test ciążowy. Jest wiele powodów, które mogą sprawić, że nie ma się okresu. Nie możemy mieć pewności, póki nie otrzymamy wyników testu.

-Ale ja wiem, że jestem w ciąży, mamo - rzuciła drżącym głosem Amy. - Wiem, że będę miała dziecko.

-Jeśli test okaże się pozytywny - ciągnęła matka - poczynimy starania, aby zająć się twoją sprawą tak szybko, jak to tylko możliwe.

Amy nie mogła uwierzyć w ukryty sens tych słów.

-Zająć się moją sprawą?

-Poddasz się zabiegowi, tak jak tego chciałaś - stwierdziła mama, spoglądając na nią bezlitosnym wzrokiem.

-Chyba nie mówisz poważnie.

-Tak. MUSISZ poddać się zabiegowi. To jedyny sposób.

Amy o mało nie krzyknęła. Poczula niewiarygodną ulgę. Ale jednocześnie ogarnęło ją przerażenie, bo domyślała się, że matka każe zapłacić jej za swoją zgodę, potworną cenę.

-Ale... czy aborcja... nie jest grzechem? - spytała Amy usiłując zrozumieć sposób rozumowania Ellen.

-Nie możemy nic powiedzieć twojemu ojcu - stwierdziła mama. - Musimy zachować to przed nim w tajemnicy. On by się na to nie zgodził.

-Ale... myślałam, że TY TEŻ się na to nie zgodzisz, że tego nie zaaprobujesz... - rzuciła zakłopotana Amy.

-NIE APROBUJE - odrzekła ostro mama, a w jej głosie ponownie pojawił się ślad emocji. - Aborcja jest morderstwem. To grzech śmiertelny. Absolutnie jej nie akceptuję. Ale dopóki mieszkasz w tym domu, nie pozwolę, by takie brzemie zawisło nad moją głową. Po prostu nie zniosłabym tego. Nie mam zamiaru żyć w ciągłym leku o to, co może się zdarzyć. Nie chcę ponownie przeżywać tej zgrozy.

-Mamo, nie rozumiem. Mówisz tak, jakbys wiedziała na pewno, że dziecko urodzi się z wadami czy z czymś w tym rodzaju.

Przez chwile patrzyly na siebie na wzajem, a Amy dostrzegla w ciemnych oczach matki cos wiecej niz tylko gniew i wyrzuty. W tych oczach byl rowniez strach, gleboka, niepojeta groza, ktora przeniknela w glab ciala Amy, mrozac jej krew w zylach.

-Ktoregos dnia - powiedziala mama - we wlasciwej chwili mialam ci powiedziec.

-O czym?

-Gdybys kiedys zdecydowala sie na slub i miala prawdziwego narzeczonego, powiedzialabym ci, ze nie mozesz urodzic dziecka. I powiedzialabym ci dlaczego. Ale ty nie moglas czekac, prawda? Nie chcialas czekac, az nadejdzie wlasciwa pora. O, nie. Nie ty. Musialas przy byle okazji zadrzec spodnice i rozlozyc nogi przed jakimis fagasem. Wlasciwie jestes jeszcze dzieckiem, ale musialas zadac sie z jakimis smarkaczem, gziec sie na tylnym siedzeniu samochodu jak jakas tania kurwa. I byc moze teraz TO jest w tobie... i rosnie.

-O czym ty mowisz? - spytala Amy, podejrzewajac, ze matka do reszty stracila rozum.

-Nawet gdybym ci powiedziala, niczego by to nie zmienilo - stwierdzila mama. - Nie posluchalabys. Kto wie, moze nawet ucieszylabys sie z takiego dziecka. Powitalabys jego narodziny z radoscia, tak jak ON to zrobil. Zawsze twierdzilam, ze jest w tobie zlo. Zawsze powtarzalam, ze musisz trzymac je na wodzy. Ale ty nie chcialas mnie sluchac i teraz ta mroczna istota, ta zla czesc ciebie znajduje sie na wolnosci. Wypuscilas zlo, ktore masz w sobie i predzej czy pozniej, w ten czy inny sposob urodzisz dziecko. Wydasz jednego z NICH na swiat, niezaleznie od tego, co ci powiem i jak zarliwie bede cie blagac, bys tego nie robila. Ale nie stanie sie to w tym domu. Nie pozwole, aby to nastapilo tutaj, osobiscie tego dopilnuje. Pojedziemy do doktora Spanglera i on usunie to z ciebie. Jesli ten czyn JEST grzechem, na dodatek grzechem smiertelnym, jego brzemie spadnie w calosci na twoje, a nie moje barki. Zrozumialas?

Amy pokiwala glowa.

-Ty zupełnie sie tym nie przejmujesz, prawda? - spytala zlosliwie matka. - Jeden grzech wiecej, jeden mniej nie robi ci rozniczy, zgadza sie? Bo przeciez tak czy inaczej trafisz do piekla.

-Nie, mamo. Nie mow...

-Tak. To twoje przeznaczenie. Masz stac sie jedna ze sluzebnic Szatana, jedna z jego oddanych niewolnic, nieprawdaz? Dopiero teraz zdalam sobie z tego sprawe. Widze to doskonale. Wszystkie moje wysilki poszly na marne. Nie mozesz zostac zbawiona. Juz nic nie jest w stanie cie uratowac. Coz wiec znaczy dla ciebie jeden grzech wiecej? Nic. To dla ciebie jak splunac. Przyjmiesz go z usmiechem na ustach.

-Mamo, nie mow do mnie w ten sposob.

-Bede mowila do ciebie tak, jak na to zaslugujesz. Dziewczyna zachowujaca sie tak jak ty nie moze oczekiwac innego traktowania. Co ty sobie w ogole wyobrazasz?

-Prosze...

-Idz juz - powiedziala mama. - Umyj sie i doprowadz do porzadku. Zadzwo nie do doktora.

Zaskoczona dziwnym i niespodziewanym rozwojem wypadkow, zaklopotana przekonaniem matki, ze dziecko urodzi sie z wadami, zastanawiajac sie nad stanem zdrowia psychicznego mamy, Amy weszla na pietro. W lazience umyla twarz. Oczy miala zaczerwienione od placzu.

W sypialni wyjela z szafy druga spodniczke i swieza bluzke. Zdjela przepocone, pomiete rzeczy, ktore miala na sobie. Przez chwile stala przed wielkim, prostokatnym lustrem i ubrana tylko w biustonosz i figi wpatrywala sie w swoj brzuch.

Dlaczego mama jest tak gleboko przekonana, ze moje dziecko urodzi sie z wadami? - pytala Amy sama siebie, zaklopotana. Jakim cudem moze byc pewna czegos takiego? Skad mialaby wiedziec? Czy dlatego, iz uwaza, ze jestem zla i zasluguje na cos takiego - zdeformowane, nienormalne dziecko, bedace dla calego swiata znakiem mojego oddania Szatanowi? To chore rozumowanie. Absurdalne, szalone i nieuczciwe. NIE JESTEM ZLA. Popelnilam kilka bledow, przyznaje. Jak na swoj wiek, popelnilam ich nawet sporo, ale przeciez nie jestem zla, do cholery. Nie jestem ZLA.

A moze jestem?

Spojrzala na odbicie swoich oczu.

JESTEM?

Drzac na calym ciecie, ubrala sie, aby pojechac do doktora Spanglera.

7

W niedziela wesole miasteczko koleja i autostrada dotarlo do Clearfield w Pensylwanii, a juz w poniedzialek z iscie wojskowa precyzja rozlozono je na rozleglych bloniach. Otwarcie mialo nastapic o szesnastej, a wiec oczekiwano, ze wszystkie punkty, od podrzednego baru przekaskowego po najbardziej wymyslana karuzele, beda do tego czasu gotowe na przyjecie klientow. Trzy stanowiska nalezace do Conrada Strakera, wlacznie z Tunelem Strachu, byly juz ustawione i czekaly na spragnionych wrazen klientow od trzeciej po poludniu. Byl cieply, bezchmurny dzien. Wieczor bedzie szalony.

Lunaparkowcy okreslali to mianem "pienieznej pogodny". Chociaz dla tego interesu zawsze najlepsze byly piatki i soboty, klienci zjawiali sie rownie chetnie na poczatku tygodnia, oczywiscie jesli tylko wieczor byl dostatecznie cieply i pogodny.

Przez godzinę, jaka została jeszcze do otwarcia bram wesołego miasteczka, Conrad zrobił to, co zawsze pierwszego popołudnia na nowym miejscu. Wyszedł z Tunelu Strachu i udał się do Gabinetu Osobliwości Yancy'ego Barneta. Klienci zawsze ciągnęli tam jak muchy do lepu. Jaskrawo pomalowany, ozdobiony rysunkami transparent rozciągnięty na wprost namiotu Yancy'ego zaopatrzony był w napis:

OSOBLIWI LUDZIE Z CAŁEGO ŚWIATA

Yancy był równie obowiązkowy i sumienny jak Conrad, i pomijając fakt, że ludzkie dziwolagi miały przybyć tu ze swoich przyczep dopiero o czwartej, był przygotowany do przyjęcia gości na długo przed czasem. Było to godne podziwu, zwłaszcza gdy wiedziało się, że Yancy Barnet i kilkoro jego dziwolagów w niedzielna noc zawsze grywali w pokera, zaś rozgrywkę, trwającą do godzin porannych w poniedziałek, umilali sobie saczeniem dobrze schłodzonego piwa i szkockiej whisky, które w połączeniu stanowiły iscie piorunująca mieszankę.

Namiot Yancy'ego był ogromny, podzielony wewnątrz na cztery pomieszczenia, z odgrodzonymi linami chodnikiem prowadzącym dość krętą drogą do każdego z nich. W każdym z pomieszczeń znajdowało się podwyższenie z krzesłem. Na ścianach za krzesłami wisiały ogromne, bogato zdobione tablice wyjaśniające istoty cudu natury, na który aktualnie patrzyli zwiedzający.

Z jednym wyjątkiem owe cudowne i niezwykle osobliwe były żyjącymi, oddychającymi ludzkimi potworami, istotami o normalnych duszach i umysłach uwieczonych w zdeformowanych ciałach - najgrubsza kobieta świata, trzyoki człowiek aligator, mężczyzna o trzech rękach i trzech nosach, kobieta z brodą i - co naganiacz podkreślał kilkadziesiąt razy na godzinę - wiele, wiele innych, więcej niż umysł ludzki jest w stanie pojąć.

Tylko jeden dziwoląg nie był żywą istotą. Miał miejsce w centrum namiotu, w połowie długości krętego chodnika, w najwęższej ze wszystkich sal.

Stwor był zamknięty w ogromnym, specjalnie przygotowanym słoju z przezroczystego szkła, zanurzony w roztworze formaliny. Słoje stał na podwyższeniu, zaś istota znajdująca się wewnątrz, dzięki oświetleniu od góry i z tyłu, wywierała na oglądających ogromne wrażenie.

Ten właśnie eksponat przyszedł odwiedzić Conrad Straker w owo poniedziałkowe popołudnie w Clearfield. Stał, jak setki razy wcześniej, przed grubymi linami zabezpieczającymi i spojrzał ze smutkiem na swego nie żyjącego od dawna syna.

Podobnie jak w innych salach, tak i tu za eksponatem wisiała tablica informacyjna. Litery były duże, łatwe do przeczytania.

VICTOR

"SZPETNY ANIOŁ" DZIECKO TO, NAZWANE PRZEZ SWEGO OJCA VICTOREM,

URODZIŁO SIE W 1955 ROKU. JEJ RODZICE BYLI NORMALNI. STAN PSYCHICZNY DZIECKA NIE ODBIEGAŁ OD NORMY BYŁ SŁODKIM, CZARUJĄCYM, WESOLYM NIEMOWLECIEM, WIECZNIE USMIECHNIĘTYM ANIOŁKIEM.

W NOCY 15 SIERPNI 1955 ROKU MATKA VICTORA, ELLEN, ZAMORDOWAŁA GO. WADY FIZYCZNE DZIECKA NAPAWAŁY JĄ ODRAZĄ. BYŁA PRZEKONANA, ŻE NIEMOWLE BYŁO ZŁYM MONSTRUM. NIE POTRAFIŁA DOSTRZEĆ DUCHOWEGO PIĘKNA, JAKIE TKWIŁO W JEJ WNETRZU.

KTO NAPRAWDĘ BYŁ ZŁY?

BEZBRONNE DZIECKO?

A MOŻE MATKA, KTOREJ UFAL, KOBIETA, KTÓRA GO ZAMORDOWAŁA?

KTO BYŁ PRAWDZIWYM POTWOREM?

TO BIEDNE, NIESZCZESLIWE DZIECKO?

A MOŻE MATKA, KTÓRA ODMOWIŁA MU MIŁOŚCI?

OSADZCIE SAMI.

Conrad napisał te słowa przed dwudziestu pięciu laty i dokładnie oddawały one stan jego ducha w owych dniach. Chciał powiedzieć całemu światu, że Ellen była zbrojniczką - nie, bezlitosną bestią, chciał, by wszyscy zobaczyli, co uczyniła i potępili ją za jej okrucieństwo. Poza sezonem słońce z dzieckiem był przechowywany w domu Conrada, w Gibsontown na Florydzie. Przez resztę roku podróżował z Yancym i jego trupa jako publiczne świadectwo perfidii Ellen.

Za każdym razem, kiedy rozbijali oboz w nowym miejscu, Conrad jeszcze przed otwarciem lunaparku dla zwiedzających przychodził do tego namiotu, by upewnić się, że słońce bezpiecznie dotarł do celu. Spędzał kilka minut w towarzystwie swego zmarłego syna, powtarzając w duchu nieubłagana przysięgę zemsty.

Victor spoglądał na ojca ogromnymi, niewidzącymi oczyma. Niedługo przed tymi oczyma była jaskrawa i połyskliwa. Niedługo przed tymi oczyma były żywe, przenikliwe, pytające, przepelnione zuchwalością i pewnością siebie, nie pasującymi do tak małego dziecka.

Teraz jednak były one mętne i matowe. Zielenie nie było nawet w połowie tak czyste jak za życia. Lata przebywania w roztworze formaliny wyssały kolor z oczu, a nieuniknione procesy śmierci pokryły źrenice cieniutką mlecznobiałą błonką.

W końcu, czując w sobie odnowioną moc gniewu i żądze odwetu, Conrad wyszedł z namiotu i wrócił do Tunelu Strachu.

Gunther stal juz na platformie przy wejsciu, ubrany jak zawsze w stroj Frankensteina. Ujrzał Conrada i natychmiast zaczął warczeć i wymachiwać groźnie rekoma, jak gdyby odgrywał przedstawienie dla odwiedzających tunel gości.

Duch siedział w kasie i rozrywał papierowe rulony, by ułożyć w szufladkach kasy rzędy czterechdolarówek oraz dziesięcio- i pięciocentówek. Jego bezbarwne oczy odbijały srebrzyste błyski wysypywanych monet.

-Otworzą bramy pół godziny wcześniej - rzekł Duch. - Wszyscy są zwarci i gotowi, a jak słyszałem, na zewnątrz czeka już tłum spragnionych wrażeń mieszczuchów.

-To będzie dobry tydzień - mruknął Conrad.

-Taak - zgodził się Duch przesuwając smukłą dłoń po rzadkich, cienkich włosach. - Też mi się tak wydaje. Może nawet uda ci się zwroczyć dług.

-Co?

-Mówiłeś, że masz dług wobec jakiejś kobiety - rzekł Duch. - Tej, której dzieci bez przerwy poszukujesz. Może ci się poszczęści i znajdziesz ją właśnie tutaj.

-Właśnie - rzucił półgłosem Conrad. - Może tu ją odnajde.

* * *

O osmej trzydziści w poniedziałkowy wieczór Ellen Harper siedziała w saloniku domu przy Mapie Lane, usiłując przeczytać artykuł z najnowszego numeru "Redbook". Nie była w stanie się skupić. Za każdym razem, kiedy docierała do końca akapitu, nie potrafiła sobie przypomnieć, co przeczytała i musiała zrobić to ponownie. W końcu przerwała lekturę i po prostu kartkowała czasopismo, oglądając zdjęcia i regularnie upijając łyk ze szklaneczki wypełnionej wódką i sokiem pomarańczowym. Chociaż było jeszcze wcześniej, miała mocno w czubie.

Nie czuła się DOBRZE. Nie na dłuższą metę. Ale nie było jej też źle. Była otepiała, ale jeszcze za mało.

Była w pokoju sama. Paul znajdował się w swojej pracowni przy garażu. Jak zwykle przyjdzie o jedenastej, aby obejrzeć ostatnie wiadomości, a potem położy się do łóżka. Joey w swoim pokoju sklejał plastikową figurkę Lona Chaneya w roli Upióra z Opery. Amy też była u siebie. Z wyjątkiem krótkiego pojawienia się przy stole na kolacji, dziewczyna od powrotu z kliniki doktora Spanglera zaszła się w swoim pokoju i spędziła tam całe popołudnie.

Dziewczyna. Ta cholerna, zuchwała, rozpustna dziewczyna! BYŁA W CIAZY! Naturalnie nie mieli jeszcze wyników testów. To potrwa kilka dni. Ale ona WIEDZIAŁA. Amy była w ciąży.

Czasopismo zaszelesciło w drzazych dłoniach Ellen. Odłożyła "Redbook" na stolik i weszła do kuchni, by przyrządzić sobie kolejnego drinka.

Nie była w stanie przestać się martwić sytuacją, w jakiej się znalazła. Nie mogła pozwolić Amy, by urodziła dziecko. Ale gdyby Paul dowiedział się, że za jego plecami podjęła decyzję o zabiegu, na pewno nie byłby zadowolony. W gruncie rzeczy był człowiekiem cichym, łagodnym i pokornym. Godził się, aby to ona zajmowała się domem i kierowała życiem ich wszystkich. Bywały jednak sytuacje, kiedy wpadał w gniew, a wówczas potrafił być twardy i bezwzględny.

Gdyby Paul dowiedział się post factum o aborcji, zapragnąłby zapewne dowiedzieć się, dlaczego ją przed nim zataiła i czemu zgodziła się na coś takiego. Musiałaby wymyślić jakieś sensowne i chwytające za serce wyjaśnienie. Na razie jednak nie miała zielonego pojęcia, co by mu powiedziała, gdyby dowiedział się o aborcji.

Przed dwudziestu laty, kiedy poślubiła Paula, powinna była powiedzieć mu także o roku spędzonym w wesołym miasteczku. Powinna była opowiedzieć mu o Conradzie i odrazającej istocie, która wydała na świat. Ale nie zrobiła tego.

Była słaba. Ukryła przed nim prawdę. Obawiała się, żeby jej nie znienawidził i nie porzucił, gdyby dowiedział się o jej błędach z przeszłości. Gdyby jednak powiedziała mu o wszystkim wtedy, na początku ich znajomości, nie byłaby teraz w tak poważnych tarapatkach.

Kilkakrotnie podczas ich małżeństwa mało brakowało, by ujawniła mu swoje tajemnice. Kiedy mówił, że chce mieć dużą rodzinę, sto razy była bliska wyznania: "Nie, Paul. Nie mogę mieć dzieci. Widzisz, miałam już kiedyś jedno i ono nie było zdrowe. Nie było normalne. Właściwie to nie był człowiek, ale COS. Jakis stwor. Chciał mnie zabić, więc ja zabiłam go pierwsza. Być może to okropne dziecko było w całości produktem chorych genów mojego pierwszego męża. Może nie było w tym mojej winy. Wole jednak nie ryzykować". Wielokrotnie była bliska wypowiedzenia na głos tego wyznania, ale nigdy tego nie uczyniła - zawsze zdołała się pohamować, wierząc naiwnie, że miłość jest w stanie przezwyciężyć wszystko.

Później, kiedy była w ciąży z Amy, prawie odchodziła od zmysłów ze zmartwienia i zgrozy. Dziecko urodziło się jednak normalne. Na pewien czas, na kilka błogosławionych tygodni zdołała uspokoić trawiące ją wątpliwości - sprawił to widok pulchnego, rozwiutkiego, wesołego, zupełnie NORMALNEGO dziecka.

Niebawem jednak doszła do wniosku, że nie wszystkie dziwolagi miały deformacje fizyczne. Skaza, wada, potworna różnica sprawiająca, że byli inni niż normalni ludzie, mogła zawierać się wyłącznie w umyśle.

Dziecko, które urodziła Conradowi, było nie tylko ulomne fizycznie. Było złe - wręcz emanowało złem, cuchnęło nim, było potworem w pełnym znaczeniu tego słowa. Czy

istniała możliwość, że jej drugie dziecko również było nienormalne tak jak Victor, pomimo że nie miało żadnych widocznych wad fizycznych?

Być może robak zła zagnieździł się głęboko, w umyśle dziecka i niewidoczny drażył coraz dalej i dalej, czekając na stosowną chwilę, aby się ujawnić.

Ta niepokojąca ewentualność była niczym kwas. Przeszerała szczęście Ellen, naruszyła, a potem do reszty zniszczyła jej optymizm. Niebawem zupełnie przestała cieszyć się radosnym gaworzeniem i śmiechem dziecka. Przyglądała się czujnie niemowlęciu, zastanawiając się, jakie paskudne niespodzianki zgotuje jej w przyszłości. Może któreś nocy, kiedy urosnie i nabierze sił, zakradnie się do sypialni rodziców i zamorduje ich we śnie.

Biała się, że traci zmysły; przecież dziecko mogło być całkiem normalne, a upiorne wizje stanowiły jedynie odzwierciedlenie lęków rodziców w jej umyśle. Często się nad tym zastanawiała. Jednak za każdym razem, kiedy zaczynała kwestionować własną poczytalność, przypominała sobie ową koszmarną pojedynek ze złowrogim, krwiozerczym pomiotem Conrada i to ciągle żywe wspomnienie bez trudu przekonywało ją, że miała uzasadniony powód, aby się bać i nigdy nie tracić czujności.

Czyż nie tak?

Przez siedem lat opierała się pragnieniu Paula, by mieć kolejne dziecko, ale mimo zabezpieczenia, ponownie zaszła w ciążę.

I znowu przeżyła dziewięć miesięcy piekła, zastanawiając się, jaka to dziwna istota nosi w swym łonie.

Joey rzecz jasna okazał się normalnym chłopcem.

Zewnętrznie.

A wewnętrznie?

Zastanawiała się. Obserwowała i czekała, obawiając się najgorszego. Po tylu latach Ellen nie była pewna, co ma myśleć o własnych dzieciach.

To nie było życie, lecz koszmar.

Czasami była z nich dumna i kochała je. Pragnęła brać je w ramiona, sciskać i obsypywać pocałunkami. Czasami miała ochotę obdarzyć te dzieci prawdziwą, jawną miłością, której skąpiła im do tej pory, ale po tylu latach hamowania uczuć i nieustannej podejrzliwości stwierdziła, iż po prostu nie jest w stanie normalnie ich kochać.

Bywało, że wręcz plonęła z miłości do Joeya i Amy, cierpiąc niewysłowione katusze

wywolane bolem tajnego uczucia. Wówczas nocami szlochala bezglosnie w poduszke, aby przypadkiem nie obudzic Paula, oplakujac wlasne zimne, umarłe serce.

Bywalo jednak, ze dostrzegala w swoich pociechach przejawy nadnaturalnego wrecz zla i niegodziwosci. Czasami nie miala watpliwosci, ze jej dzieci to sprytne, wyrachowane, nieskonczenie zle istoty, odgrywajace przed nia skomplikowana maskarade.

Hustawka.

Hustawka.

Najgorsza w tym wszystkim byla samotnosc. Nie dzielila sie swoimi obawami z Paułem, bowiem musialaby opowiedziec mu o Conradzie, a gdyby dowiedzial sie, ze przez dwadziescia lat ukrywala przed nim pewne niezbyt mile zdarzenia ze swojej bujnej przeszlosci, przezylyby ogromny wstrzas.

Znala go bardzo dobrze. Wiedziala, ze najbardziej poruszyloby go nie to, co uczynila w mlodosci, lecz fakt, iz go oszukala i tak dlugo ukrywala przed nim prawde. Dlatego tez musiala sama radzic sobie z wlasnymi lekami.

To nie bylo zycie, lecz koszmar.

Nawet gdyby raz na zawsze przekonala sama siebie, ze jej dzieci nie roznia sie niczym od innych, w dalszym ciagu bylaby niespokojna. Przeciez istnialo prawdopodobienstwo, ze ktoreś z dzieci Amy lub Joeya bedzie takim samym potworem jak Victor. Przeklenstwo moglo nawiedzac co drugie pokolenie - matka, ale nie dziecko, wnuk, lecz nie prawnuk. Moglo uderzyc na oslep, unoszac swoj ohydny leb w najmniej oczekiwanym momencie. Wspolczesna medycyna zna wiele chorob przekazywanych genetycznie oraz wad dziedzicznych, ktore "przeskakiwaly" w rodzinie przez kilka pokolen, by pojawic sie na nowo po wielu dziesiecioleciach.

Gdyby mogla miec pewnosc, ze jej pierwsze dziecko - potworek bylo wylacznie wytworem chorego, zdegenerowanego nasienia Conrada. Gdyby mogla miec pewnosc, ze jej wlasne chromosomy byly zdrowe - na zawsze przestalaby sie martwic. Ale oczywiscie nie byla w stanie sie o tym upewnic.

Czasami miala wrazenie, ze zycie jest zbyt trudne i okrutne, by w ogole warto bylo zyc.

Wlasnie dlatego, stojac noca w kuchni i przetrawiajajac raz jeszcze informacje o ciąży Amy, Ellen jednym haustem opróżnila szklaneczkę i szybko przyrzadzila sobie kolejnego drinka. Miala dwie kule, na ktorych sie wspierala - alkohol i kosciol. Bez ich pomocy nie zdolalaby przezyc ostatniego cwiercwiecza.

W pierwszym roku po odejsciu od Conrada jej potrzeby zaspokajala w zupelnosci religia. Dostala prace kelnerki i po dosc trudnym starciu stala sie niezalezna finansowo. Wiekszosc

wolnego czasu spędzała w kościele. Stwierdziła, że modlitwa kości jej stargane nerwy i ducha, że spowiedź jest dobra dla duszy i że cieniutki oplatek, który przyjmuje podczas mszy świętej, bywa bardziej sycący niż ucza z szóstki dan.

Pod koniec pierwszego roku samodzielności, ponad dwa lata odkąd uciekła z domu, by dołączyć do załogi lunaparku i być z Conradem, zdołała jako tako dojść ze sobą do ładu. W dalszym ciągu prawie co noc dreczyły ją koszmary. Nadal borykała się z własnym sumieniem, usiłując stwierdzić, czy zabijając Victora popełniła śmiertelny grzech, czy może raczej wypełniła bożą wolę. Ciężko pracując zdołała po raz pierwszy w życiu wyrobić w sobie pewną dozę niezależności i szacunku do samej siebie. W gruncie rzeczy czuła się na tyle pewna siebie, że postanowiła odwiedzić swój stary rodzinny dom z zamiarem odnowienia stosunków z rodzicami.

Właśnie wtedy dowiedziała się, że obojga nie było już na tym świecie.

Joseph Giavenetto, jej ojciec, zmarł na zawał serca w miesiąc po ucieczce Ellen z domu. Gina, jej matka, umarła w niecałe pół roku później. Czasami tak było, że mąż i żona odchodzili jedno po drugim, jak gdyby nie byli w stanie wytrzymać dłuższego rozstania.

Choć Ellen nigdy nie odczuwała silnej więzi ze swoimi rodzicami i choć przesadna skrupulatność, rygor domowy oraz dewocja Giny utworzyły mur napięcia i goryczy pomiędzy matką a córką, Ellen przeżyła wstrząs na wieść o śmierci rodziców. Przepelnił ją lodowaty, nieskonczony żal. Winila siebie za to, co się stało. Ucieczka z domu bez pożegnania z ojcem i pozostawienie dla matki krótkiego, ociekającego goryczą liściku mogły przyspieszyć zawał Josepha Giavenetto. Może była wobec siebie zbyt surowa, niemniej nie potrafiła wyzbyć się poczucia winy.

Od tej pory religia nie potrafiła zapewnić jej dostatecznego spokoju, toteż zaczęła wspierać miłosierdzie Jezusa miłosierdziem butelki. Piła zbyt wiele - w tym roku więcej niż w ubiegłym, ale na pewno mniej niż w przyszłym. Tylko rodzina wiedziała o jej nalogu. Kobiety uczeszczone do kościoła, z którymi cztery razy w tygodniu pracowała charytatywnie, byłyby wstrząsnięte, gdyby dowiedziały się, że cicha, skrupulatna, pracowita i pobożna Ellen wieczorami w swoim domu bywała zupełnie kims innym. Po zmierzchu, za zamkniętymi drzwiami święta stawiała się alkoholiczka.

Gardziła sobą z powodu nalogu. Nie była jednak w stanie zasnąć bez alkoholu - wódka pozbawiała ją koszmarów, dawała kilka godzin błogosławionej ulgi, wolnej od trosk oraz leku, które pozeraly ją żywcem przez dwadzieścia pięć lat.

Postawiła butelkę wódki i karton soku pomarańczowego na kuchennym stole, odsunęła krzesło i usiadła. Aby sobie dołączyć, nie musiała nawet ruszać się z miejsca - sięgnie ręką dopiero kiedy stopnieją kostki lodu w jej szklaneczce.

Przez chwilę siedziała w ciszy, sącąc drinka. Kiedy spojrzała na krzesło naprzeciwko,

przypomniala sobie Amy, siedzaca tam dzis rano, unoszaca wzrok i mowiaca: DZIS RANO MIALAM MDLOSCI, NIE MIALAM OKRESU, JESTEM W CIAZY, WIEM, ZE JESTEM...

Ellen przypomniala sobie az nadto wyraziscie, jak uderzyla dziewczyne, jak potrzaszala nia bezlitosnie i obrzucala obelgami. Gdyby zamknela oczy, ujrzalaby siebie zmuszajaca Amy do klekniecia i na cale gardlo wykrzykujaca slowa modlitwy...

Wzdrygnela sie.

Moj Boze, pomyslala ze smutkiem, gdy nieoczekiwanie przyszlo jej do glowy pewne skojarzenie. Zachowuje sie tak jak moja matka.

Jestem taka sama jak Gina! Zdominowalam mego meza, zupełnie jak ona swojego. Jestem surowa dla moich dzieci i tak zaabsorbowana religia, ze zbudowalam mur miedzy mna a moja wlasna rodzina, taki sam mur jak ten, ktory wzniosla moja matka!

Ellen krecilo sie w glowie, ale nie byl to wylacznie efekt wypitego alkoholu. Potwierdzenie powiedzenia, iz historia kolem sie toczy, bylo dla niej prawdziwym szokiem.

Ukryla twarz w dloniach, zawstydzona tym, co w sobie ujrzala. Dlonie miala lodowate.

Dzwiek kuchennego zegara przypominal tykanie bomby.

JESTEM TAKA JAK GINA.

Ellen uniosla szklaneczke i upila spory lyk. Szklo szczeknelo o zeby.

ZUPELNIENIE TAKA JAK GINA.

Potrzasznela gwałtownie glowa, jakby chciala za wszelka cene pozbyc sie niewygodnej, natarczywej mysli. Nie byla tak posepna, niedostepna i surowa jak jej matka. Nie byla taka. A jezeli byla, to teraz nic nie mogla na to poradzić. I tak miala zbyt wiele klopotow naraz. Wszystko w swoim czasie. Najpierw musiala uporac sie z problemem Amy. Jesli w lonie dziewczyny rozwijala sie jakas potworna istota, nalezalo pozbyc sie jej tak szybko jak to tylko mozliwe. Moze wtedy, po zabiegu, Ellen zdola dokonac rozrachunku z wlasnym zyciem i zadecyduje, co sadzi o kobiecie, ktora sie stala - moze wowczas bedzie miala choc chwile na refleksje dotyczaca tego, co uczynila ze swoja rodzina. Ale nie teraz. Boze, prosze, nie teraz.

Przechylila szklaneczke i dopila reszte drinka jak wode. Drzaca dlonia dolala soku pomaranczowego i spora porcje wodka. Zazwyczaj nie upijala sie przed polnoca, ale dzis wieczorem o wpol do dziesiatej Ellen byla zalana w pestke. Czula sie otepiala, jezyk miala sztywny jak kolek. Unosila sie na falach marzen. Osiagnela przyjemny, bezmyslny stan laski, ktorego tak mocno pozadala.

Kiedy rzuciła okiem na kuchenny zegar i stwierdziła, że jest w poł do dziesiątej, zdała sobie sprawę, że o tej porze Joey powinien już leżeć w łóżku. Postanowiła pójść na górę, upewnić się, że odmówił wszystkie modlitwy, otulić go, pocałować na dobranoc i opowiedzieć bajkę przed snem. Już od bardzo, bardzo dawna nie opowiadała mu bajek na dobranoc. On prawdopodobnie bardzo tego pragnął. Chyba nie był już za duży na bajki na dobranoc? Nie. Na pewno nie. Przecież to jeszcze małe dziecko. Anioleczek. Miał taką słodką, niewinna buzię cherubinka. Czasami kochała go tak mocno, że miała wrażenie, iż eksploduje. Tak jak teraz. Była przepelniona miłością do małego Joeya. Chciała ucałować jego słodką buzię, usiąść na brzegu jego łóżka i opowiedzieć mu bajkę o elfach i księżniczce. To byłoby dobre, bardzo dobre, siedzieć na skraju łóżka, podczas gdy chłopiec wpatrywałby się w nią jak w obraz i uśmiechał się promiennie.

Ellen dopiła drinka i wstała. Zrobiła to zbyt gwałtownie. Pokój wokół niej zawirował i aby zachować równowagę, musiała przytrzymać się krawędzi stołu.

Przechodząc przez salonik uderzyła w róg stołu i straciła wspaniałą, ręcznie rzezbioną drewnianą figurkę Jezusa, którą kupiła dawno temu, kiedy jeszcze pracowała jako kelnerka. Figurka spadła na dywan i choć miała tylko stopę długości i nie była ciężka, Ellen nie mogła jej podnieść, aby odstawić na miejsce. Była dziwnie niezdarła. Palce wydawały się jej grube jak serdelki i miała wrażenie, że nie chce zginąć się we właściwą stronę.

Przez moment zastanawiała się, czy pomyśl z opowiedzeniem Joeyowi bajki na dobranoc był trafiony. Może nie powinna tego robić? Jednak na myśl o uroczej twarzyczce Joeya i jego anielskim uśmiechu pospieszyła na górę. Schody były zdradliwe, ale zdołała wejść na podest pierwszego pietra bez upadku. Kiedy otworzyła drzwi do jego sypialni, okazało się, że Joey już leżał w łóżku. Palila się tylko mała nocna lampka, pojedyncza żaróweczka włączona do ściennego kontaktu, rozciągająca upiorny, księżycowy blask.

Zatrzymała się w progu, nasłuchując. Zazwyczaj chłopiec chrapał, ale na razie w pokoju panowała idealna cisza. Być może jeszcze nie usnął.

Chwiejąc się przy każdym kroku, podeszła do łóżka i spojrzała na chłopca. W słabym świetle prawie go nie widziała.

Stwierdziła, że musiał jednak usnąć. Pragnąc jedynie ucałować go w czoło, Ellen nachyliła się...

I nagle świecąca, szczerząca zęby nieludzka twarz wyprysnęła ku niej z ciemności, skrzeczając jak rozwścieczony ptak.

Krzyknęła i zatoczyła się w tył. Uderzyła bolesnie biodrem w róg toaletki.

W jej myślach przewijały się zmienne niczym w kalejdoskopie, mroczne i przerażające obrazy - KOLYSKA MIOTANA WSCIEKŁOSCIA ZNAJDUJĄCEGO SIĘ W NIEJ MONSTURALNEGO BRZEMIENIA. OGROMNE, ZIELONE ZWIERZECE SLEPIA

PALAJACE NIENAWISCIA; WYDETE, ZDEFORMOWANE NOZDRZA, WESZACE BEZUSTANNIE; BLADY, CETKOWANY JEZYK; DLUGIE, KOSCISTE PALCE SIEGAJACE W JEJ KIERUNKU W BLADYM SWIETLE BLYSKAWICY; SZPONY ROZSZARPUJACE JEJ CIALO...

Lampka na nocnym stoliku zapalila sie, rozpraszajac makabryczne wspomnienia.

Joey siedzial na lozku.

-Mamo? - odezwal sie.

Ellen oparla sie plecami o toaletke i zaczerpnela gleboko powietrza, bowiem na kilka sekund zupełnie o tym zapomniala.

Istota w ciemnosci byl Joey. Mial maske, jaka nosi sie w Halloween, pomalowana farba fluorescencyjna.

-Co ty wyprawiasz, do cholery? - rzucila ostro odsuwajac sie od toaletki i podchodzac do lozka.

Szybko zdjal z twarzy maske. Oczy mial rozszerzone strachem.

-Mamo, myslalem, ze to Amy.

-Daj mi to - powiedziala, wyjmujac maske z jego rak.

-Wlozylem gumowa gliste do jej pudelka z kremem i myslalem, ze to Amy przyszla, aby sie ze mna porachowac - tlumaczył sie Joey pospiesznie.

-Kiedy wreszcie wyrosniesz z tych glupich zartow? - rzucila Ellen, ale jej serce wciaz jeszcze bilo gwałtownym rytmem.

-Nie wiedzialem, ze to ty! Nie wiedzialem!

-Takie zarty sa chore - powiedziala gniewnie. Przyjemna pijacka mgielka rozwiala sie. Uczucie rozleniwienia pryslo, zastapione przez upiorne napiecie. Wciaz byla pijana, ale jej nastroj zmienil sie z rozbawienia w melancholie, ze szczescia w posepnosc.

-Chore - powtorzyla spogladajac na trzymana w dloni maska. - Chore i nienormalne.

Joey oparl sie plecami o zaglowek, sciskajac w dloniach brzeg poscieli, jakby chcial odrzucic koc na bok, wyskoczyc z lozka i uciec ile sil w nogach.

Wciaz drzaca wskutek szoku wywołanego widokiem tej wyszczerzonej w upiornym uśmiechu, zebatej, swiecacej twarzy wyskakujacej w jej kierunku z ciemnosci, Ellen rozejrzala sie, ogladajac inne osobliwe przedmioty w pokoju chłopca. Na scianach wisialy

plakaty z horrorow - Boris Karloff jako Frankenstein, Bela Lugosi jako Dracula i wiele innych filmowych potworow, ktorzych nie potrafila nawet zidentyfikowac. Na szafce, biurku i polkach staly modele straszylel - trojwymiarowe plastikowe figurki, ktore Joey osobiscie sklejal z elementow.

Paul nie zabronil synowi uprawiania owego makabrycznego hobby i upieral sie, ze wszyscy chlopcy w jego wieku zachowuja sie tak samo. Ellen tez nigdy nie miala wobec pasji Joeya powazniejszych obiekcji. Chociaz fascynacja chlopca horrorami i krwia nieco ja niepokoila, uwazala sprawe za dosc blaha, jedna z tych, ktore pozostawiala w gestii Paula, aby mogli sie czuc wazny, potrzebny i przekazywal jej wszystkie powazniejsze problemy.

Teraz, rozwscieczona zarciem, jaki zrobil jej Joey, zdenerwowana nie chcianymi wspomnieniami, ktore wskrzesil w niej ow figiel, wciaz jeszcze z umyslem przycmionym oparami wodki, Ellen cisnela maske do kosza na smieci.

-Juz czas, zebys skonczyl z tymi bzdurami. Powinienes przestac sie bawic glupawymi zabawkami i zaczac zachowywac sie jak normalny, zdrowy chlopiec. - Zgarnela z szafki kilka modeli potworow i cisnela je do kosza.

Zamaszystym ruchem sciagnela z jego biurka plastikowe figurki wampirow i goblinow i poslala je w slad za tamtymi.

-Rano, zanim pojdiesz do szkoly, pozdejmujesz te okropne plakaty i pozbedziesz sie ich. Tylko uwazaj zebys nie odlupal kawalka tynku przy wyjmowaniu pinezek ze scian. Przyniose ci kilka dobrych, normalnych plakatow, zeby je tu powiesic. Rozumiesz?

Pokiwal glowa. Lzy splywaly mu po policzkach, choc nie powiedzial ani slowa.

-I skonczysz z tymi idiotycznymi dowcipami - dodala oschle Ellen. - Zadnych gumowych pajakow. Zadnych sztucznych wezy. Zadnych kauczukowych robali wkladanych do sloikow z kremem. Rozumiesz?

Ponownie pokiwal glowa. Ciało miał napięte niczym struna, twarz biała jak sciana. Wydawalo sie, ze az za bardzo wzial sobie do serca jej slowa. Nie wygladal jak chlopiec karcony przez surowa matke, ale jak dziecko stojace w obliczu niechybnej smierci. Wydawalo sie, ze byl pewny, iz lada moment matka schwyci go za gardlo i udusi.

Strach malujacy sie w oczach Joeya podzialal na Ellen jak kubel zimnej wody.

ZACHOWUJE SIE TAK SAMO JAK GINA.

Nie! To nie bylo uczciwe. Robila tylko to, co musialo byc zrobione. Dziecko wymagalo dyscypliny i ukierunkowania. Po prostu wykonywala swoje obowiazki, jak kazdy prawdziwy rodzic.

TAK JAK GINA.

Odegnęła od siebie te myśli. - Połóż się - powiedziała.

Joey posłusznie wśliznął się na powrót pod koc.

Podeszła do nocnego stolika i położyła dłoń na włączniku lampy.

- Pomodliłeś się?

- Tak - odparł drżącym głosem.

- Odmówiłeś wszystkie modlitwy? - Tak.

- Jutro wieczorem odmówisz więcej modlitw niż zwykle.

- Dobrze.

- Odmówię je z tobą, aby mieć pewność, że nie pominiesz ani słowa.

- Dobrze, mamo. - Zgasła lampkę. Cichym głosem dodał:

- Nie wiedziałem, że to ty, mamo.

- Spij już.

- Myślałem, że to Amy.

Nagle zapragnęła pochylić się, wziąć go na ręce i z całej siły przytulić do piersi. Chciała objąć go mocno, pocałować i powiedzieć, że wszystko w porządku.

Kiedy jednak zaczęła nachylać się ku niemu, przypomniała sobie o masce. Kiedy ją ujrzała, wylaniająca się z ciemności, przyszło jej na myśl, że demon ukryty w Joeyu wreszcie się ujawnił. Była przekonana - zaledwie przez sekundy czy dwie, ale dostatecznie długo, by jej euforia prysła jak mydlana banka - że dawna oczekiwana przemiana wreszcie się dokonała. Teraz obawiała się, że kiedy się pochyli i przytuli go, ponownie ujrzy jakąś straszna twarz, wykrzywiona w złowieszczym grymasie - tyle, że tym razem to już nie będzie maska. A potem może to on chwyci ją mocno i przyciągnie do siebie, aby móc łatwiej rozerwać jej brzuch swymi ostrymi, polyskującymi szponami. Fala miłości przepłynęła przez nią i opuściła jej wnętrze, pozostawiając nagle pustkę złożoną z niepewności i lęku. Bała się własnego dziecka.

Hustawka.

Hustawka.

I nagle uswiadomila sobie raz jeszcze, jak bardzo jest pijana. Miala nogi jak z waty. Chwiala sie. Krecilo sie jej w glowie i czula sie BEZBRONNA.

Poza zasiegiem blasku nocnej lampki ciemnosc pulsowala, falowala i przyblizala sie jak zywa istota.

Ellen odwrocila sie od lozka i szybko wyszla z pokoju, przedzierajac sie przez mrok. Zamknela za soba drzwi i przez chwile stala na korytarzu. Jej serce dudnilo niczym nie domknieta okiennica targana podmuchami wichury.

-Czy ja jestem szalona? - spytala siebie. - Czy jestem taka jak moja matka - postrzegam dzieło Szatana we wszystkich i wszystkim, tam, gdzie ich wcale nie ma? Czy jestem GORSZA niz Gina?

Nie - powiedziala sobie zdecydowanie. Nie jestem szalona ani nie jestem taka jak Gina. Mam uzasadniony powód. A teraz... no coz... moze troche za duzo wypilam i nie potrafie rozumowac logicznie.

W ustach czula suchosc i kwasny smak - efekt wypitego alkoholu, ale mimo to miala chec na kolejnego drinka. Pragnela poczuc raz jeszcze ten specyficzny odlot, pragnela powrotu owego szczegolnego, przyjemnego nastroju, ktorym cieszyła sie, zanim Joey wystraszył ja swoja gumowa maska. Juz teraz czula pierwsze oznaki kaca - slabe sensacje zoladkowe, ktore stopniowo przerodza sie w istna rewolucje i mdlosci, oraz tepe pulsowanie w skroniach, zapowiedz upiornego bolu glowy. Zanim poczuje sie gorzej, potrzebowala paru klakow siersci psa, ktory ja pokasal. Paru szklanek siersci tego zabawnego, starego psiska, ktore zylo w przezroczystej butelce i bylo produktem destylacji ziemniakow. Czyz wodka nie robi sie z ziemniakow? Sok ziemniaczany - oto co doda jej animuszu. Przeplukawszy gardlo spora porcje soku ziemniaczanego bedzie w stanie odzyskac ow upragniony, przyjemny nastroj rownie latwo, jak przywdziewala miekki, mechaty stary szlafrok.

Wiedziala, ze jest grzesznica. Naduzywanie alkoholu bylo bez watpienia grzechem. Na trzezwo potrafila dostrzec duchowa skaze, jaka pozostawiala w niej wodka.

Dopomoz mi, Boze, pomyslala. Dopomoz mi, Boze, bo ja sama nie potrafie sobie pomoc.

Zeszla na dol przyrzadzic sobie kolejnego drinka.

* * *

Kiedy matka wyszla z pokoju, Joey jeszcze przez dziesiec minut nie ruszal sie z lozka. Kiedy wreszcie poczul sie wzglednie bezpieczny, wlaczył lampke i wstal. Podszedl do kosza stojacego przy biurku i spojrzal na sterte figurek potworow. Bylo ich tak wiele - istna platanina szczerzacych zeby, wyciagajacych szpony plastikowych postaci.

Głowa Draculi została utracona. Kilka innych figurek również wydawało się uszkodzonych.

Nie będę płakał - powiedział sobie stanowczo Joey. Nie zaczęła beczeć jak dzieciak. Ona by się z tego cieszyła. Nie zrobię nic, co mogłoby sprawić jej przyjemność.

Lzy nadal spływały mu po policzkach, ale nie nazywał tego płaczem. Kiedy naprawdę płakał, było go słychać w całym domu, ciekło mu z nosa, zawodził, twarz miał czerwona jak burak i ani trochę nad sobą nie panował.

Odwrocił się od kosza na śmieci i podszedł do biurka, z którego mama zgarnęła całą jego kolekcję plastikowych potworów. Jedyne, co mu zostało, to skarbonka. Wziął ją i przeniósł na łóżko.

Zaoszczędzone pieniądze wrzucał do dużego, przezroczystego słoja. W większości były to monety, reszta z tygodniówek, które otrzymywał za sprzątanie w swoim pokoju i wykonywanie drobnych prac wokół domu. Zarobił też kilka czterechdolarówek za zrobienie zakupów dla pani Jannison, staruszki mieszkającej w sąsiednim domu.

W słoju znajdowało się kilka banknotów dolarowych - w większości były to prezenty urodzinowe od babci Harper, wujka Johna Harpera i cioci, Emmy Williams, siostry tatusia.

Joey opróżnił zawartość słoja na łóżku i przeliczył. Dwadzieścia dziewięć dolarów. I pięć centów. Był dostatecznie duży by wiedzieć, że to nie żadna fortuna, ale mimo wszystko suma wydawała mu się dość spora.

Mając w kieszeni dwadzieścia dziewięć dolarów można dotrzeć daleko. Nie był pewien jak daleko, ale sądził, że co najmniej dwieście mil.

Zamierzał spakować się i uciec z domu. MUSIAŁ uciec. Gdyby zabawił tu dłużej, mogłoby zdarzyć się, że któregoś nocy mama, pijana w sztok, wejdzie do jego pokoju i zabije go.

Tak jak zabiła Victora.

Kimkolwiek był ów Victor.

Zastanawiał się, jakby to było - wyjechać samemu do jakiegoś odległego, zupełnie obcego miasta. Na pewno czułby się samotny. Ale nie brakowałoby mu mamy. Taty zresztą również. Tesknąłby tylko za Amy. Kiedy pomyślał, że miałby zostawić Amy i już nigdy więcej jej nie ujrzyć, poczuł, że coś ściska go w gardle i miał wrażenie, że lada moment się rozbeczy.

PRZESTAN! BĄDZ DZIELNY!

Przygryzł język, aż pragnienie płaczu minęło i ponownie odzyskał nad sobą kontrolę. Ucieczka z domu nie oznaczała przecież, że już nigdy nie ujrzy Amy, że nie zobaczy

jej przez resztę swego życia.

Za kilka lat ona również wyjedzie z domu, aby rozpocząć życie na własną rękę, a wówczas mogłoby do niej dołączyć. Mogliby zamieszkać razem, w Nowym Jorku albo w jakiejś innej ogromnej metropolii. Amy zostanie słynną malarką, a on dorosnie. Gdyby pojawił się w drzwiach jej mieszkania za kilka lat od dziś, na pewno nie wydalaby go mamie.

Nie Amy.

Poczuł się nieco lepiej.

Włożył na powrót pieniądze do szklanego słoja i mocno zakreślił wieczko. Następnie odstawił słoje na biurko.

Z banku weźmie opakowanie do bilonu i zapakowawszy piecioro, dziesięć - i dwudziestopięciocentówki wymieni je na banknoty. Nie mógł uciec z domu z kieszeniami wypełnionymi brzęczącymi drobniakami - to byłoby dziecinne.

Położył się i zgasił światło.

Jedynym minusem jego ucieczki był fakt, że ominie go doroczny festyn w lipcu. Przecież czekał na to wydarzenie od tyłu miesiąca. Mama nie aprobowała odwiedzania wesołego miasteczka i stykania się z pracownikami lunaparku. Powiedziała, że to zli, plugawi i niebezpieczni ludzie, prawdziwa banda złodziei i niegodziwców. Joey nie wierzył w prawdziwość opinii mamy na temat innych ludzi. Zdaniem mamy prawie wszyscy byli grzesznikami.

Kilkakrotnie ojciec zabrał Joeya do wesołego miasteczka w sobotę, ostatniego dnia festynu. Jednak przeważnie tatus miał zbyt dużo pracy w kancelarii adwokackiej i nie był w stanie się wyrwać.

W tym roku Joey zamierzał wymknąć się do lunaparku na własną rękę. Do miejsca, w którym zwykle znajdowało się wesołe miasteczko, od domu Harperów było niespełna dwie mile. Aby tam dotrzeć, musiał przejść zaledwie dwie ulice. Miejsce to znajdowało się wysoko na szczycie pagórka - nietrudno było je znaleźć.

Joey zamierzał powiedzieć matce, że wybiera się na cały dzień do biblioteki, co niejednokrotnie czynił - zamiast tego wziąć rower i wypuścić się do lunaparku. Spędzi tam cały upojny ranek i szalone popołudnie, po czym wróci do domu na obiad. Szanse, że mama zdola przejrzyć jego sprytny plan, były raczej znikome.

Nie był zadowolony, że jednak nie zaliczy festynu, bowiem lunapark, jaki w tym roku odwiedzi ich miasteczko, miał być podobno większy i lepszy niż wszystkie poprzednie.

Był to lunapark objazdowy, ale nie ten, który w przeszłości odwiedzał Royal City. Miał to

byc prawdziwy gigant, drugie co do wielkoscii wesole miasteczko na swiecie, dwu - albo trzykrotnie wieksze niz tandetny lunapark, ktory zazwyczaj zjawial sie w ich miescie. Co za tym idzie, bedzie w nim wiecej atrakcji i szalenstw niz w poprzednich latach, wiecej wspanialych nowych rzeczy do obejrzenia i zaliczenia.

Ale ich nie zobaczy, jezeli bedzie wowczas znajdowal sie sto mil stad, rozpoczynajac nowe zycie w jakimims obcym miescie.

Przez blisko minuty Joey lezal w ciemnosci, przepelniony dojmujacym zalem - az nagle usiadl gwaltownie, bowiem ni stad, ni zowad przyszla mu do glowy rewelacyjna mysl.

Mogl uciec z domu, a jednoczesnie odwiedzic wesole miasteczko. Jedno nie wyklucza drugiego. Rozwiazanie bylo proste.

Idealne.

UCIEKNIE Z LUNAPARKIEM!

8

W srode rano z laboratorium nadeszly wyniki testu. Amy byla teraz oficjalnie w ciazy W srode po poludniu wraz z mama poszly do banku i wyjely z konta Amy pieniadze na oplate za zabieg. W sobote rano powiedzialy ojcu Amy, ze wybieraja sie na kilka godzin na zakupy. Zamiast tego pojechaly do kliniki doktora Spanglera.

Przy stole recepcjonistki Amy czula sie jak przestepczyni. Ani doktor Spangler, ani jego wspolpracownicy - doktorzy West i Lewis, ani personel nie byli katolikami. Przeprowadzali aborcje praktycznie w kazdym tygodniu, miesiac po miesiacu, nie dokonujac moralnej oceny tego czynu. Mimo to po wielu latach natarczywego wpajania zasad religijnych Amy czula sie nieomalze jak wspolniczka morderstwa i wiedziala, ze poczucie winy bedzie ja dreczyc jeszcze przez dlugi, bardzo dlugi czas, kalajac szczescie, ktore miala nadzieje osiagnac.

W dalszym ciagu trudno jej bylo uwierzyc, ze mama wyrazila zgode na dokonanie przez nia zabiegu. Zastanawiala sie nad ognikami leku, ktore dostrzegala w oczach matki.

Operacja miala zostac dokonana natychmiast i pielegniarka zaprowadzila Amy do pokoju, gdzie mogla sie rozebrac i wlozyc rzeczy do szafki. Mama zostala w poczekalni.

W pomieszczeniu przedoperacyjnym, kiedy pielegniarka pobrala jej krew, zjawil sie doktor Spangler, aby zamienic z nia pare slow.

Usilowal ja uspokoic. Byl jowialnym grubaskiem o lysej czaszce i krzaczastych, szpakowatych baczkach.

-To dopiero poczatek ciazy - powiedzial. - Zabieg bedzie bardzo prosty. Nie przewiduje

zadnych komplikacji. Nie przejmuj się tym, dobrze? Zanim zdązysz się zorientować, że się zaczęło, będzie już po wszystkim.

W niewielkiej sali operacyjnej Amy podano lekką narkozę. Zaczęła odpływać z ciała jak balon wzbijający się w czyste, błękitne niebo.

W oddali, poza mgielką światła i kurtyna szepczącego powietrza, Amy usłyszała cichy głos pielęgniarki. Kobieta powiedziała:

-To bardzo ładna dziewczynka, prawda?

-Tak, bardzo ładna - rzekł doktor Spangler; jego głos odpływał sylabą po sylabie, był już prawie niesłyszalny. - I miła. Leczyłem ją, kiedy jeszcze była małym brzdacem. Zawsze była taka cicha, miła i spokojna...

Odpływając ku gorze i oddalając się od nich, Amy usiłowała powiedzieć lekarzowi, że jest w błędzie. Nie była dobra. Była zła, bardzo zła dziewczyna. Powinien spytać mamy. Mama powie mu prawdę. Amy Harper była zła do gruntu, zepsuta, plugawa, rozwiązła i zbuntowana. Próbowła powiedzieć doktorowi Spanglerowi, jak bardzo jest bezwartościowa, ale usta i język zupełnie nie chciały jej słuchać.

Nie była w stanie wydać z siebie dźwięku...

... aż powiedziała: "Uch!" i otworzyła oczy w pokoju pooperacyjnym.

Leżała na wznak na wózku z kolkami i poręczami, wpatrując się w wyłożony płytkami sufit. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje.

I nagle przypomniała sobie wszystko, a potem zdziwiła się, że aborcja była tak szybkim i prostym zabiegiem.

Zatrzymali ją przez godzinę w pokoju pooperacyjnym, aby upewnić się, że nie grozi jej krwotok.

O wpół do czwartej była już z matką w pontiacu i wracała do domu. Przez pierwszą połowę krótkiej przejazdu żadna z nich się nie odezwała. Oblicze mamy wyglądało jak wykute z kamienia.

W końcu Amy powiedziała:

-Mamo, wiem, że przez najbliższe miesiące zarządysz dla mnie areszt domowy, ale mam nadzieję, że pozwolisz mi pracować wieczorami w "Dive", jeżeli pan Donatelli wyznaczy mi późniejszą zmianę.

-Możesz pracować, kiedy ci się podoba - powiedziała chłodno jej matka.

-Z pracy bede wracala prosto do domu.

-Nie musisz - stwierdzila mama. - Nie obchodzi mnie, co zrobisz. To po prostu juz mnie nie obchodzi. I tak nie bedziesz mnie sluchala. Nie bedziesz zachowywac sie jak nalezy. Poluzowalas cugle istocie, ktora tkwi w tobie i nie jestes juz w stanie jej powstrzymac. Nic nie moze zrobic. Umywam rece, jesli chodzi o ciebie. Umywam rece.

-Mamo, prosze. Prosze. Dlaczego mnie nienawidzisz?

-Nie nienawidze cie. Tylko czuje sie dziwnie otepiala i jakby odretwiala. Jesli chcesz wiedziec, nie czuje juz wobec ciebie nic... zupełnie nic.

-Nie rezygnuj ze mnie.

-Jest tylko jedna droga do nieba - stwierdzila mama. - Ale jesli chcesz trafic do piekla, doprowadzi cie tam tysiac drog. Nie moze zablokowac ich wszystkich.

-Nie chce pojsc do piekla - jeknela Amy.

-Wybor nalezy do ciebie - powiedziala mama. - Od tej pory jestes zdana sama na siebie. Mozesz robic co chcesz. I tak nigdy nie bedziesz mnie sluchac, wiec umywam rece. - Mowiac to wprowadzila woz na podjazd przy domku - Nie wejde z toba do srodka. Musze jeszcze zrobic zakupy. Jesli twoj ojciec wroci z kancelarii i zapyta, dlaczego jestes taka blada, powiedz mu, ze kiedy bylismy w domu towarowym, zjadlas hamburgera i musial ci zaszkodzic. Idz do swego pokoju i zostan tam. Im mniej bedzie cie widzial, tym mniejsza szansa, ze zacznie cos podejrzewac.

-Dobrze, mamo.

Kiedy Amy weszla do domu, stwierdzila, ze ojciec jeszcze nie wrocil z kancelarii. Joey nadal bawil sie w domu Tommy'ego Culpa. Byla sama. Przebrala sie w pizame i szlafrok, a potem zadzwonila do Liz Duncan.

-Juz po wszystkim.

-Naprawde? - spytala Liza.

-Wlasnie wrocilam do domu.

-Wyskrobali cie?

-Musisz byc taka ordynarna? - zgorszyła sie Amy.

-Ale wlasnie na tym to polega - rzucila ostro Liz. - Wyskrobuja to z ciebie. Jak sie czujesz?

-Wyskrobana - odparla ponuro Amy.

-Boli cie brzuch?

-Troche. I... nizej tez.

-Znaczy, masz obolala cipe? - spytala Liz.

-Musisz mowic w ten sposob?

-W jaki?

-Wulgarny.

-To jedna z moich najbardziej czarujacych umiejetnosci - zupelny brak jakichkolwiek zahamowan. Posluchaj, a poza tym, ze boli cie brzuch i piczka, to jak ogolnie sie czujesz?

-Bardzo, bardzo zmeczona.

-To wszystko?

-Tak. To bylo latwiejsze niz mi sie wydawalo.

-No, to ulzylo mi. Martwilam sie o ciebie, mala. Naprawde, bardzo, bardzo sie martwilam.

-Dzieki, Liz.

-Jestes uziemiona na lato?

-Nie. Sadzilam, ze czeka mnie przez jakis czas areszt domowy, ale mama stwierdzila, ze nie obchodzi jej, co robie. Umyla rece.

-Tak powiedziala? - Tak.

-Boze, to swietnie!

-Czyzby? - zastanawiala sie Amy.

-Oczywiscie, ty glupia gasko. Teraz sama ustalasz dla siebie zasady. Jesteś WOLNA, malenka! - Liz zaczela nasladowac murzynski akcent: - Twój pan cie uwolnil od dzieciaka!

Amy nie rozesmiala sie. Powiedziala:

-Na razie mam ochote sie troche przespac. Wczorajszej nocy nie zmruzyłam oka, i w ogole ostatnio kiepsko sypialam. A po dzisiejszym przezyciu... doslownie padam z nog.

-Jasne - mruknela Liz. - Rozumiem. Nie bede cie trzymac godzinie przy telefonie. Odpocznij troche. Zadzwon do mnie jutro. Sporadzimy plany na lato. To ci dopiero bedzie ubaw! Wspomnienia przycmia wydarzenia ostatniego lata, ktore spedzilysmy razem. Prawde mowiac mam juz na oku paru facetow dla ciebie.

-Nie sadze, abym wlasnie teraz potrzebowala jakiegos faceta - stwierdzila Amy.

-Och, z pewnością nie przez najbliższe dziesięć minut - przyznała Liz. - Ale kiedy już odetchniesz kilka tygodni, wróci ci humor i ochota na te rzeczy.

-Nie sadze, Liz.

-A ja jestem pewna. Przecież, na miłość Boską, nie zmienisz się w zakonnice. Od czasu do czasu potrzebujesz odrobiny tego starego, dobrego salami, malenka. Pod tym względem jesteśmy podobne. Żadna z nas nie potrafi wytrzymać dłuższy czas bez faceta.

-Zobaczymy - powiedziała Amy.

-Tyle, że tym razem - dodała Liz - zrobisz dokładnie to, co ci mówiłam. Złatwisz sobie receptę na pigułki.

-Nie sadze, aby naprawdę były mi potrzebne - zaprotestowała Amy.

-Ostatnim razem też tak myślałaś, słonko.

Kilka minut później w swoim pokoju Amy ukleknęła przy łóżku i zaczęła się modlić. Jednak już po minucie czy dwóch przestała, bowiem po raz pierwszy w życiu odniosła wrażenie, że Bóg jej nie słucha. Zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek zechce jej wysłuchać.

Zasypiając popłakała trochę w poduszkę. Nikt nie obudził jej ani na kolację, ani na mszę następnego dnia. Kiedy ponownie otworzyła oczy, była niedziela, jedenasta rano, a za oknem jej sypialni po czystym, lazurowym niebie jak wielkie okrety przepływały rozproszone białe chmury. Przespała całe osiemnastie godzin.

O ile dobrze pamiętała, był to drugi raz, kiedy nie poszła na niedzielna poranna msza. Drugi raz od wczesnego dzieciństwa.

Pierwszy raz zdarzył się, kiedy miała dziesięć lat i leżała w szpitalu po operacji ślepej кишки. Miała ją odesłać do domu w poniedziałek, a mama pokłociła się z lekarzem i domagała się, aby wypuszczono Amy dzień wcześniej, by dziewczynka mogła zostać zabrana do kościoła. Doktor jednak stwierdził, że kościół nie jest najlepszym miejscem dla dziecka powracającego do zdrowia po operacji.

Z ulgą przyjęła fakt, że mama nie zmusiła jej, aby dziś rano poszła do kościoła. Najwidoczniej uważała, że jej zepsuta córka nie należała już do Bożej owczarni.

I być może miała rację.

* * *

Następnego dnia, w poniedziałek, dwudziestego szóstego maja dwaj malarze reklam i szyldów zaczęli pracować nad napisem na ogromnej tablicy ogłoszeniowej przy wjeździe na

blonia, tuż za granicami miasta. Skonczyli wczesnym popołudniem.

UWAGA UWAGA UWAGA

OD 30 CZERWCA DO 5 LIPCA

DOROCZNY FESTYN W ROYAL COUNTY

-POKAZY WOLTYZERKI-POPISY ZREZNOSCIOWE

-AUKCJE ZWIERZAT DOMOWYCH

-TANIEC I ROZRYWKA

-ATRAKCJE ZABAWY REWELACJE

-WIELKI LUNAPARK OBJAZDOWY

BAM ZAPRASZA

CZESC DRUGA

LUNAPARK PRZYBYWA.

9

W miesiąc po zabiegu, w ostatnim tygodniu czerwca Amy pracowała w "Dive" od poniedziałku do piątku, od dziewiątej do siedemnastej, i w soboty od południa do osiemnastej. W lokalu stałe tłoczył się tłum opalonych, tryskających energią nastolatków. W sobotni wieczór o osiemnastej, kiedy Amy zbierała się już, aby pojsć do domu, pojawiła się Liz Duncan, wyglądająca jak milion dolarów, w obcisłych czerwonych szortach, białym podkoszulku i bez biustonosza.

-Mam dziś wieczorem randkę z Richardem. Umowiliśmy się tu o wpół do siódmej. Dotrzymasz mi towarzystwa?

-Wątpię, abys mogła się poczuć samotna - rzuciła Amy. - Gdybys usiadła sama przy stoliku, w dwie minuty przysiedliby się do Ciebie wszyscy faceci z tego lokalu.

Liz badawczo przyjrzała się obecnym w "Dive" nastolatkom, po czym pokręciła głową.

-Nic z tego. Kiedy się już z kims umowilam, a potem z nim zerwałam, facet wie, że nie może liczyć na nic więcej i jakakolwiek próba odnowienia związku między nami mija się z celem.

-I co z tego?

-A to, że większość facetów w tym lokalu nie przysiadłaby się do mnie, bo zaliczyłam prawie wszystkich.

-Rany - jeknela Amy. - To okropne.

-Ale prawdziwe - stwierdziła Liz.

-Jestes zła.

-Dlatego chłopaki mnie lubia. No to jak, dotrzymasz mi towarzystwa, dopoki Richard sie nie zjawi?

-Jasne - odparła Amy.

Podeszła do automatu i wzięła dwie cole, po czym wraz z Liz usiadły przy pierwszym stoliku od frontu, skąd mogły widzieć Main Street. Przed lokalem stał samochód Liz, żółta toyota celica. Rodzice podarowali go jej w nagrodę za ukończenie szkoły.

-Chociaz bardzo sie staram - zaczęła Amy - nie potrafie wyobrazic sobie ciebie i Richiego Atterbury'ego jako pary.

-Czemu nie? Oboje bylismy w szkole oryginalami - stwierdzila Liz. - On byl klasowym geniuszem z ilorazem inteligencji sto osiemdziesiat, a ja klasowa kurwa majaca na liscie zaliczonych stu osiemdziesieciu facetow.

-Nie rozumiem, dlaczego mowisz o sobie w ten sposob - powiedziala Amy.

-Przeciez, na milosc Boska, nie mialas ich az tylu.

-Nie mysl sobie, ze ja sie umartwiam czy cos w tym rodzaju. Ja sie tym rozkoszuje - stwierdzila Liz. - Naprawde. Uwielbiam to, czym jestem. To jedyny prawdziwy odlot.

-Richie zawsze byl taki niesmiały.

-Juz nie jest - odparła Liz. Mrugnęła. - Wyobraz sobie, ze musialam wszystkiego go nauczyc. Byl taki nieudolny, niezdarny i niewinny. Prawdziwe wyzwanie. Ale stanal na wysokosci zadania i calkiem niezle mu to wychodzi. To doprawdy bardzo podatny material. Latwy do zdeprawowania.

-A ty go deprawujesz?

-Dokladnie.

-Czy to nie jest odrobine melodramatyczne?

-Nie. Bo wlasnie to robie. Sprowadzam na zla droge Richiego Atterburyego, szkolnego

geniusza.

-Elizabeth Ann Duncan, wieczna kusicielka, wszechwiedzaca kobieta upadla z egzotycznego Royal City - rzucila sarkastycznie Amy.

Liz usmiechnela sie.

-To cala ja. Wiesz, ze jeszcze trzy tygodnie temu, zanim zaczelam z nim chodzic, Richie nie mial pojecia jak smakuje trawka? Wyobrazasz sobie? Teraz juz przypala regularnie.

-To jedyny powod, dla ktorego sie z nim spotykasz? Tylko po to, by go deprawowac?

-Nie - odparla Liz. - To naprawde cholernie zabawne moc otwierac mu oczy na calkiem nowe rzeczy, nowe doswiadczenia, uczyc nowych doznan. Ale nawet gdyby nie byl taki zielony, i tak byloby mi z nim dobrze. Jest taki inteligentny i wydaje sie, ze wie mase interesujacych rzeczy na prawie kazdy temat. Nigdy dotad nie spotykalam sie z geniuszem. To cos innego.

-Wyglada na to, ze ten zwiazek ma szanse przetrwac dluzej niz poprzednie - stwierdzila Amy.

-Nic podobnego - zaprzeczyla pospiesznie Liz. - Zakladam, ze to potrwa jeszcze miesiac, no, gora szesc tygodni. A potem - zegnaj Richie. Niezaleznie od tego, jak jest inteligentny, po prostu mi sie znudzi. Poza tym gdybym miala ochote na staly zwiazek - a nie mam - ale gdybym z jakiegos osobliwego powodu miala chec na cos takiego, nigdy nie zwiatalabym sie z nikiem w tej parszywej dziurze. Nie chce, aby ktos zatrzymywal mnie tutaj, skoro zamierzam juz niebawem wyruszyc na zachod.

-Nadal planujesz stad wyjechac?

-Tak, do diabla. Do polowy grudnia bede pracowac w biurze mojego ojca, umoszcze tam sobie gniazdko, a potem rzuce te robote na pare tygodni przed Bozym Narodzeniem. Po swietach spakuje swoje rzeczy do mojej malej zoltej toyoty i wyrusze na pelnym gazie ku krainie slonca i wielkich mozliwosci.

-Do Kalifornii?

-Zdecydowalam sie na Vegas - stwierdzila Liz.

-Las Vegas?

-To jedyne Vegas, jakie znam.

-Co bedziesz tam robic?

-Sprzedawac - powiedziala Liz i ponownie sie usmiechnela.

-Ale co?

-Nie wyglupiaj sie.

-Wcale sie nie wyglupiam.

-Jestes glupia jak but.

-Nie rozumiem. Co zamierzasz sprzedawac?

-Moja dupe. - Co?

-Bede sie rznela na prawo i lewo.

-Bedziesz sie rznela?

-Jezu! - jeknela Liz. - Posluchaj, dziecino, czy wiesz, ile moze zarobic w Vegas dobrze platna cali girl? Szesciocyfrowe sumy, ot co!

Amy patrzyła na nią z niedowierzaniem.

-Chcesz mi wmowic, ze wybierasz sie do Vegas, zeby zostac tam dziwka?

-Niczego nie probuje ci wmowic - uciela Liz. - Po prostu stwierdzam fakt, malenka. Poza tym nie bede zwyczajna kurwa. Kurwa to takie wulgarne slowo Kurwy sa tanie. Ja bede hostessa, ktora co wieczor towarzyszy innemu dzentelmenowi. Wiesz, hostessy maja bardzo wysokie zarobki. A ja bede drozsza niz wiekszosc z nich.

-Nie mowisz serio.

-Oczywiscie, ze mowie serio. Jestem atrakcyjna, mam ladna twarz, dlugie nogi, zgrabny tyłek, talie osy i TO - wypielą piersi, az cienki material podkoszulka naprezyl sie mocniej, ukazujac wyraznie ksztaltny, jedrny biust. - Jesli oducze sie rozrzutnosc i wlasciwie ulokuje moje pieniadze, zanim skoncze dwadziescia piec lat, bede warta co najmniej milion.

-Nie zrobisz tego.

-Zrobie.

-Zgrywasz sie.

-Posluchaj, jestem regularna nimfomanka. Wiem o tym, rownie dobrze jak ty. Praktycznie wszyscy o tym wiedza. Nie potrafie oprzec sie facetowi i uwielbiam urozmaicenia. Tak wiec skoro i tak pieprze sie prawie codziennie, czemu nie mialabym brac za to forsy?

Amy przyjrzala sie jej badawczo, a Liz nie odwrocila wzroku. W koncu Amy powiedziala:

-Boże, ty naprawdę chcesz to zrobić.

-Dlaczego nie?

-Liz, życie prostytutki nie jest przyjemne. Nie składa się z samych radości i zabaw. Jest ponure i samotne.

-Kto tak twierdzi?

-No... wszyscy tak mówią.

-Wszyscy pieprza bzdury.

-Jeśli odejdziesz, aby zrobić coś takiego... Liz... to będzie po prostu tragedia. Tak, Liz, inaczej nie można tego określić. Zaprzepaszczysz całe swoje życie, zrujnujesz wszystko.

-Mówisz jak twoja matka - rzuciła Liz z pogardą w głosie.

-Wcale nie.

-Właśnie, że tak - oznajmiła Liz. - Mówisz tak samo jak ona.

-Naprawdę? - spytała Amy.

-Dwulicowa moralizatorka, przekonana bez reszty o swojej racji.

-Po prostu martwie się o ciebie.

-Wiem, co robię - stwierdziła Liz. - Posłuchaj, kiedy jesteś dobrze opłacana call girl, twoje życie jest niekończącym się przyjęciem. Co może być w tym ponurego czy samotnego? To ciągła zabawa, radość i śmiech. Zwłaszcza w Vegas, gdzie życie nie jest nudne nawet przez minutę.

Amy była kompletnie zbита z tropu. Nie potrafiła pogodzić się z myślą, że któregoś dnia będzie miała przyjaciółkę prostytutkę. Przez chwilę siedziały w milczeniu popijając colę i słuchając Boba Segera, którego głos wypływał z głośnika szafy grającej z siłą młota pneumatycznego.

Kiedy muzyka ucichła, Liz zapytała:

-Wiesz, co byłoby wspaniałe?

-Co takiego?

-Gdybys pojechała ze mną do Vegas. - JA?

-Pewno. Czemu nie?

-Boże - szepnela Amy, poruszona tym pomysłem.

-Wiem, że jestem diabelnie seksowna i w ogóle - stwierdziła Liz. - Ale ty też jesteś niczego sobie. Masz wszystko, czego potrzeba, aby odnieść w Vegas wielki sukces.

Amy rozesmiała się, odrobine zakłopotana.

-Poważnie - dodała Liz.

-Nie ja.

-Faceci ustawialiby się w kolejce, żeby móc się z tobą przespać. Wiesz co, w tym mieście mogłabyś podbić nawet Liberacea i Franka Sinatry razem wziętych.

-Nie, Liz, nie mogłabym zrobić czegoś takiego. Nigdy w życiu.

-Ale z Jerrym to robiłaś.

-Nie dla forsy.

-Kompletna głupota.

-Poza tym to było coś zupełnie innego. Jerry był moim chłopakiem.

-No i co z tego? - rzuciła Liz. - Czy dla Jerry'ego miało to jakiegokolwiek znaczenie? Kiedy tylko usłyszał, że zaskoczyłaś, od razu cię rzucił. Był twoim chłopakiem, ale nie okazał ci odrobiny oddania, taktu, współczucia czy lojalności, choć powinnas się tego po nim spodziewać. Gwarantuję ci, że żaden z facetów w Vegas nie potraktuje cię jak szmate.

-Przy moim szczęściu - stwierdziła Amy - moim pierwszym klientem byłby żaden krwi szaleniec, z nożem rzeźnickim w garści.

-Nie, nie, nie - uciela Liz. - Klientów przysyłano by ci wyłącznie za pośrednictwem i aprobatą twoich bossów oraz wyższych pracowników kasyn i hoteli. Przysyłaliby ci sama smietankę, lekarzy, prawników, sławnych artystów, milionerów, biznesmenów... zajmowałabyś się wyłącznie najlepszymi.

-Może to cię zdziwi - stwierdziła Amy - ale nawet milioner biznesmen może okazać się zbrodniczym psychopata z nożem za pazucha. To rzadkość, przyznaje, niemniej może się przydarzyć.

-A więc ty też będziesz nosiła noż w torebce - znalazła wyjście Liz. - W razie gdyby zaczął zachowywać się dziwnie, możesz po prostu uderzyć pierwszą i tyle.

-Masz odpowiedz na wszystko, prawda?

-Jestem wprawdzie dziewczyna z malego, starego Royal City w Ohio - powiedziala Liz - ale nie jestem wiesniaczka.

-Mimo to nie sadze abym pod koniec roku pojechala z toba do Las Vegas - mruknela Amy.
- Minie naprawde sporo czasu, zanim umowie sie z kimkolwiek na randke, ze juz nie wspomne o seksie. Na razie mam facetow powyzej uszu.

-Akurat ci uwierze - odciela sie Liz.

-To prawda.

-Tego lata nie szlo ci najlepiej, mialas troche klopotow - przyznala Liz. - Ale to minie.

-Ja nie zartuje.

-W zeszlym tygodniu poszlas do lekarza, tak jak ci poradzilam - stwierdzila Liz z filuternym usmieszkiem.

-I co z tego?

-A to, ze masz recepte na pigulki. Czy bralabys recepte, gdybys faktycznie zamierzala trzymac sie z dala od facetow?

-Ty mnie na to namowilas - przypomniala Amy.

-Dla twojego wlasnego dobra.

-Zaluje, ze w ogole poszlam do tego lekarza. Nie bede potrzebowala pigulek ani niczego innego, az do ukonczenia college'u. Zamierzam siedziec prosto, ze zlaczonymi nogami i zachowywac sie cnotliwie.

-Akurat - powtorzyla Liz. - Za dwa tygodnie od dzis bedziesz lezala na wznak, przygnieciona ciezarem jakiegos zwalistego, napalonego samca. Najwyzej za dwa tygodnie. Wiem o tym. Znam cie na wylot. Wiesz, dlaczego tak latwo jest mi ciebie przejrzec? Bo jestes dokladnie taka sama jak ja. Jestesmy jak dwie krople wody. No, moze zewnetrznie nie bardzo, ale w srodku, w glebi serca jestes zupełnie do mnie podobna. A w gruncie rzeczy tylko to sie liczy. Wlasnie dlatego w Vegas obie zrobimy kariere. I ubawimy sie przy tym setnie.

Richie Atterbury podszedl do stolika. Byl wysoki i chudy, ale mimo to atrakcyjny. Mial ciemne wlosy i nosil okulary w rogowych oprawach, dzieki czemu przypominal nieco Clarka Kenta.

-Czesc, Liz. Czesc, Amy.

-Czesc, Richie. Masz ladna koszule - odpowiedziala Amy.

-Naprawde tak uwazasz? - zapytal.

-Tak. Podoba mi sie.

-Dzieki - rzucil lamiacym sie glosem Richie. Spojrzal na Liz swymi duzymi, lagodnymi oczyma i zapytal:

-Jestes gotowa na kino?

-Nie moze sie doczekac - odparla Liz. Wstala. - Wybieramy sie do kina dla zmotoryzowanych - powiedziala do Amy. - Nazwa jak najbardziej pasuje. - Usmiechnela sie znaczo. - Bo Richie zawsze wie, jak i gdzie zaparkowac swoj aparat.

Richie zaczerwienil sie.

Liz Wybuchnela smiechem i dorzucila:

-Mialabym szanse obejrzec choc urywek tego filmu, gdyby Richie zamontowal pare listew pod sufitem w samochodzie.

-Liz, jestes okropna - mruknela Amy.

-Uwazasz, ze jestem okropna? - spytala Liz zwracajac sie do Richiego.

-Moim zdaniem jestes wspaniala - rzekl Richie i odwazyl sie objac ja jedna reka w talii. W dalszym ciagu wydawal sie niesmiały i zahukany, nawet jezeli Liz zdolala bardziej niz przelotnie zapoznac go z seksem i narkotykami.

Liz spojrzala na Amy:

-Widzisz? On uwaza, ze jestem wspaniala, a przeciez jest klasowym geniuszem, wiec chyba wie co mowi.

Amy usmiechnela sie wbrew sobie.

-Posluchaj - powiedziala Liz - kiedy bedziesz gotowa by rozpoczac zycie od nowa, kiedy znudzi cie odgrywanie roli cnotki, zadzwon do mnie. Umowie cie z kims i wybierzemy sie na randke we czworo.

Amy obserwowala, jak Richie i Liz wychodza i wsiadaja do zoltej celiki. Liz prowadzila.

Odjechala od kraweznika przy wtorce upiornego pisku opon, ktory sprawil, ze wszyscy klienci w "Dive" mimowolnie spojrzeli w strone okien.

Kiedy Amy wyszła z lokalu za dwadzieścia siedem, nie poszła prosto do domu. Krawczyła bez celu ponad godzinę, ale nie oglądała wystaw mijanych sklepów ani nie zwracała uwagi na domy, obok których przechodziła. Nie cieszyła się ciepłym wiosennym wieczorem - po prostu szła przed siebie, rozmyślając o przyszłości.

Kiedy o osmej wróciła do domu, ojciec pracował w swoim warsztacie. Matka siedziała przy kuchennym stole przeglądając jakieś czasopismo, słuchając programu radiowego i sącząc wódkę z sokiem pomarańczowym.

-Jeżeli nie jadasz kolacji w pracy - powiedziała - w lodowce powinien być jeszcze zimny rozbef.

-Dziękuję - odparła Amy - ale nie jestem głodna. Zjadłam spory obiad.

-Jak chcesz - powiedziała mama i podkreśliła radio.

Amy uznała ten gest za zakończenie rozmowy. Weszła na piętro. Spędziła godzinę z Joeyem, grając z nim w remikę. Joey uwielbiał te gry. Chłopiec wydawał się jednak dziwnie ponury. Nie był tym samym, tryskającym życiem Joeyem, odkąd matka zmusiła go do pozbycia się wszystkich jego plakatów i figurek potworów. Amy usilnie próbowała go rozbawić i mądry śmiał się, ale miała wrażenie, że nie robi tego szczerze, po prostu udaje. Był jakiś spięty; Amy nie znosiła, kiedy się tak zachowywał, ale nie wiedziała, jak do niego dotrzeć, w jaki sposób poprawić mu humor.

Później w swoim pokoju ponownie stanęła naga na wprost olbrzymiego lustra. Krytycznie przyglądała się swojemu ciału, usiłując oszacować, czy rzeczywiście mogła mierzyć się z Liz. Nogi miała długie i dość zgrabne, uda kształtne i sprężyste, całe ciało należało - choć bez przesady - umiarkowane. Pośladki Amy były krągłe, jedrne i twarde, brzuch już nie płaski, ale wręcz lekko zapadnięty. Piersi nie miała wprawdzie tak dużych jak Liz, ale wcale nie były małe, a do tego kształtne, sterczące, o dużych ciemnych sutkach.

Było to bez wątpienia ciało stworzone do seksu, przykuwające uwagę i zadowolające mężczyznę. Ciało kurtyzany?

A może hostessy, jak to określiła Liz?

Nogi, biodra, pośladki i piersi dziwki. Czy po to właśnie się urodziła? Aby sprzedawać samą siebie? Czy przyszłość prostytutki była nie do uniknięcia? Czy jej przeznaczeniem było obciskiwac nocami nieznanymi w hotelowych pokojach?

Liz stwierdziła, że dostrzega zepsucie w oczach Amy. Mama powiedziała to samo. W rozumieniu mamy zepsucie było monstrualne, zła istota, którą należało powstrzymać za wszelką cenę - Liz jednak uważała, że to nic takiego, że nie należy się tego bać, a wręcz przeciwnie, przyjąć to z radością i oddaniem.

Teraz Amy spojrzala na swoje odbicie w lustrze, probujac zajrzec do swojej duszy - ale choc patrzyla z uwaga, nie zdolala dostrzec nic oprócz dwojga ciemnych i dosc ladnych oczu. Nie zauwazyla ani piekielnego zepsucia, ani laski niebieskiej.

Czula sie samotna, sfrustrowana i przeraźliwie wrecz zakłopotana.

Chciala zrozumiec siebie. Bardziej niz czegokolwiek chciala jednak odnalezc dla siebie wlasciwe miejsce w swiecie, tak by nie czula sie spieta, bezradna i zagubiona.

Jesli jej nadzieje na pojście do college'u i zostanie artystka byly niemożliwe do spelnienia, nie chciala marnowac cennych lat walczac o cos, czego nie byla w stanie uzyskac. Przeciez i tak jej zycie bylo ciagla walka.

Dotknela piersi i sutki natychmiast sie wyprezily, dumne i sztywne, wielkosc koniuszkow jej malych palcow. Tak, to byla zla, grzeszna rzecz, jak mowila mama, ale czula sie dzieki temu tak dobrze i slodko...

Gdyby mogla miec pewnosc, ze Bog jej uslucha, ukleklaby i poprosila Go o znak, niezbyt swiety znak, ze jest dobrym lub zlým człowiekiem. Watpila jednak, czy Bog zechce jej wysluchac po tym, co uczynila z dzieckiem.

Mama powiedziala, ze byla zla, ze Cos czyhalo w jej wnetrzu i ze poluzowala cugle temu Czemus. Mama powiedziala, ze Amy ma sklonnosc do zlego. A matka powinna wiedziec takie rzeczy o swojej corce.

Ale czy na pewno?

NA PEWNO?

* * *

Przed pojściem do lozka Joey raz jeszcze przeliczył swoje oszczędności. W zeszłym miesiącu dolozył do sloika kolejne dwa dolary i dziewięćdziesiąt pięć centów. Miał teraz równo trzydziści dwa dolary. Zastanowił się, czy będzie musiał przekupić kogoś z lunaparku, aby pozwolil mu przyłączyć się do załogi, kiedy wesole miasteczko będzie opuszczac Royal City. Stwierdził, że musi miec co najmniej dwadzieścia dolarow na zycie, zanim sam zacznie zarabiac pieniadze, sprzatajac po sloniach i wykonujac inne prace, odpowiednie dla zatrudnionego w wesolym miasteczku dziesięciolatka. Pozostawalo dwanaście dolarow na ewentualna lapowke.

Czy to wystarczy?

Postanowil poprosic ojca o dwa dolary na kino.

Tyle tylko, ze wcale nie pojdzie do "Rialto" na popoludniowy, niedzielny seans. Zajrzy do

Tommy'ego Culpa i będzie się u niego bawił do wieczora, a jeżeli ojciec spyta go, czy był w kinie, powie że tak i dołączy dwa dolary do swego funduszu ucieczkowego.

Postawił skarbonkę na biurku.

Kiedy modlił się przed snem, prosił Boga, aby mama nie wypila tego wieczoru zbyt dużo i nie weszła znowu do jego pokoju.

* * *

Następnego dnia, w niedzielę, Amy zadzwoniła do Liz. - Halo - odezwała się przyjaciółka.

- Tu ciotka cnotka - zameldowała się Amy.

- A, witaj, siostrzyczko.

- Postanowiłam zerwać z celibatem.

- Alleluja!

- W moim zakonie jest zimno i strasznie wieje.

- Chyba nuda - mruknęła Liz.

- Co masz dla mnie, żeby przestała się nudzić?

- Co powiesz o Buzzie Klemmie?

- Nie znam go - odparła Amy.

- Ma osiemnaste lat, niedługo skończy dziewiętnaste. Był od nas dwa lata wyżej...

- O, starszy facet!

- ... ale rzucił szkołę w jedenastej klasie. Pracuje na stacji Arco na rogu Main i Broadwayu.

- Na pewno wiesz, jak podrywać takie typki - stwierdziła sarkastycznie Amy.

- Może faktycznie jego obraz nie wygląda zachęcająco - dodała Liz - ale poczekaj, aż go zobaczysz. To istna góra.

- Góra czego?

- Samych mięśni.

- A umie mówić?

-Całkiem niezłe.

-Potrafi sam wiazać sobie sznurowadła?

-Nie jestem pewna - odparła Liz. - Ale zazwyczaj nosi mokasyny, więc nie będziesz musiała się o to martwić.

-Mam nadzieję, że wiesz co robisz.

-Zaufaj mi - stwierdziła Liz. - Spodoba ci się. Na kiedy mam cię z nim umówić?

-Kiedy chcesz - mruknęła Amy. - Tylko pamiętaj, że ja rano pracuję.

-Jutro wieczorem?

-Świetnie.

-Urządzimy randkę we czworo - ucieszyła się Liz. - Ja, Richie i ty z Buzzem.

-Gdzie pojedziemy?

-Może do mnie? Posłuchamy muzyki, obejrzymy jakiś film na wideo, przypalimy kilka jointów. Mam taką trawę, że nic, tylko jarac. Odłot będzie jak ta lala.

-A co z twoimi rodzicami? - zapytała Amy.

-Wyjeżdżają dziś na dwutygodniowy urlop. Do Nowego Orleanu. Starych nie ma, chata wolna.

-Ufają ci na tyle, że zostawiają samą na całe dwa tygodnie?

-Liczą, że nie spale domu do fundamentów - odparła Liz. - I tylko to się dla nich liczy. Nic więcej ich nie obchodzi. Posłuchaj, mała, ciesze się, że w końcu przejrzałaś na oczy. Obawiałam się, że naci z naszego wspólnego letniego wyjazdu. Zobaczysz, teraz, kiedy znowu jesteś w formie, rozpetamy prawdziwe piekło.

-Nie jestem pewna, czy sobie tego życzę. Chcę się zabawić, umówić się na randkę, ale nie sadzę, żebym miała ochotę się z kims pieprzyć. Mam dość na jakiś czas. Powiedzmy, dopóki nie skończy college'u.

-Tak, tak, na pewno - stwierdziła Liz.

-Ja nie żartuję.

-Narzuć sobie tempo, jakie uważasz za stosowne, nie zamierzam cię do niczego zmuszać. Tak czy inaczej, niezłe się zabawimy, kiedy moich starych nie będzie w mieście.

-A w przyszłym tygodniu rozpoczyna się festyn - rzuciła Amy.

-No właśnie! Mam cholerną ochotę przypalic dobrego skreta, a potem poszaleć na tych odlotowych karuzelach!

-Tak też myślałam.

-A wiesz, jak to jest, kiedy na haju przejeżdżasz przez Tunel Strachu i wszystkie te plastikowe potwory wyskakują na Ciebie z ciemności?

-Nie mam pojęcia - odparła Amy.

-To naprawdę zabawne.

-Nie mogę się tego doczekać - stwierdziła Amy.

10

Janet Middleneir pracowała na państwowej posiadzie jako specjalistka od zabezpieczeń technicznych. Jej zadaniem było pilnować, żeby wszystkie budynki publiczne - sady, remizy, biblioteki, szkoły, biura szeryfa, i wszystkie subsydiowane przez rząd obiekty i stadiony sportowe były zawsze czyste, dobrze oświetlone i bezpieczne, zarówno dla gości jak i dla pracowników. Była odpowiedzialna za inspekcje całości tych budynków, jak również stanu wszelkich znajdujących się w nich urządzeń mechanicznych i nie mechanicznych. Janet zaledwie kilka lat temu skończyła college, pracowała od dwóch lat i nadal była oddana swej pracy tak jak w dniu, kiedy ją zaczynała. Obowiązki traktowała nieomal jak świętość, a słowa "zaufanie publiczne" w dalszym ciągu coś dla niej znaczyły, nawet jeśli dla niektórych ludzi, z którymi pracowała, ich wydźwięk był już odrobinę przebrzmiały. Nie pracowała na tyle długo, by zostać skazana korupcją, związana nieuchronnie z każdym stanowiskiem sadowym. Janet po prostu ZALEZALO. W poniedziałek, dwudziestego trzeciego czerwca, kiedy lunapark przybył do Rockville w Maryland, Janet Middleneir stawiała się w przyczepie, pełniacej również stronę biura Fredericka Fredericksona, srebrnowłosego właściciela i kierownika BAM. Z typową dla siebie rzeczowością i zwięzłością Janet wyjaśniła, iż zamierza dokonać inspekcji całego wesołego miasteczka, dopóki nie upewni się, że wszystkie atrakcje zostały należycie zabezpieczone. Nie zezwoli na otwarcie lunaparku, jeżeli pozostanie choć cień zagrożenia dla zdrowia i życia obywateli jej hrabstwa.

Naginała nieco swoje kompetencje, a może nawet je przekraczała.

Właściwie nie była pewna, czy sprzęt w wesołym miasteczku podlegał pod jej jurysdykcję, choćby nawet znajdował się ono na błoniach będących własnością hrabstwa. Pod tym względem prawo nie było dostatecznie jasne.

Nikt z tutejszego urzędu bezpieczeństwa publicznego nie dokonywał dotychczas inspekcji lunaparku, ale Janet nie chciała przepuścić takiej okazji. Zaledwie przed paroma tygodniami

pewna mloda dziewczyna zginela, kiedy w Wirginii zawalil sie diabelski mlyn, i choc w BAM nigdy nie wydarzyl sie zaden tragiczny wypadek, Janet zamierzala wziac to wesole miasteczko dokladnie pod lupe, zanim udzieli zezwolenia na jego oficjalne otwarcie.

Kiedy wyjasnila panu Fredericksonowi, co zamierza, przez chwile obawiala sie, ze zechce ja splawic, a nie byla pewna, jak by sie zachowala, gdyby zaproponowal jej lapowke. Wiedziala, ze lunaparkowcy mieli swojego czlowieka, ktorego zadaniem bylo przekupywanie urzednikow panstwowych; nazywali go "smarowaczem", bowiem zjawial sie w miasteczku przed przybyciem tam lunaparku i "smarowal" policje oraz kilku wazniejszych oficjeli, wykorzystujac w tym celu zielone wizerunki bardziej znanych prezydentow oraz darmowe bilety dla przyjaciol i rodzin przekupywanych.

Jezeli "smarowacz" nie wypelnil swojego zadania, zwykle do lunaparku przybywala policja i zamykala cale miasteczko, nawet jezeli bylo ono z gruntu uczciwe, a nie nastawione, jak wiekszosc, na wyciagniecie jak najwiekszej sumy pieniedzy z kieszeni odwiedzajacych je frajerow. Nie oplaceni, a co za tym idzie wsciekli gliniarze byli w stanie zamknac na cztery spusty nawet najbardziej pruderyjne show "z dziewczynkami" i z punktu widzenia prawa uznac znajdujace sie w lunaparku karuzele oraz inne atrakcje za niebezpieczne, szybko i skutecznie powalajac cale miasteczko na kolana. Nie chciala, aby ludzie z BAM - u uznali, ze zalezy jej na latwym groszu.

Na szczescie pan Frederickson okazal sie wyksztalconym, elokwentnym, wytwornym dzentelmenem, co bylo dla niej milym rozczarowaniem; wlot pojal wszystko - i podziwial szczerosc intencji, jakie nia kierowaly. Nie zaproponowal jej lapowki. Zapewnil, ze jego ludziom, podobnie jak i jemu, zalezy na bezpieczenstwie i zdrowiu gosci odwiedzajacych miasteczko, po czym wypisal jej zezwolenie, na podstawie ktorego mogla do woli zwiedzac i kontrolowac znajdujace sie na terenie lunaparku urzadzenia. Pelnomocnik Fredericksona, Max Freed, wydal Janet plakietke z literami VIP, aby wszyscy lunaparkowcy sluzyli jej wsparciem i pomoca.

Przez caly ranek i wiekszosc popoludnia, w kasku, z wielka latarka i notatnikiem w rekach Janet krecila sie po terenie przygladajac sie, jak lunapark powstaje niczym feniks z popiolow, kontrolujac zamocowania sworzni, srub i bolcow, wczolgujac sie - gdy bylo to konieczne - w mroczne zakamarki; nie przeoczyla niczego. Okazalo sie, ze Frederickson mowil prawde - pracownicy BAM podczas ustawiania konstrukcji lunaparku wykazywali sie dokladnoscia, pieczolowitoscia i niemal przesadna sumiennoscia.

Kwadrans po trzeciej dotarla do Tunelu Strachu, ktory zdawal sie gotowy na przyjecie gosci godzinie i pietnascie minut przed czasem. Teren wokolo tunelu byl pusty i spokojny. Chciala, aby ktos oprowadzil ja po tunelu, ale nie zauwazyla nikogo kompetentnego i przez chwile zastanawiala sie, czy nie zrezygnowac z inspekcji tego miejsca. Na calym terenie lunaparku nie natrafila na zadne powazniejsze uchybienie i bylo malo prawdopodobne, aby akurat tutaj napotkala razace oznaki lamania przepisow bezpieczenstwa. Prawdopodobnie bedzie to tylko strata czasu.

Ale jednak...

Weszła na podwyższenie, minęła kase i znalazła się w korytarzu, którym przejeżdżały wagoniki. Prowadził on do ogromnych drzwi ze sklejki, pomalowanych tak, by wyglądały jak masywne, obite metalem grube wrota zakazanego, posepnego zamczyska. Gdy się do nich zbliżyła, okazało się, że drzwi są uchylone.

Zajrzała do środka.

Wewnątrz nie było tak ciemno, jak wieczorami, gdy tunel przyjmował dziesiątki gości. Wzdłuż całej długości torów zawieszane były lampy, których szereg zniknął za zakretem pięćdziesiąt stop dalej. W momencie otwarcia tunelu lampy zostały wygaszone. Jednak nawet w ich świetle Tunel Strachu wydawał się mroczny i posepny.

Janet wśliznęła się do środka.

-Halo? - rzuciła w przestrzeń. Nikt jej nie odpowiedział.

-Jest tam ktoś? - spytała. Cisza.

Włączyła latarkę, zawahała się przez chwilę, po czym zrobiła pierwszy krok.

Tunel Strachu śmierdzał wilgocią i smarami.

Uklekła i obejrzała szorstwie łączące dwa odcinki toru. Były należycie zamocowane.

Wstała i poszła w głąb budynku.

Po obu stronach toru, na niewielkich podwyższeniach, w ukrytych w ścianach niszach stały postacie naturalnej wielkości - odrazajacy, wykrzywiony w okrutnym grymasie pirat, dzierzący w dłoni pałasz, wilkołak o szponach pomalowanych fosforyzującą farbą, tak że w ciemności wyglądały jak lśniące ostrza. Pysk i długie kły monstrum pokryte były sztuczną krwią. Uśmiechnięty, zbryzgany posoka psychopata z siekierą w dłoni, stojący nad okaleczonymi zwłokami ostatniej swojej ofiary i wiele, wiele innych, a co jeden to okropniejszy. W tym świetle Janet widziała, że to tylko zgrabnie wykonane manekiny, ale mimo to w ich towarzystwie czuła się nieswojo. Choć wszystkie były teraz nieruchome, wyglądały jakby lada moment miały się na nią rzucić. Z prawdziwą przykrością musiała stwierdzić, że się ich boi. To nie udało jej jednak powstrzymać przed dokonaniem przeglądu szorstwie mocujących przy kilku z nich. Musiała upewnić się, że nie runą na którychś z przejeżdżających wagoników i nie zranią odwiedzających.

Idąc korytarzem i przypatrując się mijanym potworom Janet zastanawiała się, dlaczego ludzie lubili odwiedzać tak posepne miejsca i co ich tu bawiło.

Pokonała pierwszy zakręt i podążając coraz szybciej i dalej w głąb tunelu, nie mogła

nadziwić się bogactwu pomysłów nagromadzonych przy tworzeniu tego miejsca. Na powierzchni wielkości średniego domu towarowego nagromadzono całą rzeszę przerażających istot. Nie podobało jej się tu, ale musiała przyznać, iż tunel był urządzony z prawdziwą maestrią i rzadko spotykana w podobnych miejscach inwencja tworcza.

Znajdowała się dokładnie w centrum ogromnej budowli. Stała właśnie pośrodku torowiska, patrząc na zwisającego z sufitu pajaka wielkości człowieka, kiedy nagle ktoś położył jej rękę na ramieniu. Wstrzymała oddech, drgnęła, odsunęła się o krok i odwróciła gwałtownie, a gdyby głos nie uwiązł jej w gardle, z całą pewnością by krzyknęła.

Na torach za nią stał niewiarygodnie wysoki mężczyzna. Mierzył dobrych sześć i pół stopy, miał ogromne bary, szeroką pierś i ubrany był w stroj Frankensteina: czarny garnitur, czarny dres z golfem, rękawice - imitacje wielkich rak potwora i gumowa maska zakrywająca całą głowę.

-Boi się? - zapytał. Głos miał głęboki i ochryply. Przelknęła ślinę, odetchnęła głęboko i powiedziała:

-Tak, na Boga. Ale mnie pan wystraszył!

-Moja praca - powiedział - Co?

-Straszenie. Moja praca.

-Och, pracuje pan tu, w Tunelu Strachu?

-Moja praca - powtórzył.

Uznała, że musiał być niedorozwinięty. Jego zwieszłe, krótkie stwierdzenia przypominały jej wypowiedzi opóźnionych w rozwoju dzieci.

Usiłując odgrywać przyjazną duszę i w nadziei, że on także zachowa się podobnie, powiedziała:

-Mam na imię Janet. A ty? - Co?

-Jak masz na imię?

-Gunther.

-Ladne.

-Nie lubię.

-Nie lubisz swego imienia?

-Nie.

-A jak chciałbys się nazywać?

-Victor.

-Też ładnie.

-Victor jego ulubiony.

-Czyj?

-Jego.

Nagle stwierdziła, że znalazła się w dziwnej sytuacji: w słabo oświetlonym tunelu, poza zasięgiem wzroku i słuchu wszystkich, którzy mogliby przybyć jej z pomocą, sam na sam z wielkim polgłowkiem, którzy mogliby przelamać ją na dwoje jak kromkę chleba.

Postąpił krok w jej stronę.

Cofnęła się.

Stał.

Ona również się zatrzymała, rozdygotana i w pełni świadoma, że nie zdoła mu uciec. Miał dłuższe nogi i prawdopodobnie znał ten teren lepiej niż ona.

Spod jego maski dał się słyszeć dziwny dźwięk - jakby weseń psa.

-Jestem pracownica państwowa - powiedziała powoli, w nadziei, że ją zrozumie.

-Bardzo ważna pracownica. Gunther milczał.

-Bardzo ważna - powtórzyła nerwowo Janet. Poklepała plakietkę VIP - a otrzymana od Maxa Freeda. - Pan Frederickson powiedział, że mogę bez przeszkód myszkować po całym lunaparku. Wiesz, kim on jest? Znasz pana Fredericksona?

Po prostu stał tam, wielki jak ciężarówka, i wpatrywał się w nią. Twarz miał ukryta pod maską, ręce zwisały luźno wzdłuż boków.

-Pan Frederickson jest właścicielem lunaparku - powiedziała cierpliwie.

-Musisz go znać. Prawdopodobnie jest twoim szefem. Powiedział, że mogę zaglądać wszędzie gdzie zechcę.

Wreszcie Gunther znów się odezwał:

-Czuc kobieta. - Co?

-Czuc kobieta. Dobrze pachniec. Ladna.

-O, nie - powiedziala i zaczela sie pocic.

-Chciec ladna.

-Nie, nie - powiedziala. - Nie, Gunther. To nie bylyby w porzadku. Wpakowalbys sie w niezle tarapaty.

Znowu zaczal weszyc. Maska wyraznie mu w tym przeszkadzala, nie mogl uchwycic jej zapachu, totez zdjal maske potwora Frankensteina, ukazujac swoje prawdziwe oblicze.

Kiedy Janet ujrzala, co bylo ukryte pod maska, cofnela sie chwiejnie o kilka krokow i krzyknela przeciagle.

Nim jednak ktokolwiek zdolal uslyszec jej krzyk, Gunther rzucil sie na nia i uciszyl jednym ciosem wielkiej reki.

Upadla.

A Gunther runal na nia calym ciezarem.

* * *

Na pietnascie minut przed otwarciem wesolego miasteczka Conrad dokonywal zwykle ostatniego przegladu Tunelu Strachu. Przemierzal cala dlugosc torowiska, aby upewnic sie, ze wszystkie zlacza byly налеzytcie zamontowane, a na szynach nie pozostawiono zadnych narzedzi ani desek, ktore moglyby spowodowac wykolejenie wagonikow. W sali Pajakow Gigantow natknal sie na martwa kobieta. Lezala na torach, pod jedna z ogromnych tarantul, na stercie zerwanych z niej, zakrwawionych ubran - naga, pobita, zmasakrowana. Oderwana glowa spoczywala, twarza do gory, o trzy stopy od ciala.

W pierwszej chwili pomyslal, ze Gunther zabil jakas kobieta z lunaparku. Bylaby to najgorsza rzecz, jaka mogla sie przydarzyc. Cial ludzi z zewnatrz mozna bylo pozbyc sie w taki sposob, aby nie zwrocic uwagi policji na BAM i jego zaloge. Gdyby jednak zginial ktos z obslugi miasteczka, gliniarze weszliby na teren lunaparku i przedej czy pozniej zainteresowaliby sie Guntherem. Lunaparkowcy zaakceptowali chlopca, tak jak wszystkie dziwolagi, poniewaz nie wiedzieli o jego niepohamowanej zadzy gwaltu i zabijania, o jego pragnieniu krwi. Nie zawsze byl tak gwałtowny. Lunaparkowcy nie zdawali sobie sprawy, jaki stal sie niebezpieczny w ciagu ostatnich trzech lat, kiedy zaczal odczuwac wplyw popedu plciowego. Nikt nie zwracal uwagi na Gunthera, byl wsrod nich cieniem, ledwie dostrzegalna obecnościa. Gdyby jednak zginela ktoras z tutejszych kobiet, ktos moglby zechciec przyrzec sie uwazniej Guntherowi, a wowczas w zaden sposob nie udaloby sie

ukryc prawdy.

Kiedy troche ochlonal, Conrad stwierdzil, ze martwa kobieta nie nalezala do ich personelu. Nigdy dotad jej nie widzial. A wiec nadal mial szanse uratowac Gunthera i siebie.

Wiedzac, ze nie ma wiele czasu na ukrycie dowodu zbrodni, Conrad obszedl zakrwawione szczatki i pospieszyl w strone drugiego konca sali Pajakow Gigantow. Zanim dotarl do nastepnego zakretu, wyszedl z korytarza dla wagonikow i wdrapal sie na podwyzszenie, gdzie zastygli w smiertelnym pojedynku mezczyzna i pajak wielkosci czlowieka. Teraz, gdy w tunelu nie bylo zwiedzajacych, postacie nie ruszaly sie. Czlowiek i tarantula stali przed sterta glazow z papier - mache. Conrad obszedl sztuczne kamienie i uklakl.

Nie docieralo tu swiatlo z podwieszonych pod sufitem tunelu lamp.

Wysunal dlon przed siebie i wymacal szorstka podloge z desek.

Po paru sekundach odnalazl metalowy pierścien, ktorego szukal. Pokrecil go i uniosl klape jednego z szesciu rozmieszczonych w Tunelu Strachu wejsc do pomieszczen sluzbowych.

Wsunal sie do otworu tylem i na brzuchu, wymacujac stopami szczeble drabinki. Zszedl w atramentowa ciemnosc. Kiedy jego glowa znalazla sie ponizej poziomu podlogi tunelu, stopami dotknal drewnianej podlogi piwnicy odsunal sie od drabinki i wyprostowal.

Siegnal reka w mrok po prawej stronie, namacal lancuszek do zapalania swiatla i pociagnal. Zapalilo sie dwa tuziny zarowek, ale mimo to piwnica nadal wydawala sie mroczna, Znajdowal sie w nisko sklepionym pomieszczeniu, pelnym przeroznych maszyn, kol zebatych, kabli, pasow i lancuchow transmisyjnych, blokow i innych dziwnych urzadzen skladajacych sie na mechaniczne trzewia Tunelu Strachu.

Odwracajac sie od drabinki Conrad wsliznal sie pomiedzy dwie maszyny i wszedl w waski przesmyk biegnacy wzdluz rzadow dlugich kabli, naciagnietych na kilkanascie wielkich, metalowych kol. Pospieszyl do zakatka z warszatem stolarskim, metalowymi szafkami uginajacymi sie pod stertami zapasowych czesci, stosem brezentowych placht i paroma kombinezonami roboczymi. Szybko zdjal marynarkę, sciagnal spodnie i wlozyl kombinezon. Nie chcial tlumaczyc sie Duchowi z krwi na ubraniu.

Wzial zlozony brezent i szybkim krokiem wrocil do drabinki.

Znalazszy sie ponownie na gorze, w tunelu, wrocil do lezacej na torach martwej kobiety.

Spojrzal na zegarek. Otwarcie zaplanowano na szesnasta trzydziesci, i jak wskazywal zegarek, bylo punktualnie wpol do piatej. Wlasnie w tej chwili otwierano brame lunaparku i do srodka wchodzily grupki odwiedzajacych. W przeciagu dziesieciu minut pierwsi z nich zacznal kupowac bilety do Tunelu Strachu.

Duch nie uruchomi maszynerii, dopoki nie uzyska ostatecznego raportu o stanie torowiska. Musi zastanowić się, dlaczego zajmuje to Conradowi tyle czasu. Za dwie, trzy minuty zacznie go szukać.

Conrad rozłożył brezent w korytarzu dla wagoników. Unosił wciąż jeszcze ciepłe zwłoki i ułożył na płotnie. Następnie, schwyciwszy za długie włosy, podniósł oderwaną głowę kobiety - usta miała otwarte szeroko, oczy wybaluszone - i również położył na brezencie. Przykrył ją sterta podartych ubrań, a potem dołożył jeszcze latarkę, mały notes i kask. Co to za kobieta, żeby chodzić w kasku? Co ona robiła w tunelu? Zaczął rozglądać się za torebką. Kobieta powinna mieć przy sobie torebkę... szukał wokół, ale nie znalazł.

Wreszcie dysząc z wysiłku ściągnął razem konce brezentu, szarpnął i wypchnął na platformę, na której człowiek i tarantula toczyły śmiertelny bój.

Następnie sam podciągnął się na podwyższenie i w tej samej chwili usłyszał czyjś wołanie:

-Conradzie?

Z drżącym sercem Conrad obejrzał się za siebie, w głąb mrocznego tunelu.

To był Duch. Albinos stał pięćdziesiąt stop dalej, na drugim końcu prostego odcinka torowiska, przy wejściu do sali Pająków Gigantów. Z tej odległości był jedynie błądą postacią. Conrad nie mógł w półmroku dostrzec twarzy albinosa. A skoro ją słabo go widział, to i on nie lepiej widzi mnie, skonstatował z ulgą. Nie widzi plachty, a gdyby nawet, nie może wiedzieć, co jest w środku.

-Conradzie?

-Tu jestem.

-Coś się stało?

-Nie, nie. Nic.

-Brama otwarta. Za parę minut zjawia się tu tłumy klientów.

Conrad przykucnął przy podłużnym pakunku, zasłaniając go własnym ciałem.

-Na torze były jakieś rzeczy. Śmieci. Ale już wszystko w porządku. Zająłem się nimi.

-Potrzebujesz pomocy? - spytał Duch ruszając w jego stronę.

-Nie, nie, nie. Wszystko mam pod kontrolą. Lepiej uruchom sprzęt i wyjdź na zewnątrz do kasy. Zaczynaj sprzedawać bilety. Zaraz możemy ruszać z tym koksem.

-Jesteś pewien?

-Oczywiście, że tak! - uciał Conrad. - Rusz się. Dołącz do ciebie za parę minut.

Duch wahal się przez chwilę, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł z sali.

Kiedy tylko albinos znikł mu z oczu, Conrad zaciągnął brezentowy pakunek za jeden z okien z papier - mache. Miał pewne kłopoty z przecisnięciem ponurego zawiniątka przez klapy w podłodze.

Wychylił się wraz ze swym brzemieniem do przodu, opuścił je tak daleko, jak tylko był w stanie, prostując sztywno obie ręce, po czym wypuścił konce brezentowej plachty.

Trup wylądował u stóp drabiny. Plachta rozchyliła się i upiorna oderwana głowa lypnęła w jego kierunku. Jej usta zastygły w ostatnim niemym okrzyku.

Conrad ponownie zszedł po drabinie. Zamknął za sobą klapy, zgarnął konce brezentu i zaciągnął zwłoki do mało uczeszczonego pomieszczenia konserwacyjnego w narożniku piwnicy.

Powietrze wypełniło się nagle osobliwą muzyką, płynącą z tasiemy. To Duch przygotowywał tunel do przyjęcia pierwszych miłośników mocnych wrażeń.

Krzywiąc się, Conrad po kolei sprawdzał kolejne elementy przesiakniętego krwią ubrania kobiety. Przejrzał kieszenie jej dżinsów, bluzki i kurtki, szukając czegoś, co mogłoby pomóc w zidentyfikowaniu zabitej.

Natychmiast odnalazł kluczyki od jej samochodu. Do kolka przyczepiony był breloczek w kształcie tablicy rejestracyjnej, jeden z tych, które sprzedają organizacje weteranów. Wybite numery były z pewnością prawdziwymi numerami jej samochodu.

Zanim jeszcze skończył przetrzaszać jej rzeczy, natknął się na plaketkę BAM - u przypiętą do jej bluzki. To odkrycie zupełnie nim wstrząsnęło. Jeśli była jakas szczycha, sekretu Gunthera nie da się już długo utrzymać w tajemnicy.

Dopiero w ostatniej kieszeni Conrad odnalazł to, czego szukał. Była to laminowana legitymacja stwierdzająca, iż kobieta nazywa się Janet Leigh Middleneir i pracuje dla urzędu bezpieczeństwa publicznego. Była inżynierem technikiem do spraw zabezpieczeń (cokolwiek to oznaczało), akredytowanym przez stan Maryland. Pracownica państwowa, kiepska sprawa. Ale nie tak kiepska, jak się tego obawiał. Przynajmniej nie była siostrą ani kuzynką kogoś z lunaparkowców. Nie miała tu przyjaciół ani krewnych, nikogo, kto by jej szukał. Najwyraźniej zjawiała się w miasteczku z powodów czysto zawodowych, aby dokonać inspekcji zabezpieczeń. Nikt nie powinien zauważyć, że zniknęła, bowiem nikt nie zwracał na nią szczególnej uwagi. Istniało spore prawdopodobieństwo, że Conrad zdoła wywieźć zwłoki poza teren lunaparku i upozorować śmierć kobiety w taki sposób, żeby policja nie domyśliła się, że zginęła podczas pełnienia obowiązków służbowych.

Jednak do zmroku był kompletnie uziemiony; ba, nawet wówczas będzie to nader ryzykowne zadanie. Teraz musiał wyjść na platformę i zająć się pracą, zanim Duch się zaniepokoi, co się z nim stało i znowu zacznie go szukać.

Conrad wyjął z jednej z szuflad zwoj sznura i przeplotł linę przez otwory w brzegach brezentowej płachty. Następnie ściągnął linę jak sznurowadło i związał wokół jednego końca powstałego w ten sposób worka. Brezentowy worek z martwą kobietą i jej rzeczami w środku upchnął w rogu pomieszczenia. Zdjął zakrwawiony kombinezon i cisnął go na worek. Rece też miał zakrwawione, toteż najlepiej jak mógł wytarł je w szmaty, leżące na blacie warsztatu stolarskiego. Szmaty rzucił na kombinezon. Na koniec przykrył wszystkie dowody zbrodni drugą płachtą brezentu, tak że mogło się wydawać, iż w kacie pokoju leży stos pomiętych szmat. Nikt nie znajdzie trupa, a przynajmniej nie w ciągu kilku godzin, kiedy zwłoki będą leżały w tym pomieszczeniu.

Conrad przebrał się we własne ubranie i tylnym wyjściem opuścił Tunel Strachu. Otworzywszy drzwi wyszedł na skąpany ciepłym słonecznym światłem plac za budynkiem.

Udał się do najbliższej toalety. Ponieważ brama otwarto zaledwie kilka minut temu, nie było tu jeszcze nikogo. Conrad starannie umył dłonie, dopóki nie stały się czyste jak ręce chirurga.

Wrócił do Tunelu Strachu od frontu. Z gigantycznej maski klauna płynęły kaskady śmiechu.

Elton, jeden z pracowników Conrada, sprzedawał bilety. Duch stał przy wagonikach. Gunther, w kostiumie Frankensteina, warczał entuzjastycznie do pierwszych gości - nagle dostrzegł Conrada i ich spojrzenia spotkały się. Trwało to tylko chwile i choć znajdowali się zbyt daleko, by móc widzieć nawzajem swoje oczy, zrozumieli się bezbłędnie.

ZNOWU TO ZROBILEM. WIEM, ZNALAZLEM JA. I CO TERAZ? OCHRONIE CIE.

* * *

Az do wieczora Conrad pracował na platformie naganiacza, przyciągając klientów i mamiąc ich gładkimi słówkami. Po zapadnięciu zmierzchu zaczął skarżyć się na ból głowy i powiedział Duchowi, że idzie do swojego domu na kolkach, aby się położyć. Zamiast tego udał się na olbrzymi parking przylegający do terenów, na których rozlokował się lunapark, i zaczął szukać wozu Janet Middleneir. Miał numery na breloczku z miniaturową tablicą rejestracyjną, ale było tam tyle samochodów, że znalezienie jej dodge'a omni zajęło prawie pół godziny.

Wyjechał z parkingu brama służbowa, zdając sobie sprawę, że pozostawia w pamięci ludzi potencjalny ślad dowodowy, ale nic nie mógł na to poradzić. Zatrzymał wóz w ciemnościach na tyłach Tunelu Strachu. O tej porze nie było tam żywego ducha. Miał nadzieję, że nie natknie się na kogoś spieszącego do ubikacji.

Wszedł do piwnicy tunelu tylnym wejściem i wyciągnął plachtę z trupem w środku. Z mrocznego tunelu powyżej dochodziły krzyki straszonych przez mechaniczne potwory nastolatków. Włożył upiorne zawiniatko do bagażnika omni i opuścił teren wesołego miasteczka.

Choć nigdy dotąd nie był równie zuchwały, stwierdził, że najlepszym miejscem na pozostawienie zwłok kobiety będzie jej własne mieszkanie. Gdyby policja uznała, że została zamordowana we własnym domu przez jakiegoś intruza, z pewnością nie powiazałyby śmierci z wesołym miasteczkiem. Byłby to po prostu jeszcze jeden z licznych aktów bezsensownej przemocy, z którymi gliny mają stale do czynienia.

Dwie mile za miasteczkiem, na parkingu przy supermarkecie spenetrował samochód usiłując znaleźć coś, dzięki czemu dowiedziałby się, gdzie mieszkała Janet Middleneir. Pod przednim siedzeniem odnalazł jej torebkę. Zostawiła ją tam widac, zanim udała się na inspekcje urządzeń lunaparku. Przejrzał zawartość i znalazł jej adres na prawie jazdy.

Z pomocą mapy kupionej na stacji Exxon Conrad zdołał odnaleźć miła dzielnicę, w której mieszkała kobieta. Było to osiedle długich jedno- i dwupiętrowych budynków w stylu kolonialnym, przy których znajdowały się parkingi. Mieszkanie Janet Middleneir mieściło się na parterze, w narożnej części jednego z budynków, na tyłach zaś, niecałe piętnaście stop od tylnego wejścia, rozciągał się pusty parking.

W apartamencie było ciemno. Conrad miał nadzieję, że kobieta mieszkała sama. Nie odnalazł niczego, co wskazywałoby, iż była mezatka. Nie miała obrączki, a na dokumentach w jej torebce nie było wpisu "Mrs". Oczywiście mogła mieszkać z przyjaciółką albo z chłopcem. To oznaczałoby kłopoty. Conrad był gotów zabić każdego, kto stanąłby na jego drodze podczas pozbywania się przezeń zwłok.

Wysiadł z samochodu, pozostawiając zwłoki w bagażniku i wszedł do mieszkania. Rzut oka do szafy w sypialni upewnił go, że Janet Middleneir mieszkała sama.

Stał przez chwilę przy kuchennym oknie i patrzył, jak na parking wjeżdża samochód. Wysiadło z niego dwoje ludzi i weszło do sąsiedniego mieszkania.

W tym samym czasie z innego lokalu wyszedł jakiś mężczyzna, wsiadł do volkswagena rabbita i odjechał. Kiedy znowu zapanował spokój, Conrad zszedł do omni, wyjął z bagażnika brezentowe brzemie i wniósł do środka, mając w duchu nadzieję, że nikt nie przyglądał mu się przez okno.

Wniósł pakunek do niewielkiej łazienki i tam rozwinał sznury. Ostrożnie, aby się nie ubrudzić, rozchylił brzegi brezentu i wrzucił zawartość do wanny. W rozdartej jamie brzusznej zostało jeszcze sporo krwi, toteż skrzetnie rozsmarował ją na ścianach i podłodze.

Przemysłowość jego planu napawała go makabryczną dumą. Gdyby zostawił martwą kobietę w sypialni, patologowie natychmiast zorientowałiby się, że nie została zabita w domu,

bowiem na dywanie byłoby zbyt mało krwi potwierdzającej te teorie (większość jej krwi pozostała w Tunelu Strachu, na torach i deskach pod szynami). Kiedy jednak gliny znalazła ją tutaj, w łazience, może dojdą do wniosku, że krew po prostu spłynęła do kanału ściekowego wanny.

Conrad przypominał sobie o plakietce VIP - a na jej bluzce. Wyjął ją z wanny i włożył do kieszeni marynarki.

Zabrał również poplamioną krwią kask, latarkę oraz notes. Umył te rzeczy w umywalce, po czym zaniósł do szafy w przedpokoju i położył na szafce nad wieszakami. Nie wiedział, czy tam je zwykle trzymała, ale policja również nie mogła tego wiedzieć, a miejsce wydawało się najbardziej odpowiednie.

Złożył pusty brezent.

W kuchni, w ostrym blasku świetlówek uważnie przyjrzał się własnym dłoniom. Umył je w łazience, ale wciąż jeszcze miał pod paznokciami ślady zaschłej krwi. Podeszedł do kuchennego zlewu i ponownie umył ręce, tym razem dużo energiczniej.

Znalazł szufladę, w której zmarła kobieta trzymała ręczniki. Owinał jednym z nich prawą rękę, a drugim ujął w lewą i podeszedł do kuchennych drzwi. Otworzył drzwi, pośrodku których widniały trzy ozdobne szybki. Wyrzucił na parking - w jaskrawym świetle sodowych lamp nie zauważył żywej duszy. Przyłożył złożony ręcznik do szybki w drzwiach od wewnątrz, a od zewnątrz uderzył w nią prawą ręką, starając się czynić możliwie jak najmniej hałasu. Szkło pękło z cichym trzaskiem, po czym Conrad używając złożonego ręcznika rozrzucił odłamki szkła na kuchennej podłodze po przeciwnej stronie, tak by wyglądało, że zbrojca podczas włamania sforsował drzwi od zewnątrz. Teraz delikatnie zamknął drzwi, wytrząsnął oba ręczniki, aby na tkaninie nie zostały odłamki szkła, złożył je i włożył do szuflady, z której wyjął. Nagle uswiadomił sobie, że na odłamkach szkła mogły zostać nitki materiału. Spojrzał na Isniace drobiny. Nie miał czasu przyjrzeć się każdemu kawalkowi z osobna. Nie miał również czasu, by z lupą spenetrować wewnątrz bagażnika, i sprawdzić, czy nie zostały tam ślady krwi. To był minus jego planu.

Nie pozostało mu nic innego, jak wierzyć, że mroczny bog, który nim kierował, będzie go strzegł równie pieczołowicie jak dotychczas.

Zostawił kluczyki od samochodu Janet Middleneir na kuchennym stole i zabrał złożony brezent. Wychodząc z mieszkania, dokładnie wytarł klamkę chusteczką. Nie był notowany, jego odcisków palców nie mieli w policyjnej kartotece, jednak ostrożności nigdy za wiele.

Opuszczał osiedle na piechotę. Lunapark znajdował się o trzy mile na zachód stamtąd, ale nie zamierzał przebyć tej drogi pieszo. Postanowił, że wróci do wesołego miasteczka taryfą, ale nie chciał wzywać taksówki zbyt blisko mieszkania Middleneir. Taksówkarz na pewno zarejestruje wyjazd i mógłby nawet zapamiętać jego twarz.

O mile od mieszkania kobiety pozbył się brezentu, wrzucając go do śmietnika na tyłach jednego z mijanych domów. Po przejściu kolejnej mili dotarł do hotelu Holiday Inn. Zajrzał do hotelowego baru, wypił dwie podwójne szkockie i zamówił taksówkę.

W samochodzie ponownie przemyślał uważnie wszystkie czynności, jakie wykonał od chwili, kiedy znalazł zwłoki kobiety na szynach w Tunelu Strachu i stwierdził, że nie popełnił żadnych poważniejszych błędów. Chyba dobrze zatuszował to morderstwo. Gunther - przynajmniej jeszcze przez jakiś czas - będzie cieszył się wolnością.

Conrad nie mógł im pozwolić, by odebrali mu Gunthera. Gunther był jego synem, jego szczególnym dzieckiem, krwią z jego krwi. Ale to nie wszystko - Gunther był darem piekieł, był narzędziem zemsty Conrada. Kiedy Conrad odnajdzie wreszcie dzieci Ellen, porwie je, zabierze w jakieś ustronne miejsce, gdzie nie będzie słychać ich krzyków, i przekaze je Guntherowi. Nakłoni Gunthera, aby zabawił się z nimi w kotka i myszki. Nakaze mu, by torturował je przez kilka dni i niezależnie od tego, czy będą to chłopcy, czy dziewczynki - bezwzględnie wykorzystywał seksualnie, aż w końcu pozwoli mu rozerwać je na strzepy.

Siedząc w półmroku na tylnym siedzeniu taksówki Conrad uśmiechał się. Ostatnimi czasy rzadko się uśmiechał. Nie cieszyło go to samo co innych ludzi; jedynie śmierć, zniszczenie, okrucieństwo i potępienie - mroczne dzieło Władcy Ciemności, któremu oddawał cześć - były w stanie wywołać uśmiech na jego ustach. Od dwunastego roku życia nie potrafił cieszyć się ani czerpać satysfakcji z prostych, niewinnych przyjemności.

Nie potrafił od TAMTEJ nocy.

Od Wigilii.

Przed czterdziestu laty.

Na święta rodzina Strakerów zawsze dekorowała cały dom, od piwnic aż po dach. Choinka musiała sięgać pod sufit. W każdym pokoju zawieszono były stroiki z bombkami, orzechami i świeczkami, lancuchy i rozmaite cacuszki, kartki świąteczne od przyjaciół i krewnych.

W roku, kiedy Conrad skończył dwanaście lat, jego matka do ogromnej kolekcji dekoracji świątecznych dołączyła nowy przedmiot. Była to szklana lampa naftowa, której ścianki odbijały i wielokrotnie migoczący wewnątrz płomyk tak, że wydawało się, jakby ich było sto, a blask oszalał patrzącego.

Młody Conrad był zafascynowany lampą, ale nie wolno mu było jej dotykać, bowiem mógłby się poparzyć. Wiedział, że potrafi się z nią obchodzić tak, by nie zrobić sobie nic złego, ale nie potrafił przekonać o tym matki. Dlatego też, gdy wszyscy spali, zszedł cichaczem na parter, zapalił zapalniczkę, przypalił knot - i niechcący przewrócił lampę.

Z początku był pewien, że zdoła ugasić ogień poduszką ściągniętą z sofy, jednak po chwili, kiedy uświadomił sobie, że się pomylił, było już za późno.

Tylko on zdołał ująć nietknięty z pożogi. Jego matka zginęła w ogniu, jego trzy siostry splonęły żywcem, dwaj bracia również się spalili. Tato nie umarł, ale do końca życia pozostały mu na ciele blizny po pożarze - odrazajające ślady, znaczące klatkę piersiową, lewe ramię, szyję i lewą stronę twarzy.

Utrata rodziny pozostawiła u taty okropne rany psychiczne, równie głębokie i dojmujące jak te fizyczne.

Nie był w stanie pogodzić się z myślą, że Bog, w którego tak zarliwie wierzył, mógł pozwolić, by tak straszliwa tragedia dotknęła jego rodzinę akurat w noc wigilijna. Nie chciał uwierzyć, że był to wypadek. Wbił sobie do głowy, że Conrad był zły i celowo dokonał podpalenia.

Od tego dnia aż do ucieczki z domu w kilka lat później życie Conrada stało się piekłem. Tato stale go oskarżał i czynił mu wyrzuty.

Nie wolno mu było zapomnieć o tym, co uczynił. Ojciec przypominał mu o tym sto razy dziennie. Conrad dorastał w atmosferze poczucia winy i nienawiści do samego siebie.

Nigdy nie zdołał umknąć przed tym wstydem. To wracało do niego każdej nocy, w snach, nawet teraz, kiedy miał już pięćdziesiąt dwa lata. Jego koszmary wypełnione były ogniem, przeraźliwymi krzykami i zdeformowanymi bliznami twarzy ojca.

Kiedy Ellen zaszła w ciążę, Conrad był pewien, że Bog w końcu dał mu szansę uwolnienia się od potwornego brzemienia. Opiekując się rodziną i wychowując dzieci, prowadząc cudowne życie wypełnione miłością i szczęściem, może mógłby odpokutować za śmierć swojej matki, sióstr i braci. Z miesiąca na miesiąc, gdy ciąża Ellen stawała się coraz bardziej widoczna, Conrad umacniał się w przekonaniu, że to dziecko będzie początkiem jego zbawienia.

I wtedy urodził się Victor. Początkowo Conrad sądził, że Bog raz jeszcze postanowił go ukarać. Zamiast dać mu szansę na odpokutowanie za grzechy, najwyraźniej zamierzał go w nich pograć dając mu zgola niedwuznacznie do zrozumienia, że nie może oczekiwać łaski ani pocieszenia duchowego.

Kiedy minął pierwszy szok, Conrad zaczął postrzegać swego syna potworka w innym świetle. Victor nie pochodził z nieba. Przybył z piekła. Dziecko nie było karą zesłaną przez Boga, ale błogosławieństwem Szatana. Bog odwrócił się od Conrada Strakera, ale Szatan w geście przyjaźni obdarzył go swym dzieckiem.

Dla normalnego człowieka takie rozumowanie mogło wydać się absurdalne, ale dla Conrada, który rozpaczliwie usiłował uwolnić się od wstydu i poczucia winy, było jak najbardziej do przyjęcia.

Skoro bramy niebios były dlań bezpowrotnie zamknięte, również dobrze mógł pogodzić się z

losem i wybrac piekło z gorliwością i umiłowaniem fanatycznego neofity. Był gotów pogodzić się ze swoim losem. Pragnął gdzieś przynależec, mieć własne miejsce, choćby nawet miejscem tym miało być piekło. Jeżeli Bóg światłości i piękna nie da mu rozgrzeszenia, osiągnie przebaczenie ze strony Boga zła i ciemności.

Przeczytał tuziny książek na temat satanizmu i niebawem stwierdził, że piekło wcale nie wyglądało tak, jak wyobrażali je sobie chrześcijanie. Satanisci twierdzili, iż w piekle grzesznicy byli nagradzani za wszystkie popełnione za życia grzechy. Piekło było wymarzonym miejscem, w którym wszyscy pragneli się znaleźć.

Najważniejsze było jednak to, że w piekle nie istniało poczucie winy.

Ani wstyd.

Kiedy tylko Conrad zaakceptował Szatana jako swego zbawiciela, zrozumiał, że podjął właściwą decyzję.

Nocne koszmary o ogniu i bólu nie ustaly, aczkolwiek Conrad zdołał wreszcie odnaleźć w swym życiu spokój i zadowolenie, dużo głębsze aniżeli kiedykolwiek przed owym tragicznym wieczorem wigilijnym. Po raz pierwszy, odkąd pamiętał, jego życie nabrało sensu. Znalazł się na ziemi, by wypełnić dzieło Szatana, a jeśli Diabeł mógł obdarzyć go szacunkiem dla samego siebie, gotów był długo i zmuśnię pracować dla chwały Antychrysta.

Kiedy Ellen zabiła Victora, Conrad zrozumiał, że zrobiła to dla Boga i wpadł we wściekłość. Miał brakować, a byłby ją zabił. Zdał sobie jednak sprawę, że za zamordowanie jej trafiłby do więzienia albo nawet został stracony, a zatem nie wypełniłby zadania, jakie wyznaczył mu sam Szatan.

Przyszło mu na myśl, że gdyby ponownie się ożenił, Szatan mógłby dać mu drugi znak w postaci jeszcze jednego demonicznego dziecka, które dorastałoby, aby zmienić się w żywą plagę.

Conrad poślubił Zena, która w jakimś czasie później urodziła mu Gunthera. Była diabelska Maryja, ale nie zdawała sobie z tego sprawy. Conrad nigdy jej tego nie powiedział. Skądinąd Conrad uważał siebie za szatanskiego Józefa, ojca i opiekuna Antychrysta. Zena sądziła, że dziecko było zwykłym dziwakiem i choć nie czuła wobec niego szczególnej bliskości, zaakceptowała je, tak jak lunaparkowcy akceptują wszystkich odmienców.

Ale Gunther nie był zwykłym dziwakiem.

Był czymś więcej. Dużo, dużo więcej.

Był świętoscia.

Był apostołem. Mrocznym apostołem.

Kiedy taksowka mknęła w kierunku lunaparku, Conrad patrzył na ciche podmiejskie domki i zastanawiał się, czy którykolwiek z mieszkających w nich ludzi zdawał sobie sprawę, iż przyszło mu żyć w ostatnich dniach Boskiego Świata. Zastanawiał się, czy choć jeden z nich wyczuwał obecność na ziemi Syna Szatana i to, że Dziecie Mroku niedawno osiągnęło brutalny wiek dojrzałości.

Gunther rozpoczynał dopiero swoje rządy terroru. Nastanie tysiąc lat ciemności.

O tak, Gunther był czymś więcej niż zwykłym dziwolągiem. Gdyby był tylko zdeformowanym mutantem, oznaczałoby to, że Conrad mylił się we wszystkim, co czynił przez ostatnie dwadzieścia pięć lat.

Ale nie tylko. Oprócz tego, że Conrad się mylił, znaczyłoby to również, że Gunther jest niebezpiecznym, zadnym krwi szalencem. A zatem Gunther musiał być czymś więcej niż dziwolągiem. Był owa mityczna, mroczna bestia sunaca leniwie w kierunku Betlejem.

Gunther był zagładą świata.

Gunther był heroldem nowej Mrocznej Ery.

Gunther był Antychrystem.

MUSIAŁ nim być. Dla dobra Conrada, po prostu MUSIAŁ nim być.

11

Dla Joeya tydzień poprzedzający festyn straszliwie się wlokł. Chłopiec nie mógł się już doczekać dołączenia do załogi lunaparku i opuszczenia raz na zawsze Royal City, ale wydawało mu się, że zanim zdąży uciec, matka zamorduje go w jego własnym łóżku. Nikt nie był mu w stanie pomóc i przyspieszyć upływ czasu. Matki rzecz jasna unikał. Tato był jak zawsze zajęty prawniczymi problemami i budowa modeli kolejki. Tommy Culp, najlepszy kolega Joeya ze szkoły, wyjechał wraz z rodziną na wakacje.

Nawet Amy widywał ostatnimi czasy bardzo rzadko. Codziennie oprócz niedziel pracowała w "Dive". W ubiegłym tygodniu zaś co wieczór umawiała się z jakimś facetem imieniem Buzz.

Joey nie wiedział, jak miał Buzz na nazwisko. Być może "Saw"

Joey nie wybierał się do lunaparku przed sobotą, ostatnim dniem festynu, bo dzięki temu nikt nie zorientowałby się, dokąd uciekł, zanim wesole miasteczko nie znalazłoby się w innym stanie. Jednak już w poniedziałek trzydziestego czerwca był tak podekscytowany, że po prostu nie mógł wytrzymać. Powiedział matce, że wybiera się do biblioteki, ale wsiadł na rower i przepedałował dwie mile dzielące go od terenów wesołego miasteczka.

W dalszym ciągu zamierzał uciec z domu dopiero w sobotę. Poniedziałek był jednak dniem, gdy w lunaparku przygotowywano wszystkie atrakcje, a Joey stwierdził, że skoro ma dołączyć do pracowników wesołego miasteczka, powinien wiedzieć wszystko o tym, co się tu robi.

Przez dwie godziny krecił się po lunaparku, nie wchodząc nikomu w drogę, lecz uważnie przyglądając się wszystkiemu, zafascynowany szybkością, z jaką Diabelski Młyn i inne karuzele przybierały swój kształt. Kilku lunaparkowców, potężnych, mocno umięśnionych mężczyzn o ramionach pokrytych tatużami, posłało w jego kierunku parę zarcików, na które odpowiedział dowcipnie. Wszyscy, których spotykał, wydawali mu się fajnymi facetami.

Kiedy dotarł do miejsca, gdzie stawiano Tunel Strachu, pracownicy montowali właśnie na jego szczycie olbrzymią głowę klauna. Jeden z robotników nosił maskę Frankensteina i na jej widok Joey zachichotał. Drugi był albinosem. Spojrzał na Joeya mierząc go bezbarwnymi, wodnistymi oczyma, zimnymi jak oko samej zimy.

Te oczy były pierwszą rzeczą w całym wesołym miasteczku, która nie przypadła Joeyowi do gustu. Wydawały się patrzeć na wskrosz niego i mimowolnie przypominał sobie starą historię o kobiecie, której spojrzenie obracało ludzi w kamień.

Wzdrygnął się, odwrócił od albinosa i pomaszerował w stronę centrum lunaparku, gdzie stawiano Osmiornice, jedną z jego ulubionych karuzeli. Zdążył zrobić zaledwie kilka kroków, kiedy ktoś go zawołał.

-Hej, ty!

Szedł dalej, chociaż wiedział, że okrzyk był skierowany do niego.

-Hej, chłopcze! Zaczekaj chwilę!

Z westchnieniem, oczekując, że zostanie wyrzucony za bramę, Joey odwrócił się i ujrzał mężczyznę zeskakującego z platformy przy Tunelu Strachu. Nieznajomy był wysoki i szczupły, jakieś dziesięć lat młodszy od ojca Joeya. Włosy miał kruczoczarne z wyjątkiem zupełnie siwych pasemek na skroniach. Jego oczy były tak jasnoniebieskie, że Joeyowi skojarzyły się z płomieniem kuchenki gazowej u niego w domu.

Mężczyzna podszedł bliżej.

-Nie jesteś z wesołego miasteczka, co?

-Nie - odrzekł ponuro Joey. - Ale nikomu nie wchodzę w drogę. Naprawdę. Któregoś dnia... być może... chciałbym pracować w lunaparku. Po prostu miałem ochotę zobaczyć, jak to wszystko jest urządzone. Może pozwoliliby mi pan tu zostać, żebym mógł sobie jeszcze trochę popatrzeć?

-Ejze, ejze - rzekł nieznajomy. Stanął przed chłopcem i pochylił się. - Myślisz, że chce cię wyrzucić?

-A nie chce pan?

-Na Boga, nie!

-To dobrze - mruknął Joey.

-Domysliłem się, że nie jesteś zwykłym gapiem - powiedział mężczyzna. - Zauważyłem, że poważnie interesujesz się lunaparkiem. Ciekawi cię wesołe miasteczko jako takie, jako sposób na życie, prawda? Od razu rzuciło mi się to w oczy.

-Serio?

-O, tak. To wrecz z ciebie emanuje - rzekł nieznajomy.

-Sadzi pan, że mogłbym ktoregos dnia... zostać lunaparkowcem? - spytał Joey.

-Ty? Alez oczywiście. Masz w sobie to COS - zapewnił obcy pan. - Mogłbys być lunaparkowcem i kim tylko zechcesz. Wlasnie dlatego cię zawolałem. Widziałem to wyraźnie, nawet stojąc na platformie przy tunelu.

-No coż... - zaczął Joey zakłopotany.

-Masz - powiedział nieznajomy. - Chce ci to dac.

Sięgnął do kieszeni i wyjął dwa różowe, cienkie, prostokątne kartoniki.

-Co to takiego? - zapytał Joey.

-Dwie darmowe przepustki do lunaparku.

-Zartuje pan.

-Czy wyglądam na dowcipnisią?

-Czemu mi je pan daje?

-Juz ci powiedziałem - rzekł nieznajomy. - Masz w sobie to COS. Jak mówią lunaparkowcy, po prostu jesteś do tego stworzony. Tak czy inaczej, jeśli widzę kogoś, kto jest obdarzony tym szczególnym darem, zawsze wręczam mu parę darmowych przepustek. Przyjdź ktoregos wieczoru i przyprowadź przyjaciela. Albo brata. Masz brata?

-Nie - odrzekł Joey.

-Siostry? - Tak.

-Jak ma na imię?

-Amy. - A ty?

-Joey.

-Joey jak?

-Joey Alan Harper.

-Ja mam na imię Conrad. Muszę podpisać ci przepustkę. - Wyjął z drugiej kieszeni długopis i zamasztył ruchem, dokładnie tak, jak tego oczekiwał Joey, złożył dwa podpisy na małych kartonikach.

-Bardzo panu dziękuję - rzekł Joey, uśmiechając się promiennie. - To wspaniale!

-Wesołej zabawy - powiedział z uśmiechem nieznajomy. Miał bardzo białe zęby. - Może któregoś dnia zostaniesz lunaparkowcem i to ty będziesz wręczał darmowe przepustki ludziom, którzy są wyróżnieni tym niezwykłym, szczególnym darem.

-Aaa... ile muszę mieć lat? - zapytał Joey.

-Aby zostać lunaparkowcem? - Tak.

-Wiek nie gra tu żadnej roli.

-Czy dziesięcioletek też mógłby się do was przyłączyć?

-Sierota, owszem. Bez problemu - stwierdził Conrad. - Albo dzieciak, którego rodzice w ogóle się nim nie zajmują. Gdyby jednak miał kochającą rodzinę, która wszczelaby poszukiwania, prędzej czy później musiałby wrócić do domu.

-Ale czy wy... znaczy, lunaparkowcy... nie ukrylibyście takiego chłopaka? - zapytał Joey. - Gdyby on nie chciał wrócić do domu, nie ukrylibyście go?

-Nie moglibyśmy tego zrobić - odrzekł mężczyzna. - To wbrew prawu. Gdyby jednak nikomu na nim nie zależało, gdyby nikt go nie chciał, lunapark by się nim zaopiekował. Zawsze tak było i zawsze tak będzie. A co z tobą? Załóż się, że twoi rodzice bardzo cię kochają!

-Wcale nie - rzekł Joey.

-Na pewno. Muszą cię bardzo kochać. A twoja mama?

-Nie - odparł Joey.

-Nie wierze. Na pewno jest bardzo dumna, ze ma takiego ladnego, bystrego synka.

Joey pokrasnial.

-Jestes podobny do twojej mamy? - zapytal Joey.

-No... tak. Jestem bardziej podobny do niej niz do taty.

-Te same ciemne oczy i ciemne wlosy?

-Tak - odparl Joey. - Jak moja mama.

-Wiesz... - zaczal Conrad. - Znalem kiedys kogos, kto wygladal prawie tak samo jak ty.

-Kogo? - zapytal Joey.

-Pewna bardzo mila kobieta.

-Ja nie wygladam jak kobieta! - oburzyl sie Joey.

-Nie, nie - wycofal sie pospiesznie Conrad. - Oczywiscie, ze nie. Ale masz takie same ciemne oczy i wlosy jak ona. I jest tez pewne podobienstwo w rysach twarzy. Wiesz, to calkiem mozliwe, ze ona ma synka i to wlasnie w twoim wieku. Tak. To calkiem mozliwe. Wyobrazasz sobie, co by to bylo, gdyby okazalo sie, ze jestes synem mojej od dawna nie widzianej przyjaciolki?

Nachylil sie do Joeya. Bialka jego oczu mialy lekko zoltawy odcien. Na ramionach widnialy drobinki lupiezu, w wasach utkwil okruszek chleba. Jego glos zabrzmial cieplo, kiedy zapytal:

-Jak ma na imie twoja mama?

Nagle Joey ujrzal w oczach obcego, cos co spodobalo mu sie jeszcze mniej niz wyraz oczu albinosa. Wbil wzrok w dwa krystalicznie czyste, blekitne punkciki i odniosl wrazenie, ze jego zyczliwosc byla wylacznie gra. Tak jak w filmie The Rockford files, gdzie prywatny detektyw Jim Rockford wydawal sie pozornie zyczliwy, mily i przyjazny, ale robil to tylko po to, by wyciagnac od nieznajomego garsc istotnych informacji, i to w taki sposob, by tamten nie zorientowal sie, ze ktos ciagnie go za jezyk. Nagle Joey poczul, ze ten mezczyzna probowal go omamic, dokladnie tak, jak robil to Jim Rockford.

Tyle tylko, ze Jim Rockford, pomimo swej falszywej zyczliwosci, byl w gruncie rzeczy porzadnym, milym facetem. Conrad zas, ukrywajacy sie za fasada falszywego usmiechu, wcale nie byl mily. W glebi jego blekitnych oczu nie bylo zyczliwosci ani ciepla. Byla tam jedynie ciemnosc.

-Joey? - Tak?

-Spytałem, jak ma na imię twoja mama.

-Leona - skłamał Joey, choć w głębi duszy nie wiedział, dlaczego nie powinien powiedzieć prawdy. Czuł, że popełniłby niewybaczalny, największy błąd w całym swoim życiu. Leona była matką Tommy'ego Culpa.

Conrad popatrzył na niego surowo. Joey chciał odwrócić wzrok, ale nie mógł.

-Leona? - zapytał Conrad. - Tak.

-No coż... może moja przyjaciółka zmieniła imię. Nigdy nie lubiła swego imienia. Może to jednak jest twoja matka. A ile ona ma lat?

-Dwadzieścia dziewięć - odrzekł pośpiesznie Joey, przypominając sobie, że matka Tommy'ego Culpa wyprawiała niedawno przyjęcie urodzinowe, na którym - jak twierdził Tommy - goście popili się jak świnie.

-Dwadzieścia dziewięć? - spytał Conrad. - Na pewno?

-Jestem pewien - rzekł Joey. - Bo mama ma urodziny dzień przed moją siostrą, tak że co roku wyprawiamy jedno przyjęcie po drugim. Moja siostra skończyła osiem, a mama dwadzieścia dziewięć lat.

Zdziwił się, że kłamstwo tak łatwo przechodziło mu przez usta. Zwykle szło mu raczej kiepsko. Nie był w stanie nikogo oszukać. Tym razem jednak było inaczej. Zupełnie jakby ktoś starszy i mądrzejszy przemawiał przez niego.

Nie wiedział, skąd wzięło się w nim przekonanie, że nie wolno powiedzieć temu mężczyźnie prawdy. Mama nie mogła być kobietą, której poszukiwał Conrad - uważała, że wszyscy lunaparkowcy to szumowiny i złodzieje. Jednak okłamał Conrada i miał wrażenie, że ktoś inny kierował jego językiem, ktoś, kto nad nim czuwał, ktoś jak... Bog.

Była to naturalnie idiotyczna myśl. Aby sprawić Bogu przyjemność, należało zawsze mówić prawdę. Dlaczego Bog miałby skłaniać cię do kłamstwa?

Niebieskie oczy mężczyzny złagodniały, a gdy Joey powiedział, że jego matka ma dwadzieścia dziewięć lat, z jego głosu znikło również napięcie.

-No coż - oznajmił lunaparkowiec. - Wygląda na to, że twoja mama to nie moja stara przyjaciółka. Kobieta, o której myślę, powinna mieć teraz około czterdziestu pięciu lat.

Wpatrywali się w siebie przez dłuższą chwilę, chłopiec i nachylony w jego stronę mężczyzna, aż w końcu Joey powiedział:

-No to... dziękuję za darmowe przepustki.

-Jasne, jasne - rzekł mężczyzna, prostując się. Najwyraźniej chłopiec zupełnie przestał go interesować. - Przyjemnej zabawy, chłopcze. - Odwrócił się i pomaszzerował w kierunku Tunelu Strachu.

Joey ruszył w przeciwną stronę, by przyjrzeć się, jak robotnicy stawiają Osmiornice.

Później spotkanie z niebieskookim lunaparkowcem wydawało mu się równie ezoteryczne jak sen. Jedynie dwie różowe przepustki ze zgrabnymi podpisami Conrada Strakera na obu z nich były dowodem na to, że zdarzenie faktycznie miało miejsce, że nie stanowiło wytworu wyobraźni Joeya. Przypomniał sobie swój strach i to, w jaki sposób oszukał nieznanego, ale nie potrafił odnaleźć w sobie owego osobliwego odczucia, które sprawiło, iż uznał kłamstwo za uzasadnioną konieczność - i zawstydzil się, że postąpił w taki, a nie inny sposób. Chyba jednak powinien był powiedzieć prawdę.

* * *

Tego wieczoru o wpół do siódmej Buzz Klemmet przyszedł po Amy do jej domu. Był przystojnym facetem, mocno owłosionym, umiesnionym i zadziornym; podtrzymywał starannie wypracowany wizerunek twardego macho. Matka spotkała się z nim tylko raz, drugiego wieczoru, kiedy przyszedł po Amy - i nie przypadł jej do gustu. Postępując zgodnie z obietnicą, że nie będzie się wtracać w sprawy córki, nie powiedziała na Buzza ani jednego złego słowa, ale Amy bez trudu dostrzegła wyraz pogardy w jej oczach. Tego wieczoru matka została w kuchni i nie wychyliła nawet głowy, by spojrzeć na Buzza. Richie i Liz siedzieli już na tylnym siedzeniu kabrioletu vintage GTO, należącego do Buzza. Dach był opuszczony i kiedy tylko Buzz i Amy wsiedli, Richie powiedział:

-Ej, podnies no dach, żebyśmy po drodze do lunaparku mogli śmiało przypalic skreta bez obaw, że ktoś nas przywazy. - Dobrze, stare Royal City, Ohio - mruknęła Liz. - Wciąż jeszcze tkwi w średniowieczu. Uwierzylibyście, że w tym kraju są miejsca, gdzie można otwarcie popalic trawkę i nie wrzuci cie za to do pierdła?

Byzz postawił dach, ale ostrzegł:

-Wstrzymajcie się z paleniem, dopóki nie zatankujemy.

Pol mili od domu Harperów zatrzymali się przy stacji benzynowej. Buzz wyszedł, aby sprawdzić olej, a Richie, aby napełnić zbiornik wozu.

Kiedy dziewczyny zostały same, Liz pochylila się w kierunku przedniego fotela i powiedziała:

-Buzz uważa, że jesteś najatrakcyjniejsza istota, jaką w życiu spotkał.

-Tak, na pewno - mruknęła Amy.

-Poważnie tak sądzi.

-Sam ci to powiedział? - Tak.

-Nic nie robiliśmy - powiedziała Amy.

-Miedzy innymi dlatego tak własnie uwaza. Jest tak przystojny, ze przywykl do dziewczat, ktore na sam jego widok klada sie na wznak i rozrzucaja szeroko nogi. Ale ty go zwodzisz, dajesz mu nadzieje i nagle ni stad, ni zowad zmuszasz, by sie pohamowal. On nie jest do tego przyzwyczajony. To dla niego nowosc. Uwaza, ze kiedy wreszcie mu sie oddasz, bedzie po prostu bosko.

-JEZELI sie oddam - stwierdzila Amy.

-Oddasz sie - rzucila z przekonaniem Liz. - Nadal nie chcesz sie do tego przyznac, ale jestes taka sama jak ja.

-Moze.

-Umawiasz sie z nim od tygodnia i kazdego wieczoru pozwalasz mu posunac sie o krok dalej - powiedziala Liz. - Cal po calu wylazisz ze swojej skorupy.

-Buzz powiedzial ci, do czego doszlismy? - spytala Amy.

-Tak - rzucila Liz z usmiechem.

-Jezu - mruknela Amy. - Nie ma to jak dyskrecja.

-Daj spokoj - odparla Liz. - Wcale cie nie obgadywal. Nie jestem dla niego kims obcym. Ani dla ciebie. Przeciez jestem twoja najlepsza przyjaciolka. Z Buzzem tez lacza mnie stare wiezi. Sypialam z nim kiedyś i od tej pory pozostalismsy bliskimi kumplami. Posluchaj, mala, kiedy dzis w nocy opuscimy lunapark, pojedziemy do mnie. Starych nadal nie ma, chata wolna. Ty i Buzz mozecie zajac ich sypialnie. Przestan bawic sie z facetem. Opuśc mu. I SOBIE. Przeciez tak jak i ja masz na to ochote.

Buzz i Richie wrocili do samochodu. Richie przypalil skreta. Buzz skupil sie na prowadzeniu wozu, a pozostali podawali sobie jointa z rak do rak i kazdy z nich kilkakrotnie zaciagnal sie gleboko, usilujac jak najdluzej zatrzymac dym w plucach. Na parkingu przy lunaparku zapalili drugiego skreta i posiedzieli w samochodzie, dopoki i tego nie skonczyli.

Zanim dotarli do kasy, Amy zrobilo sie przyjemnie, cieplo i wesolo. Kiedy wplynela do wnetrza lunaparku, oazy dzwieku i nieustannego ruchu, ogarnelo ja osobliwe wrazenie, ze ten wieczor bedzie jednym z najwazniejszych w calym jej zyciu. Dzis wieczorem bedzie musiala podjac, decyzje dotyczaca niej samej - i albo zaakceptuje role, ktora wybraly dla niej mama i Liz, albo postanowi, ze bedzie prava, odpowiedzialna osoba, ktora zawsze pragnela byc. Balansowala na cienkiej krawedzi i nadszedl czas, by wybrala jedna albo druga strone, aby podjela decyzje co do własnej przyszlosci. Nie miala pojecia, skad wzielo

sie w niej to przekonanie, niemniej bylo gruntowne i niezachwiane. Wiedziala i juz. Z poczatku to ja nieco otrzewilo i odrobine zaniepokoiło, ale Liz rzucila nagle zabawną uwage o grubej kobiecie, która szła alejka przed nimi i Amy Wybuchnela smiechem - trawka zaczela dzialac, smiech zmienil sie w nie kontrolowany chichot i ponownie odplynela.

CZESC TRZECIA

TUNEL STRACHU

12

Amy uznala, ze Liz miala racje twierdzac, iz odrobina trawki uczyni przejazdke na lunaparkowych atrakcjach duzo bardziej podniecajaca niz zazwyczaj. Zaliczyli Osmiornice, Mlyn, Fale, Weza, Diabelskie Kolo, Kolosa i pare innych. Podesty wydawaly sie wyzsze, zjazdy gwałtowniejsze, skrety ostrzejsze, a obroty duzo szybsze niz w innych lunaparkach, które wcześniej odwiedzaly to miasteczko. Amy trzymala mocno Buzza i krzyczala uradowana, drzac z niepohamowanego przerazenia. Buzz tulil ja do siebie, wykorzystujac jej strach i gwałtowniejsze przechyly gondoli jako okazje do szybkich, gwałtownych usciskow. Podobnie jak Liz, Amy miala na sobie szorty i podkoszulek, ale nie nosila stanika. Buzz nie mogl oprzec sie pokusie, by dotknac jej piersi i dlugich, golych, pieknie opalonych nog. Za kazdym razem, gdy przejazdka dobiegala konca, Amy przez moment lub dwa byla oszolomiona i musiala przytrzymac sie Buzza. Chlopakowi bardzo sie to podobalo - jej skadinad tez, bowiem Buzz mial takie wspaniale umiesnione, twarde i silne ramiona.

Jakies czterdziesti minut po wejsciu do lunaparku zeszli z glownego placu na tyly wesolego miasteczka, gdzie staly ogromne ciezarowki. Obeszli je i znalezi sie w pustym zauлку konczacym sie obrosnietym bluszczem ogrodzeniem z metalowej siatki. Stali w pocetkowanym cieniach, przedwieczornym swietle i podawali sobie z rak do rak trzeciego skreta, ktorego Liz wyjela z torebki. Zaciagali sie slodkim dymem, trzymajac go w ustach tak dlugo jak tylko sie dalo, po czym wypuszczali z glosnym westchnieniem rozkoszy.

-Ten jest troche inny - rzekl Richie, kiedy skret powtornie trafil do jego rak, rozpoczynajac druga kolejke.

-O czym ty mowisz? - spytala Amy.

-O skrecie.

-Tak - stwierdzila Liz. - Doprabilam go troche.

-Czym? - spytal Buzz.

-Zaufaj mi.

-Anielskim pylem? - zapytal Richie.

-Zaufaj mi - powtorzyła Liz.

-Ej - warknął Buzz. - Nie wiem, czy mam ochotę palic coś takiego, dopóki nie jestem pewien, co to właściwie jest.

-Zaufaj mi - powiedziała Liz po raz trzeci.

-Ufam ci tak jak grzechotnikowi - odparł Buzz.

-Nieważne - mruknęła Liz. - Zresztą i tak prawie skończyliśmy. Buzz trzymał w palcach niedopalek. Zawahał się, po czym mruknął:

-A niech tam, raz się żyje. - I ponownie się zaciągnął.

Richie zaczął całować Liz, a Buzz Amy i nagle nie wiedzieć czemu Amy poczuła, że opiera się plecami o bok jednej z ciężarówek, a Buzz przesuwając dłońmi w górę i w dół po jej ciele, całuje ją, wciska język głęboko do jej ust. Nagle wyjął jej podkoszulek z szortów i wsunął jedną dłoń pod elastyczny materiał, pieszcząc nagie piersi, sciskając sutki, a ona pojeikiwała cichutko i choć niepokoiła się, że ktoś mógłby się tu nagle zjawić i ich zobaczyć, nie zaprotestowała ani słowem, tylko gorąco odpowiadała na gwałtowne pieszczoty Buzza.

Nagle Liz powiedziała:

-Dosc, chłopaki. Odłóżmy to na później. Nie mam zamiaru klaskać się i robić tego na tej brudnej ziemi, w biały dzień.

-Robienie tego na ziemi jest fajne - rzucił Richie.

-Tak - rzucił Buzz. - Zrobmy to na ziemi.

-To takie naturalne - dodał Richie.

-Właśnie - przytaknął Buzz.

-Wszystkie zwierzęta robią to na ziemi - dodał Richie.

-Tak - mruknął Buzz. - Bądźmy naturalni. Popuścimy wodze fantazji będziemy naturalni.

-Wstrzymajcie konie - rzuciła Liz. - Mamy jeszcze sporo do obejrzenia. Chodźmy się bawic.

Amy włożyła podkoszulek do szortów, a Buzz jeszcze raz ją pocałował.

Po powrocie na główny plac Amy odniosła wrażenie, że wszystkie karuzele kreca się dużo szybciej niż normalnie. Barwy również wydawały się ostrzejsze.

Muzyka płynąca z tuzina różnych miejsc była głośniejsza niż przed dziesięcioma minutami, a

kazda z piosenek odznaczała się melodyjną subtelnością, z istnienia której nie zdawała sobie dotychczas sprawy.

Nie panuje w pełni nad sobą, pomyślała Amy, zakłopotana i oszłamiona. Nie utraciłam jeszcze całkiem kontroli, ale niewiele mi do tego brakuje. Muszę być ostrożna. Czujna. Muszę uważać na te trawki. Te cholerna doprawiona trawka. Jeśli nie będę się miała na baczności, skończę w sypialni domu Liz, przywalona cielskim Buzza, czy będę chciała, czy nie. A chyba wcale nie mam na to ochoty. Nie chce być taka osoba, za jaką uważają mnie mama i Liz. Bo wcale taka nie jestem. A MOŻE JESTEM?

Ponownie wsiedli na Fale. Amy przytuliła się do Buzza.

* * *

Spędziwszy poniedziałkowy poranek i część popołudnia na oglądaniu, jak lunaparkowcy rozstawiają swój sprzęt, Joey nie zamierzał wracać do wesołego miasteczka, aż do sobotniego wieczoru, kiedy to na zawsze ucieknie z domu. Nieoczekiwanie jednak w poniedziałek wieczorem zmienił zdanie. Ścisłe rzecz biorąc sprawiła to jego matka.

Siedział w pokoju, oglądając telewizję i popijając pepsa, gdy nieoczekiwanie przewrócił szklankę. Pepsa rozlała się na krzesło i dywan. Joey przyniósł z kuchni garść papierowych ręczników i najlepiej jak mógł wytarł zacieki, przekonany, że ani na dywanie, ani na obiciu krzesła nie zostaną brzydkie plamy.

I choć przecież nie wyrządził większej szkody, mama, kiedy weszła do pokoju i ujrzała go z wilgotnym ręcznikiem w dłoniach, wpadła we wściekłość.

Było dopiero w poł do osmej, ale mama była znowu pijana. Schwyciła Joeya za ramiona i potraszając nim stwierdziła, że zachował się jak małe zwierzątko, po czym natychmiast odesłała go do łóżka - prawie dwie godziny wcześniej niż zazwyczaj.

Czuł się fatalnie. Nie mógł nawet szukać pocieszenia u Amy, bo znowu gdzieś wybyła z tym swoim nowym chłopakiem, Buzzem. Joey nie wiedział, dokąd z nim poszła, a gdyby nawet wiedział, to i tak nie mógłby pójść tam za nią i poskarżyć się, w jaki sposób potraktowała go mama.

W swoim pokoju Joey leżał przez chwilę na łóżku, poplakując, rozszalały i wściekły z powodu niesprawiedliwości, jaką go spotkała, gdy nagle przypomniał sobie o dwóch różowych wejściówkach, które wcześniej tego dnia otrzymał od naganiacza. DWIE wejściówki. Jedną wykorzystał, aby w sobotni wieczór dostać się do lunaparku, kiedy spróbuje dołączyć do załogi wesołego miasteczka, mówiąc wszystkim, że jest sierota i nie ma się gdzie podziac.

Ale zostawała mu jedna przepustka, która zmarnuje się, jeżeli nie wykorzysta jej przed sobotą.

Usiadł na łozku i zastanawiał się nad tym przez chwile, po czym stwierdził, że mógł wymknąć się do lunaparku, zabawić się tam trochę i wrócić do domu, tak by matka nie dowiedziała się o tym. Wstał i zaciągnął zasłony, by do pokoju nie przedostawało się słabe wieczorne światło. Wyjął z szafy drugi koc i poduszkę, po czym ułożył to pod poscielą, żeby wydawało się, że to on leży w łozku.

Włączył nocną lampkę, cofnął się od łozka i krytycznym okiem przyjrzał swemu dziełu. Nawet teraz, gdy między zasłonami przedostawały się wąskie promienie słońca, mama z pewnością dałaby się nabrac. Zazwyczaj nie przychodziła do jego pokoju przed dwudziestą trzecią i jeśli dziś będzie tak samo, to znaczy jeśli zjawi się tam w nocy, gdy pokój oświetlony będzie tylko słabym światłem nocnej lampki, sztuczka z pewnością okaże się skuteczną - mama nabierze się na numer z "manekinem".

Najtrudniejsze było wydostanie się z domu niepostrzeżenie. Wyjął kilka banknotów dolarowych ze swojej skarbonki i wsunął do kieszeni dzinsów. Włożył tam również jedną z wejściówek, a drugą zostawił pod szklanym słojem z drobniakami, stojącym na biurku. Ostrożnie otworzył drzwi do sypialni, rozejrzał się w prawo i w lewo, wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Podkrał się do schodów i rozpoczął długą, pełną napięcia wędrówkę na parter.

* * *

Amy, Liz, Buzz i Richie zatrzymali się przed plakatem reklamującym Marco Wspaniałego. Ukazywał kobietę, której głowa spoczywała pod ostrzem gilotyny, podczas gdy uśmiechnięty magik zaciskał dłoń na zwalniającej dzwigni. - Uwielbiam magików - westchnęła Amy.

- Kocham wszystkich, których mogę mieć - stwierdziła Liz i zachichotała.

- Moją wujek Arnold również był kiedyś magikiem - powiedział Richie przesuwając okulary na nosie, by moc uważnie przyjrzec się krzykliwemu plakatowi Marco.

- Czy on potrafił sprawić, żeby różne rzeczy znikaly i w ogóle? - spytał Buzz.

- Był tak kiepski, że zamiast rzeczy znikala publiczność - odparła cierpko Liz. Amy była podniecona i rozochociona po wypalonej trawce i drobny zarcik Liz wywołał u niej gwałtowny atak śmiechu. Jej wesołość udzieliła się pozostałym.

- Dobra, dobra, dosyć tego - rzekł Buzz, kiedy wreszcie się opanowali. - Czy twój wujek Arnold zarabiał w ten sposób na życie? To nie było tylko hobby czy coś takiego?

- Nie, nie hobby - rzekł Richie. - Wujek Arnold był prawdziwym prestidigitatorem. Nazywał siebie Zdumiewającym Arnoldo. Ale chyba nie zarabiał zbyt dużo i po pewnym czasie mu się odechciało. Przez ostatnich dwadzieścia lat sprzedaje polisy ubezpieczeniowe.

-Wydaje mi się, że to fajnie być magikiem - powiedziała Amy. - Dlaczego twój wujek z tego zrezygnował?

-Noo... - zaczął Richie - każdy dobry prestidigitator musi mieć jakąś swoją sztuczkę, specjalność, która wyróżnia go z tłumu innych magików. Wujek Arnold też miał taką - polegała na tym, że tuzin białych gołębi, jeden po drugim, pojawiał się nagle wśród płomieni. Kiedy zjawiał się pierwszy, widzowie reagowali raczej umiarkowanie, przy drugim i trzecim wstrzymywali oddech, a po szóstym zaczęli gwałtownie bić brawo. Kiedy ostatni, dwunasty gołąb opuszczał swoją kryjówkę w zakamarkach ubrania wujka i wylatywał wśród płomieni w powietrze, reakcja tłumu była nieomal histeryczna.

-Nie rozumiem - rzekł Buzz, marszcząc brwi.

-Tak - mruknęła Amy. - Skoro twój wujek był taki dobry to dlaczego to rzucił i zajął się sprzedażą ubezpieczeń?

-Czasami - odrzekł Richie - nie za często, co jakieś trzydziści przedstawień, których z gołębi zapalał się i ginał na scenie. Wówczas widzowie reagowali tupaniem i głośnymi okrzykami albo wręcz wygwizdywali wujka Arnolda.

Liz Wybuchnęła śmiechem i Amy również zaczęła się śmiać, a kiedy Liz złożyła obie dłonie i zatrzepotała nimi, naśladując gołębia, który usiłuje ugasić palące się skrzydła, Amy nie była w stanie się powstrzymać, chociaż uważała, że to wcale nie było śmieszne, ale zgola tragiczne i choć zdawała sobie sprawę, że nie powinna się być z tego śmiać. Miała jednak wrażenie, że to najzabawniejsza historia, jaka kiedykolwiek usłyszała.

-Wujek Arnold nie uważał, żeby to było zabawne - zauważył Richie pomiędzy kolejnymi salwami śmiechu. - Jak powiedziałem, nie zdarzało się to często, ale on nigdy nie wiedział, KIEDY może się to stać i żył w ciągłym napięciu. Od tych stresów nabawił się wrzodów. A poza tym, nawet jeśli ptaki się nie zapalały, to często srały mu po kieszeniach.

Wybuchnęli śmiechem z nową mocą, przytrzymując się nawzajem. Mijający ich ludzie spoglądali na nich ze zdumieniem, co ich jeszcze bardziej rozśmieszało.

Richie zafundował im wszystkim bilety na występ Wspaniałego Marco.

Ziemia wewnątrz namiotu magika wysypana była trocinami, w powietrzu czuć było wilgoc. Na płociennych ścianach słabo oświetlonego namiotu wisiały jaskrawe transparenty i plakaty Marco.

Amy, Liz, Buzz i Richie dołączyli do dwóch tuzinów widzów stłoczonych przy niewielkim podwyższeniu wstawionym pod przeciwległą ścianę namiotu.

W chwili później pojawił się Marco w chmurze błękitnego dymu, a gdy z tasmai popłynęły fanfary, magik uklonił się nisko. Było aż nazbyt wyraźnie widac, że przeszedł przez otwór w

tylnej scianie namiotu. Zreszta samo wyjście też nie wyszło mu najlepiej, bo potknął się przy pierwszym kroku.

Liz spojrzała na Amy. Obie zachichotały.

-Dzięki Bogu, że to magik, a nie linoskoczek - wyszeptał Richie.

Amy miała wrażenie, jakby stała na balonach, balansując na nich niebezpiecznie, i przygotowywała się do wykonania jakiegoś fantastycznej kuglarskiej sztuczki.

Co Liz dodała do tego skreta?

Wygląd Marco był równie patetyczny jak jego wejście. Był facetem w średnim wieku, o przekrwionych oczach i mocnym makijażu mającym upodobnic go do Szatana. Usta miał czerwone, twarz blada jak płótno, oczy podkreślone czarnym tuszem i niewielka kozia brodka. Nosił wyswiechtany frak i białe rekawiczki upstrzone żółtawymi plamami.

-Nie powinien ich zakładać, kiedy wali konia - wyszeptała Liz. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

-Okropne - rzekł Richie.

-Wygląda na tyle fatalnie, że byłby w stanie to zrobić - wyszeptał Buzz.

Marco zerknął na nich nerwowo, ale nie mógł usłyszeć, o czym rozmawiają. Uśmiechnął się do nich i zamiotł cylindrem, bezskutecznie usiłując i przykuc ich uwagę.

-Niezależnie, co zrobicie - zwróciła się Liz do pozostałych - nie podawajcie mu reki.

Znowu wybuchnęli śmiechem.

Kilku widzów spojrzało na Amy - jedni z zaciekawieniem, inni z dezaprobatą, ona jednak ani trochę się nie przejęła. Bawiła się wysmienicie.

Marco postanowił ich zignorować. Wziął ze stolika ustawionego na środku sceny talie kart. Przetasaował je i owinał jedwabną chusteczką, odsłaniając tylko jeden róg talii. Wykonując każdy gest z przesadnym namaszczeniem umieścił zawiniątko w szklanym pucharze. Kiedy cofnął się i skinął na puchar, karty zaczęły same wyskakiwać z owinietej jedwabiem talii - najpierw as karo... as trefl... as kier... i na koniec, przez omyłkę, walet karo. Marco, wyraźnie zakłopotany, błyskawicznie schował karty i zajął się kolejną sztuczką.

-Rany, ale on cuchnie - rzekł po głosem Buzz.

-To te jego rekawiczki - rzuciła Liz.

-Richie, czy ten facet to naprawdę twój wujek Arnold? - spytała Amy.

Marco nadmuchał balon i zawiązał koncówkę. Kiedy przytknął do balonu zapalonego papierosa, balon pękł z hukiem i z wnętrza wyprysnął żywy gołąb. Była to lepsza sztuczka od tej z kartami, ale Amy i tak zauważyła, że ptak wyfrunął spod marynarki fraka prestidigitatora.

Marco wykonał jeszcze dwie sztuczki, które spotkały się z umiarkowanie życzliwym przyjęciem widzów. Nagle Liz spytała:

-Spadamy?

-Jeszcze nie - zaprotestował Richie.

-Ale to cholernie nudne - mruknęła Liz.

-Chcę zobaczyć finał - wyjaśnił Richie. - Gilotyna.

-Jaka gilotyna? - spytał Buzz.

-Te z plakatu na zewnątrz - rzucił Richie. - Będzie odcinał leć jakieś łasce.

-Tylko w ten sposób może liczyć, że jakaś łaska zrobi mu łaskę - powiedziała Liz chichocząc.

Marco odezwał się po raz pierwszy. Głos miał zadziwiająco silny i władczy.

-A teraz coś dla miłośników makabry, horroru, groteski, krwi i wyprutych flaków... rad jestem móc zaprezentować państwu mój popisowy numer znany pod nazwą "Falownika".

-A co z gilotyną? - zwrócił się Richie do Buzza.

-Dupek - warknęła Liz. - To tylko podpucha.

Marco wtoczył na środek sceny sporych rozmiarów, pionowo ustawioną skrzynię. Była nieco krótsza od trumny, ale z kształtu podobna.

-Słyszałem, co tam mamroczenie - rzekł Marco. - Słyszałem, że mówicie "gilotyna... gilotyna"... Niestety, urządzenie to należało do mego poprzednika. Po pewnym nieszczęśliwym wypadku zarówno on, jak i jego sprzęt zostały zatrzymane przez policję. Podczas ostatniego występu jego asystentka straciła głowę, w przenośni i dosłownie. To było okropne. A ile potem sprzątanina!

Widzowie zareagowali nieco wymuszonym śmiechem.

-Fatalne, co za gówno - burknęła Liz.

Amy jednak stwierdziła, że w pewnym momencie Marco przeszedł nader osobliwa

metamorfoze. Nie wygladal juz na podzrednego, kiepskiego magika, jak w chwili, gdy pojawil sie na scenie. Jego charakteryzacja nie wygladala juz glupio - z sekundy na sekunde wydawal sie coraz bardziej demoniczny, a w jego oczach pojawil sie nowy, diabelski blysk. Nerwowy usmieszek stal sie zlowrogim, dwuznacznym grymasem. Kiedy spojrzenie magika padlo na Amy, odniosla wrazenie, jakby wyjrzala przez blizniacze okna wprost w posepna czelusc piekla. Poczula chlod, ktory przeniknal ja do szpiku kosci.

Nie wyglupiaj sie - powiedziala sobie w duchu, ale wzdrygnela sie. Marco Wspanialy nie zmienil sie. Zmienila sie tylko moja percepcja. Mam lagodne halucynacje. Lekki odlot. To ten cholerny skret. Co Liz do niego dodala?

Marco uniosl do gory mierzacy dwie stopy drewniany zaostrozony kolek.

-Panie i panowie, obiecuje, ze za chwile ujrzycie cos, co wstrzasnie wami bardziej niz sztuczka z gilotyna. Ten numer jest doprawdy duzo, duzo lepszy.

Uśmiechnal sie, a jego usmiech byl mroczny i osobliwy, jak usmiech kota z Cheshire.

-Potrzebuje ochotniczki sposrod widzow. Mlodej kobiety.

Jego diabelskie oczy lustrowaly wolno twarze z pierwszych rzadow. Prestidigitator uniosl reke i wymierzal ja zlowrogo w kolejne kobiety. Przez zapierajaca dech w piersiach chwile wskazywal rowniez na Amy, gdy nagle jego reka nieco sie przesunela i zatrzymala na Liz. Ostatecznie jednak magik wybral na swoja asystentke atrakcyjna rudowlosa dziewczyne.

-O nie - powiedziala ruda. - Nie moglabym. Nie ja.

-Oczywiscie, ze mozesz - przekonywal Marco. - No dalej, drodzy panstwo, zacheccie te uroczka, dzielna mloda dame.

Widzowie zareagowali burza oklaskow, a kobieta z wyraznym wahaniem wspiela sie na scene.

Marco ujal ja za reke, kiedy weszla na podwyzszenia.

-Jak ci na imie?

-Jenny - odparla, usmiechajac sie niesmialo.

-Nie boisz sie, prawda, Jenny?

-Nie - powiedziala, czerwieniac sie. Marco usmiechnal sie.

-Madra dziewczynka! - Podprowadzil ja do trumny. Stala pionowo, odchylona nieco do tylu na ogromnych metalowych klamrach. Marco uchytil wieko.

-Wejdz, prosze, do skrzyni, Jenny. Obiecuje, ze nie bedzie bolalo.

Z pomoca magika rudowlosa dziewczyna weszla tylem do skrzyni. Twarza odwrocona byla do widzow. Trumna byla krotka, wiec kiedy Marco zamknal wieko, glowa dziewczyny wystawala z niej na zewnatrz.

-Wygodnie? - zapytal Marco.

-Nie - odparla dziewczyna, wyraznie zdenerwowana.

-Dobrze - mruknal Marco. Usmiechnal sie do widzow, po czym zawiesil na wieku skrzyni potezna klodke.

W tej samej chwili Amy poczula cos dziwnego, wrazenie zagrozenia, odczucie, jakby znajdowala sie oko w oko ze smiercia, ktora powoli zamykala wokol niej uscisk niewidzialnych, lodowatych ramion. Znow ta cholerna trawa, powiedziala sobie w duchu.

Marco Wspanialy przemowil do widzow:

-W pietnastym wieku Wlad Piaty Woloski, znany swoim przerazonym poddanym jako Wlad Palownik, poddawal torturom dziesiatki tysiecy jencow, tak mezczyzn, jak i kobiet, glownie najezdzcow z innych krain. Pewnego razu armia turecka zaniechala planowanej inwazji, kiedy natknela sie na pole, na ktorym doborowa gwardia Wlada ustawila tysiace pali i nabila na nie tysiace mezczyzn, Wlad osobiscie dobieral ludzi do swojej elitarnej gwardii zabojcow. Kiedy znudzilo mu sie jego wlasne nazwisko, wybral sobie nowe, po swoim rownie paskudnym ojcu, ktorego nazywano "Dracul" - to znaczy "Diabel". Dodajac litere "a" stal sie Dracula, synem Diabla. I tak oto, moi przyjaciele, rodza sie legendy.

-Ale syf - powtorzyla Liz.

Amy byla jednak urzeczona ta dziwna, nowa i niebezpieczna istota, ktora (przynajmniej w jej mniemaniu) zagniezdzila sie wciele Marco. Bezdenne, wszechwiedzace, zle oczy magika ponownie odnalazly oczy Amy i wejrzaly w glab jej duszy, zanim zwrocily sie w inna strone.

Marco raz jeszcze zwazyl w dloni mierzacy dwie stopy, zaostrozony kolek.

-Panie i panowie, przedstawiam wam... Palownika.

-Najwyzszy czas - powiedziala Liz. Marco uniosl maly, ale ciezki mlotek.

-Jesli spojrzycie na wieko skrzyni, zobaczycie, ze wycieto w nim niewielki otwor. Amy zauwazyla go. Wokol otworu namalowano czerwone serce.

-Otwor znajduje sie dokladnie nad sercem ochotniczki - wyjasnil Marco. Oblizal wargi, odwrocil sie i ostroznie wsunal kolek do otworu.

-Czujesz szpic kolka, Jenny? Zachichotała nerwowo. - Tak.

-Dobrze - powiedział magik, - Pamiętaj... nie będzie bolalo. - Trzymając kolek lewa reka uniosł w prawej młotek.

-Teraz proszę o absolutną ciszę. Osoby o słabym sercu uprasza się, by odwróciły wzrok. Ona nie poczuje bólu... ale to nie znaczy, że nie będzie krwi!

-Co? - powiedziała Jenny. - Ej, zaczekaj, ja...

-Cisza! - warknął Marco i mocno uderzył młotkiem w kolek. NIE! pomyślała Amy.

Przy wtórze obrzydliwego, wilgotnego odgłosu kolek zagłębił się w piersi kobiety. Jenny krzyknęła, a z jej wykrzywionych ust buchnęła krew.

Widzowie wstrzymali oddech. Kilka osób wydało okrzyk przerażenia.

Głowa Jenny przechyliła się na bok. Język wysunął się z ust. Oczy spoglądały niewidzącym wzrokiem ponad głowami osób zebranych w namiocie.

Śmierć w cudowny sposób zmieniła oblicze ochotniczki. Rude włosy zamieniły się w jasne. Oczy z zielonych stały się niebieskie. Twarz nie była już twarzą Jenny, kobiety wybranej z widowni. Teraz była to twarz Liz Duncan. Każde zagłębienie, każda wypukłość, wszystkie rysy, każdy najdrobniejszy szczegół należał do Liz.

To nie była gra światel i cieni. W trumnie znajdowała się Liz. To LIZ została przebita kolkiem. To LIZ była martwa, a pomiędzy jej pełnych warg wciąż jeszcze wypływała krew.

Z trudem chwytając powietrze, Amy rozejrzała się wokół i ze zdumieniem stwierdziła, że jej koleżanka nadal tu była. Liz stała na widowni, obok niej, a mimo to, jakimś cudem znajdowała się również na scenie, w trumnie, martwa.

Amy, dezorientowana i skonfundowana, szepnęła:

-Ale to przecież ty. To ty... jesteś tam, na gorze. Liz - na - widowni powiedziała:

-Co takiego?

Liz - w - trumnie wpatrywała się w wieczność i splotowała krwią.

Liz - na - widowni spytała:

-Amy? Nic ci nie jest?

Liz umrze, pomyślała Amy. Już wkrótce. To jakiś rodzaj wizji... przepowiedni, proroctwa... czy jak to tam zwa. Czy to może się spełnić? I czy się spełni?

Czy Liz umrze? Juz wktotce? Moze nawet dzisiejszej nocy?

Oblicze Marco, wyrazajace szok i zgroze w momencie, gdy z ust ochotniczki trysnela krew, rozpromienil szeroki usmiech.

Magik pstryknal palcami, a kobieta w skrzyni nagle ozyla; wyraz bolu zniknal z jej twarzy, usmiechnela sie... i nie wygladala juz jak Liz Duncan.

Nigdy nie wygladala jak Liz, pomyslala Amy. To tylko moje przywidzenia. Narkotyki. Halucynacje. To nie byla wizja, przepowiednia rychlej smierci Liz. Boze, mam juz tego dosc.

Widzowie odetchneli z ulga, kiedy Marco wyjal kolek z otworu w wieku skrzyni. Magik nie wydawal sie juz zlowieszczy. Byl tym samym zaniedbanym, pulchnym, niezdarnym facecikiem, ktory kilkanascie minut temu potykajac sie wszedl przez ukryty otwor do wnetrza namiotu. Z oczu Marco nie wyzierala juz wszechwiedzaca obecosc zla, wygladem rowniez nie przypominal diabla.

Wyobraznia - powiedziala sobie Amy. - Omamy wzrokowe. To nic nie oznacza. Zupelnie nic. Zadne z nas nie umrze. Musze wziac sie w garsc.

Marco pomogl Jenny wyjsc ze skrzyni i przedstawil ja publicznosci. Byla jego corka.

-Jeszcze jedna tania sztuczka - stwierdzila Liz zdegustowana.

Kiedy wyszli z namiotu Marco, Amy zdziwila sie rozczarowaniu swoich towarzyszy. Zupelnie jakby mieli nadzieje, ze kobieta naprawde zostanie przebita kolkiem albo straci glowe pod ostrzem gilotyny. Dodatek, jakim Liz doprawila ostatniego jointa, musial byc naprawde silny, bowiem byli niespokojni i poruszeni - potrzebowali coraz gwaltowniejszych i silniejszych podniet, aby zagospodarowac te nowo poznana, nerwowa energie. Dekapitacja albo chociaz odrobina przelanej krwi - to pomogloby tym trojgu pozbyc sie z krwiobiegu tej substancji chemicznej i odzyskac spokoj.

Dosc skretow na dzisiaj, przysiegla sobie Amy. Nie bede palic. Ani dzisiaj, ani NIGDY. Nie potrzebuje narkotkow, aby byc szczesliwa. Po cholere je biore?

Nastepnym miejscem, jakie odwiedzili, byl Upiorny Zwierzyniec, a potworne kreatury, jakie tam ujrzeli, wstrzasnely Amy. Byla tam koza o dwoch glowach, trojglowy i trojoki byk, odrazajacy wieprz ze slepiami po obu stronach pyska i dwoma kolejnymi oczyma nieco wyzej na lbie. Spomiedzy jego spekanych miesistych warg wyciekala zielonkawa slina, a z boku wystawaly dwie dodatkowe nogi.

Wreszcie dotarli do zagrody, gdzie stala z pozoru normalna owieczka. Amy wyciagnela reke, aby ja poglaskac, i dopiero kiedy zwierze odwrocilo sie w jej strone, ujrzala, ze mialo dodatkowy nos i wylupiaste, niewidzace trzecie oko z boku glowy. Natychmiast cofnela reke.

Koszmarne zwierzęta były jak popita piwem whisky dla naczepianych nastolatków; kiedy wyszła z Upiornego Zwierzynca, Amy poczuła się na jeszcze większym haju, jeszcze bardziej oderwana od rzeczywistości niż kiedy weszła do środka.

Odbyli przejazd Szaloną Rakietą. Amy usiadła przed Buzzem na siodełku przypominającym nieco motocyklowe, wewnątrz płaskiej, dwuosobowej, przypominającej pocisk gondoli. Licząc na odrobinę prywatności, Buzz położył ręce na jej nieopiętych biustonoszach. Siła odśrodkowa pchnęła ją na niego. Poczuła żar i wielkość jego erekcji, gdy pośladkami wbiła mu się mocno w krocz.

-Chcę cie - powiedział przysuwając usta do jej ucha, aby mogła go usłyszeć poprzez ryk wirującej maszyny i dzikie zawrozcenie wiatru.

Było jej dobrze ze świadomością, że ktoś jej pragnie, że jest pozadana. Amy pomyślała, że może to wcale nie tak źle być taka dziewczyna jak Liz. W każdym razie zawsze miałyby przy sobie kogoś, kto by jej potrzebował, z takich czy innych względów.

W namiocie Klauna Bozo zarówno Buzz, jak i Richie zdołali trafić w dziesiątkę i skapać rozsmianego klauna w ogromnej wannie wody. Buzzowi szło z początku nie najlepiej - zapłacił za trzy piłki, potem za trzy następne i jeszcze trzy, aż w końcu ostatnia dosięgła celu, zanurzając Bozo w wannie. Richie podszedł do tego zadania inaczej - rozważył je z iscie matematyczną precyzją i dokładnością. Posłał dwie niecelne piłki i wyciągnawszy odpowiednie wnioski, przy trzeciej próbie trafił w dziesiątkę.

Później, kiedy ich gondola zatrzymała się na chwilę na szczycie Diabelskiego Młyna, a daleko w dole, pod nimi skrzyły się jak rozsypane diamenty światła lunaparku, Buzz pocałował Amy, bardzo mocno, sondując językiem wnętrze ust. Wodził dłońmi po całym jej ciele.

Wiedziała, że ta noc będzie bardzo ważna dla całego ich związku. Tej nocy albo będzie musiała z nim zerwać, albo da mu to, czego pragnął. Nie mogła już dłużej go powstrzymać. Musiała zdecydować, kim i czym chce być.

Ale była teraz na tak wspaniałym haju, że nie chciała - NIE MOGŁA myśleć o równie złożonych problemach. Pragnęła jedynie odpłynąć, radować się światłami, dźwiękami i nieustannym działaniem.

Po zejściu z Diabelskiego Młyna urządzili sobie przejazd na samochodzikach i bezlitośnie najjeżdżali na siebie nawzajem. Z zawieszonych pod spodem siatki pod napięciem, której dotyczyły umieszczone poziomo drzazgi przy samochodzikach, tryskały snopy iskier. Powietrze było przesiąknięte wonią ozonu.

Przy każdym hałasliwym zderzeniu Amy czuła dreszcz rozkoszy, przeszywający ją od stóp do głów.

Znajdująca się tuż obok pawilonu z samochodzikami karuzela zmieniła się w rozmyta plamę jasnych światel. Po drugiej stronie Młot na przemian to unosił się, to znów opadał. Muzyka organowa mieszała się z rykiem tłumów, nieustającymi monologami naganiaczy i loskotem uderzających jeden o drugi samochodzików.

Amy pomyślała, że kocha wesołe miasteczko. Dogoniła samochodzik Richiego i uderzyła w niego z boku, a gdy impet zderzenia obrocił ją o sto osiemdziesiąt stopni, doszła do wniosku, że Lunapark, wraz ze swymi światłami i atmosferą podniecenia, w pewnym sensie przypomina Las Vegas. Zaczęła zastanawiać się, czy wyjazd z Liz do Nevady nie byłby równie ekscytujący.

Po samochodzikach przyszła kolej na Gabinet Osobliwości, a dezorientacja Amy jeszcze bardziej przybrała na sile po tym, co tam ujrzała. Trojki mężczyzna o skorze aligatora. Najgrubsza kobieta świata, siedząca na kanapie, która w porównaniu z nią wydawała się małą. Jej ciało było istną górą mięsa, rysy twarzy niknęły wśród zwalów ciastowatego tłuszczu. Czterooki mężczyzna, któremu druga para rąk wyrastała z brzucha. Mężczyzna o dwóch nosach i ustach pozbawionych warg.

Liz, Buzz i Richie uznali Gabinet Osobliwości za najlepszą atrakcję całego wesołego miasteczka. Pokazywali sobie wszystko palcami i śmieli się z eksponatów, jakby ludzie na podwyższeniach nie widzieli ich ani nie słyszeli. Amy wcale nie było do śmiechu, chociaż nadal odczuwała efekty działania trawki. Przypomniła sobie przekleństwo Jerry'ego Gallowaya i przekonanie mamy, że dziecko urodzi się z wadami - to, co zobaczyła w Gabinet Osobliwości, budziło w niej zamiast śmiechu dojmująca zgroza. Amy czuła zazenowanie, zarówno wobec siebie, jak i wobec patetycznych dziwolągów pozujących jako żywe eksponaty. Chciała im w jakiś sposób pomóc, ale naturalnie nie mogła, toteż przysłuchiwała się docinkom swoich kolegów i uśmiechała się pod nosem, usiłując nakłonić ich do szybszego zwiedzania.

To dość nieprawdopodobne, ale najbardziej przerażającym eksponatem w Gabinet Osobliwości było dziecko zamknięte w ogromnym słoju. Inne dziwolągi były żywe i pełne siły, tak że mogły potencjalnie stanowić zagrożenie dla zwiedzających, ale martwa, bezbronna istota w słoju, która nikogo nie mogła skrzywdzić, wywarła na nich najbardziej wstrząsające wrażenie. Wielkie zielone oczy patrzyły niewidząco w przestrzeń ze swego szklanego więzienia, wydęte, zdeformowane nozdrza zdawały się wietrzyć zapachy Amy, Buzza, Liz i Richiego, czarne wargi były rozchylone i widac było blady, cętkowany język. Mogło się wydawać, że potworek na nich warczy, że gdy tylko sobie pójdą, jego usta natychmiast się zamkna.

-Straszne - powiedziała Liz. - Jezu!

-To nie jest prawdziwe - mruknął Richie. - To nigdy nie żyło. Jest ZBYT dziwaczne. Żaden człowiek nie mógłby urodzić takiego czegoś.

-Moze tego nie urodzil czlowiek - podsunela Liz.

-Ale tak tu jest napisane - zauwazyl Buzz. - Urodzil sie w 1955 roku z normalnych rodzicow.

Uniesli wzrok i spojrzeli na afisz na scianie za slojem, a Liz zawolala:

-Hej, Amy, twoja mama ma na imie Ellen. Moze to byl twoj brat!

Wybuchneli smiechem - wszyscy oprócz Amy. Wpatrywala sie w afisz, w szesc liter ukladajacych sie w imie potworka i poczula kolejny dreszcz niepokojacego przeczucia. Miala wrazenie, jakby jej obecność w lunaparku nie byla dzielem przypadku, lecz przeznaczenia. Ogarnelo ja niesamowite i niezbyt przyjemne uczucie, ze przeżyła siedemnaście lat, aby własnie dzis, tego wieczoru znalezc sie w tym szczegolnym miejscu. Ktos nia cały czas manipulowal; gdyby siegnela rekoma nad glowe, poczulaby sznurki laczące ja z dlonia lalkarza.

Czy jest mozliwe, ze ta istota w sloju rzeczywiscie byla dzieckiem jej matki? Czy DLATEGO mama nalegala, aby Amy niezwlocznie poddala sie aborcji?

Nie. To szalone, absurdalne, pomyslala rozpaczliwie Amy.

Nie spodobala jej sie swiadomosc, ze zycie nieodparcie ja wiodlo ku temu miejscu na ziemi, by znalazla sie tu w tej akurat minucie sposrod trylionow minut skladajacych sie na bieg historii. To przekonanie pozbawilo ja sily.

To wszystko tylko narkotyki. Z powodu narkotykow nie mogla ufac swoim zmyslom. Koniec z trawka. Nigdy wiecej jointow.

-Nie dziwie sie matce, ze je zabila - zauwazyla Liz przygladajac sie potworkowi w sloju.

-To tylko gumowa lalka - rzekl z naciskiem Richie.

-Przyjrze mu sie z bliska - postanowil Buzz przechodzac przez line zabezpieczajaca.

-Buzz, nie! - zawolala Amy.

Buzz podszedl do podwyzszenia, na którym stal sloj, i pochyлил sie w jego strone. Wyciagnal reke, przytknal palce do sloja i wolno przesunal po szkle, za którym znajdowala sie twarz potworka.

Nagle gwałtownym ruchem cofnal reke.

-Cholera jasna!

-Co sie stalo? - spytal Richie.

-Buzz, wroc tu, prosze - powiedziala Amy.

Buzz podszedl do nich, unoszac reke do gory, aby mogli ja zobaczyc. Na jednym z jego palcow widniala krew.

-Co sie stalo? - spytala Liz.

-Na szkle musial byc jakis zadziur - doszedl do wniosku Buzz.

-Powinienes pojsc do ambulatorium - stwierdzila Amy. - Rana moze byc zainfekowana.

-E tam - powiedzial Buzz nie chcac, by w jego wizerunku twardego macho pojawily sie jakies rysy. - To tylko zadrapanie. Ale wiecie, to zabawne. Na tym sloju nie widzialem zadnych ostrych krawedzi.

-Moze nie zaciales sie o szklo - zasugerowal Richie. - Moze ugryzl cie ten potworek.

-On nie zyje.

-Jego cialo jest martwe - rzekl Richie - ale moze duch nadal zyje.

-Jeszcze przed minuta wmawiales nam, ze to tylko gumowa lalka - rzucila Amy.

-Moglem sie mylic - odparl Richie.

-Jak wyjasnisz ugryzienie przez szklo? - spytal sarkastycznie Buzz.

-Psychiczne ukaszenie - rzekl Richie. - Ukaszenie ducha.

-Nie strasz mnie - otrzasnela sie Liz klepiac Richiego po ramieniu.

-Ukaszenie ducha? - mruknel Buzz. - To glupie.

Istota w butli obserwowala ich przymglonymi, szmaragdowymi, wylupiastymi oczyma.

Imie Ellen zdawalo sie plonac na afiszu jasniej niz wszystkie inne slowa.

Zbieg okolicznosci, powiedziala sobie Amy.

To musial byc zbieg okolicznosci. Bo jezeli nie, jezeli to naprawde bylo dziecko mamy, jezeli Amy zostala SCIAGNIETA do lunaparku przez jakas nadnaturalna moc, to inne jej przeczucia rowniez moga okazac sie prawdziwe. Liz rzeczywiscie moze tu umrzec. A to bylo nie do pomyslenia, nie do przyjecia. Czyli musi to byl zbieg okolicznosci.

ELLEN.

Zbieg okolicznosci, do cholery! Amy poczula znaczna ulge, kiedy wyszli z Gabinetu Osobliwosci.

Przejechali sie jeszcze raz na kolejce gorskiej i nagle wszyscy bez wyjatku poczuli silny glod. Byl to glod wzmozony dzialaniem trawki, niezaspokojony apetyt znany wszystkim namietnym palaczom jointow Zjedli hot dogi, lody i kilka slodkich jablek.

W koncu znalezi sie przy Tunelu Strachu.

Na niewielkim podwyzszeniu jakis wielki facet w kostiumie Frankensteina groznie wymachiwal rekoma w strone ludzi wchodzacych do wagonikow i oczekujacych na wjazd do tunelu. Warczal, machal rekoma i podskakiwal, niezdarnie nasladujac Borisa Karloffa.

-Ale wielkolud - mruknal Richie.

Przeszli kilka stop w strone platformy naganiacza, gdzie wysoki, dystyngowany mezczyzna nieprzerwanie przemawial do przechodniow. Spojrzal w dol, w ich strone, a Amy stwierdzila, ze mial najbardziej niebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widziala. Po kilku sekundach uswiadomila sobie, ze gigantyczna twarz klauna na szczycie Tunelu Strachu miala rysy tego wlasnie naganiacza.

-Przerrrazajace atrrrakcje i rrrewelacje! - wolal naganiacz. - Koszmarrrry, grrroza i horrorr! Gobliny, duchy i wampiry! Pajaki wieksze niz ludzie! Istoty z kosmosu i z najczarniejszych czelusci naszej planety! Czy wszystkie istoty znajdujace sie w tym tunelu sa sztuczne? A moze ktoras z nich jest prawdziwa? Przekonajcie sie sami! Poznajcie prawde... na wlasne ryzyko! Czy jestescie w stanie wytrzymac te probe i towarzyszone jej napiecie i groze? Panowie, pokazcie, ze jestescie mezczyznami! Panie, czy wasi partnerzy sa dostatecznie mescy, by was chronic, gdy juz znajdziecie sie wewnatrz? A moze to wy bedziecie musialy ich ochraniać? Przerrrazajace atrrrakcje, rrrewelacje!

-UWIELBIAM przejazdki Tunelem Strachu, kiedy jestem na haju - stwierdzila Liz. - To naprawde oszalamiajace uczucie, kiedy jest sie dostatecznie mocno nacpanym.

-Ja jestem dostatecznie nacpana - zapewnila Amy.

-Ja tez - dodal Buzz.

-Eee tam, musimy dac sobie wiecej czadu - powiedziala Liz. - To jeszcze nic.

-Jesli wypale jeszcze jednego skreta - rzekl Richie - bede musial pojsc na odwyk.

-Ale nie do izolatki - rzekl Buzz. - Raczej do dwojki. Dopisuje sie do ciebie.

-To jest to - rzucila z podnieceniem w glosie Liz. - Trzeba byc naprawde mocno nacpanym, zeby w pelni nacieszyc sie Tunelem Strachu.

Ja pasuje, postanowila Amy. Koniec ze skretami na dzis wieczor. Na dzis wieczor i w ogole.

Kupili bilety na Weza. Facet kontrolujacy urzadzenia byl karlem i podczas gdy czekali na rozpoczecie przejazdki, Liz otwarcie drwila z jego wzrostu. Karzel spojrzal niemilo na Liz, a Amy zapragnela, aby jej przyjaciolka wreszcie sie zamknela.

Kiedy Waz ruszyl, karzel mial okazje zemscic sie na zlosliwej dziewczynie - nadal urzadzeniu wieksza niz zwykle szybkosc. Sznur wagonikow zaczal pokonywac zakrety, wzniesienia i pochylosci z taka predkoscia, ze Amy bala sie, iz lada moment wyleca z szyn. To, co zapowiadalo sie na wspaniala przejazdke, zmienilo sie w torture, zdajaca sie nie miec konca. Kostki palcow zaciskaly sie az do bialosci, zoladek podchodzil do gardla, zimny pot wystepowal na czolo. Nie do wiary, ale nawet w tych okolicznosciach, wykorzystujac ciemnosci oraz wysuwane automatycznie brezentowe dachy nad wagonikami, Buzz zajal sie Amy - sunal dlonmi w gore i w dol po jej ciele.

Cala noc jest jak ten Waz, pomyslala Amy. Pozbawiona kontroli.

Po kolejnej przejazdce na Osmiornicy i samochodzikach wrocili do slepej uliczki za ciezarowkami, na skraju wesolego miasteczka. Liz zapalila kolejnego ze swoich "doprawionych" skretow. Nad lunaparkiem zapadl juz zmierzch i podajac sobie jointa z rak do rak nie widzieli sie zbyt dobrze nawzajem. Zartowali, ze jakis obcy mogl przylaczyc sie do nich w ciemnosci i pociagnac macha, zanim zdazyliby sie zorientowac. Udawali, ze dostrzegaja potwory ukryte pod przyczepami otaczajacych ich ciezarowek.

Kiedy skret doszedl do Amy, probowala udawac. Wciagnela dym do ust, ale sie nie zaciagnela. Przez chwile potrzymala dym w ustach, a potem wypuscila. Nawet w ciemnosciach, jedynie w swietle zarzacego sie koniuszka papierosa, Liz po odglosie wciagnietego oddechu zorientowala sie, ze Amy nie pociagnela trawki jak nalezy.

-Nie rob sobie jaj, mala - rzucila ostro. - Nie wylamuj sie.

-Nie wiem, o co ci chodzi - bronila sie Amy.

-Akurat, nie wiesz. Pociagnij jeszcze raz tego skreta, ale porzadnie. Kiedy jestem nacpana, chce, zeby wszyscy byli w takim samym stanie jak ja.

Aby nie zdenerwowac Liz, Amy ponownie pociagnela jointa i tym razem wciagnela dym do pluc. Nienawidzila siebie za brak silnej woli.

Ale nie chce stracic Liz, pomyslala. Potrzebuje Liz. Czy mam kogos oprócz niej?

Kiedy wrocili na glowny plac, o malo nie zderzyli sie z albinosem. Jego cienkie jak bawelna wlosy unosily sie za nim, poruszane ciepla czerwcową bryza. Spojrzal na nich bezbarwnymi oczyma, zimnymi jak dym, i powiedzial:

-Darmowe bilety do wrozki Madame Zeny. Za darmo przepowie wam przyszlosc. Po jednym dla kazdej z pan z pozdrowieniami od kierownictwa naszego lunaparku. Powiedzcie przyjaciolom, ze BAM jest przyjaznym wesolym miasteczkiem i warto do nas zagladac.

Amy i Liz, zdziwione, wzely bilety z bialych jak robaki dloni. Albinos zniknal w tlumie.

13

Cala czwórka stloczyła sie w malym namiocie wrozki. Liz i Amy usiadly na dwóch krzeslach przy stole z kryształowa, emanujaca lagodnym blaskiem kula. Richie i Buzz staneli za nimi. Zdaniem Amy Madame Zena nie wygladala na Cyganke, za jaka sie podawala, chociaz miala na sobie barwny kaftan, plisowana spodnice i cala mase rzucajacej sie w oczy bizuterii. Byla jednak bardzo atrakcyjna i wygladala dostatecznie tajemniczo.

Jako pierwsza miala poznac swoja przyszlosc Liz. Madame Zena zadala jej serie pytan dotyczacych jej samej oraz jej rodziny, aby - jak stwierdzila - zogniskowac swe nadprzyrodzone moce. Kiedy zabraklo jej pytan, zajrzala w glab szklanej kuli. Nachylila sie blizej, a dziwny blask plynacy z wnetrza kuli i przeplywajace cienie nadaly jej twarzy drapiezny wyglad.

W czterech szklanych kominkach w czterech rogach namiotu palily sie swiece.

W sporej klatce po prawej stronie stolu przemaszerowal po zerdce kruk i wydal ochryply, gardlowy dzwiek.

Liz spojrzala na Amy i wywrocila oczyma.

Amy zachichotala. Narkotyki sprawily, ze jej smiech byl zywszy i glosniejszy niz zwykle.

Madame Zena teatralnie zmruzyla oczy, wpatrujac sie w szklana kule, jakby usilowala przeniknac kurtyne skrywajaca swiat jutra. Nagle wyraz jej twarzy zmienil sie. Pojawilo sie szczere zaklopotanie. Zamrugala, pokrecila glowa i nachylila sie jeszcze bardziej nad polyskujaca kula spoczywajaca na stole.

-Co pani widzi? - spytala Liz.

Madame Zena nie odpowiedziala. Jej twarz nabrala tak upiornego wyrazu, ze Amy wyraznie sie zaniepokoil.

-Nic... - powiedziala Madame Zena.

Najwyrazniej Liz w dalszym ciagu uwazala, ze Cyganka udaje. Zupelnie nie zwrocila uwagi na wyraz nie skrywanej zgrozy malujacy sie na twarzy wrozki, ktory Amy wydawal sie wrecz uderzajacy.

-Ja nie... - zaczęła Madame Zena, po czym przerwała i oblizwała wargi. - Ja nigdy...

-Co mnie czeka? - zapytała Liz. - Bogactwo, sława, czy może jedno i drugie? Madame Zena przymknęła na chwile oczy, powoli pokręciła głową i ponownie zajrzała w głąb kuli.

-Moj Boże... ja... ja...

Powinnismy stąd wyjść, pomyślała nagle Amy. Powinnismy stąd wyjść, zanim ta kobieta powie nam coś, czego nie chcemy usłyszeć. Powinnismy wstać i uciec stąd, gdzie oczy poniosą.

Madame Zena uniosła wzrok znad kuli. Jej twarz była blada, bez kropli krwi.

-Co za aktorka! - rzucił polglosem Richie.

-Stek bzdur - mruknął ponuro Buzz.

Madame Zena zignorowała ich i odezwała się do Liz:

-Ja... eee... wolałabym nie przepowiadać ci przyszłości... przynajmniej na razie. Potrzebuje... eee... czasu na interpretację tego, co zobaczyłam w kuli. Najpierw przepowiem przyszłość twojej przyjaciółce, a potem... eee... jeśli nie masz nic przeciw temu... wrócimy do ciebie.

-Jasne - zgodziła się Liz, uznając zachowanie wroźki za rodzaj zabawy z klientem, mającej na celu wyciągnięcie od niego jak największej sumy pieniędzy za "bardziej konkretne" przepowiedzenie przyszłości. - Mnie się nie spieszy, mogę zaczekać.

Madame Zena odwróciła się do Amy. Oczy wroźki wydawały się inne niż przed kilkoma minutami. Wyglądała jak osoba, która zobaczyła ducha.

Amy chciała wstać i wyjść z namiotu. Poczula strumień tej samej energii psychicznej, która zelektryzowała ją podczas pokazu Marco Wspaniałego. Od stop do głów zalała ją fala nieprzyjemnego chłodu, a oczyma duszy ujrzała plastyczna wizję grobów, gnijących zwłok i szczerzających zęby kościotrupów - upiorne obrazy przesuwaly się błyskawicznie jak fragmenty teledysków puszczone na zawieszonym przed jej oczyma ekranie. Usiłowała się podnieść, ale nie mogła. Serce dudniło jej w piersi.

To znowu te narkotyki, nic więcej. Tylko narkotyki. Coś, co Liz dodała do trawki. Zalowała, że wypaliła tego dodatkowego skreta. Powinna była postawić się Liz i odmówić.

-Zadam ci teraz kilka pytań dotyczących ciebie i twojej rodziny - powiedziała drzacym głosem Madame Zena, bez odrobiny teatralnej przesady, która okazywała przepowiadając przyszłość Liz. - Tak jak już wcześniej powiedziałam twojej przyjaciółce... potrzebuje tych informacji, by zogniskować swoje nadprzyrodzone umiejętności.

Zachowywała się tak, jakby chciała, podobnie jak Amy, poderwać się z miejsca i wybiec ze swego namiotu.

-Proszę pytać - wyszeptała Amy. - Nie chce tego wiedzieć... ale muszę.

-Ej, co tu się dzieje? - spytał Richie. On też odebrał nowe, złe wibracje, które pojawiły się wewnątrz namiotu.

W dalszym ciągu nieswiadoma pełnego powagi zachowania wrożki, Liz syknęła:

-Cii, Richie! Nie psuj zabawy! Madame Zena zwróciła się do Amy:

-Jak się nazywasz?

-Amy Harper.

-Ile masz lat?

-Siedemnaście.

-Gdzie mieszkasz?

-Tu, w Royal City.

-Masz siostry?

-Nie.

-Braci?

-Jednego.

-Jak ma na imię?

-Joey. Joey Harper.

-Ile ma lat?

-Dziesięć.

-Wasza matka żyje? - Tak.

-Ile ma lat?

-Chyba czterdzieści pięć.

Madame Zena zamrugnęła i obliznęła wargi.

-Jaki kolor włosów ma twoja matka?

-Ciemnobrazowe, prawie czarne, jak ja.

-A oczy?

-Bardzo ciemne, jak ja.

-A jak... - Madame Zena chrząknęła i zamilkła. Kruk zatrzepotał skrzydłami.

Wreszcie Madame Zena odezwała się ponownie:

-A jak nazywa się twoja matka?

-Ellen Harper.

Imię podziałało na wrożkę niczym nagły prysznic. Na jej ciele pojawiły się kropelki zimnego potu.

-Znasz panienskie nazwisko swojej matki?

-Giavenetto - odparła Amy.

Twarz Madame Zeny pobladła jeszcze bardziej, jej ciałem zaczęły wstrząsać dreszcze.

-Co do diabła?... - rzucił Richie, który wyraźnie wyczuł strach w głosie fałszywej Cyganki i to go zaniepokoiło.

-Ciii! - syknęła Liz.

-Stek bzdur - warknął Buzz.

Madame Zena z jawnym wahaniem zajrzała w głębię szklanej kuli, jakby zmuszała się, by to uczynić. Zamrugnęła, wstrzymała oddech i krzyknęła. Odsunęła krzesło od stołu i wstała. Straciła szklaną kulę ze stołu. Podrabiany kryształ rąbnął głucho o klepisko, ale był zbyt masywny, aby się stłuc.

-Musicie stąd odejść - powiedziała pośpiesznie wrożka. - Musicie opuścić wesołe miasteczko. I to natychmiast. Idźcie do domu, pozamykajcie dobrze drzwi i nie wychodźcie na zewnątrz, dopóki lunapark nie wyjedzie z miasta.

Dziewczyny wstały. Liz powiedziała:

-Co to za belkot? Przyszliśmy tu, bo za darmo miałas wywroczyć nam przyszłość. Nie powiedziałas nam jeszcze, że czeka nas bogactwo i olbrzymia sława.

Z przeciwnej strony stołu Madame Zena przyglądała się im rozszerzonymi z przerażenia oczyma.

-Posłuchajcie mnie. Ja wcale nie jestem wrożka. Gram. Udaje. Jestem oszustka. Nie mam żadnych niezwykłych zdolności. Po prostu nabieram frajerów. Nigdy nie potrafiłam zajrzeć w przyszłość. W tej kryształowej kuli nigdy nie widziałam nic oprócz światła z żarówki wmontowanej w drewnianą podstawę. Ale dziś wieczorem... dosłownie minute temu... mój Boże... zobaczyłam coś. I nie rozumiem tego, co ujrzałam. Zresztą nawet nie chce zrozumieć. Jezus, Jezus Chryste, kto by chciał tak naprawdę zaglądać w przyszłość? To nie byłby dar, lecz przekleństwo. Ale ja ZOBACZYLAM. Musicie natychmiast opuścić wesołe miasteczko, nigdzie się nie zatrzymywać, nie oglądać się za siebie. Po prostu odejdźcie stąd.

Patrzyli na nią oszłomieni i zaskoczeni jej słowami. Madame Zena zachwiała się, nogi ugięły się pod nią i ponownie opadła na krzesło.

-Idźcie już, do cholery! Uciekajcie stąd, zanim będzie za późno. Idźcie, przekleci głupcy! Pospieszcie się!

Gdy wyszli na zewnątrz i stanęli w kregu mrugających świateł, otoczeni tłumem ludzi i zalewani falami muzyki płynącej z głośników przy karuzeli, długo spoglądali po sobie, czekając, aż ktoreś z nich zdecyduje się coś powiedzieć.

Pierwszy odezwał się Richie.

-O co jej chodziło, do cholery?

-To wariątka - mruknął Buzz.

-Nie sądzę - odparła Amy.

-Jakas swiruska - upierał się Buzz.

-Czy w dalszym ciągu nie rozumiecie, co się stało? - spytała Liz. Rozesmiała się i wesoło klasnęła w dłonie.

-Jeżeli możesz nam wyjaśnić te zagadki, to powiedz - rzuciła Amy, wciąż jeszcze czując przejmujący do szpiku kości chłód wywołany wspomnieniem wyrazu twarzy Madame Zeny, kiedy zajrzała w głębię szklanej kuli.

-To podpucha - oznajmiła Liz. - Strażnicy z wesołego miasteczka przyuwazyli nas, jak popalaliśmy trawkę. Nie chcą mieć kłopotów z narkotykami na terenie lunaparku, ale nie mają również ochoty powiadomić glin. Lunaparkowcy nie przepadają za blacharzami. I dlatego zaaranżowali ten numer z albinosem. On daje nam darmowe bilety do wrożki, a jej zadaniem jest popędzić nam kota.

-Tak! - rzucil Buzz. - Kurwa, tak wlasnie musialo byc! To jest to.

-Sam nie wiem - mruknal Richie. - Dla mnie to jakby troche bez sensu. No bo niby czemu po prostu sami nas stad nie wyrzucili? Maja przeciez swoich straznikow.

-Bo jest nas za duzo, glupku - odparla Liz. - Potrzebowaliby co najmniej trzech wykidajlow. Nie chca robic z tego powodu wielkiego szumu i tyle.

-Czy jest mozliwe, ze ona mimo wszystko mowila prawde? - zapytala Amy.

-Madame Zena? - spytala Liz. - Chcesz powiedziec, ze wierzysz, ze ona faktycznie zobaczyla cos w tej swojej szklanej kuli? Gowno prawda!

Rozmawiali o tym jeszcze chwile i stopniowo wszyscy przyjeli teorie Liz. Z kazda chwila jej wersja stawala sie coraz bardziej sensowna.

Amy jednak zastanawiala sie, czy bylaby tego samego zdania, gdyby nie mieli tak mocno w czubie od nadmiaru trawki. Pomyslala o Marco Wspanialym, o twarzy Liz u kobiety w trumnie, o Buzzie rozcinajacym sobie palec na szklanej sciance sloja, wewnatrz ktorego plywal potwor. Bylo zbyt wiele spraw wymagajacych przemyslen i wszystkie byly przerazajace. Wyjasnienie Liz wydawalo sie szyte grubymi nicmi, ale bylo dostatecznie wygodne i Amy je przyjela z radoscia.

-Musze pojsc na siusiu - powiedziala Liz. - A potem strzele sobie loda i jazda do Tunelu Strachu! Po tej przejazdce bedziemy mogli pojechac do domu. - Polaskotala Richiego w podbrodek. - Kiedy dotrzemy do domu, urzadze ci taka przejazdke, jakiej nie zaznales na zadnej karuzeli, w zadnym pieprzonym lunaparku.

Odwrocila sie do Amy:

-Chodz ze mna do toalety.

-Ale ja nie musze - powiedziala Amy. Liz wziala ja za reke.

-Chodz, dotrzyмай mi towarzystwa. Poza tym musimy pogadac, malenka.

-Spotkamy sie przy stoisku z lodami - zarzadzil Richie, wskazujac stragan tuz obok karuzeli.

-Wracamy raz dwa - zapewnila go Liz.

Pociagnela za soba Amy i zaczely przedzierac sie przez tlum, zmierzajac w kierunku obrzezy lunaparku.

* * *

Conrad stal w cieniu obok namiotu Zeny, kiedy czwórka nastolatkow wyszla na zewnatrz i

stanela w kregu czerwonych i zoltych swiatel pobliskiego Mlota. Uslyszal, jak blondynka powiedziala, ze musi isc do toalety i ma ochote na loda, a potem zamierza odbyc przejazdke Tunelem Strachu. Kiedy grupka rozdzielila sie, a pary poszly kazda w swoja strone, Conrad wsliznal sie do namiotu Zena. Znalazszy sie w srodku opuscil brezentowa plachte zaslaniajaca cale wejscie - na jej zewnetrznej stronie widnialy slowa NIECZYNNE - WRACAM ZA 10 MINUT. Zena siedziala na krzesle. Nawet w migotliwym blasku swiec Conrad widzial, ze jej twarz miala barwe popiolu.

-No i? - zapytal.

-Znowu pudlo - odparla nerwowo Zena.

-Ta przypominala Ellen bardziej niz wszystkie inne, ktore dotychczas ci podeslalem.

-Zbieg okolicznosci - stwierdzila Zena.

-Jak ona sie nazywa?

-Amy Harper.

Te cztery sylaby zelektryzowaly Conrada. Przypomnial sobie chlopca, ktoremu dzis po poludniu wreczyl dwie darmowe przepustki. Chlopiec nazywal sie Joey Harper i powiedzial, ze jego siostra ma na imie Amy. On rowniez przypominal Ellen.

-Czego sie o niej dowiedzialas? - zwrocil sie do Zeny.

-Niewiele.

-Mow.

-To nie ona.

-Mimo to mow. Ma braci? Siostry? Zena zawahala sie, po czym stwierdzila:

-Brata.

-Jak ma na imie.

-Czy to wazne? To nie ta, ktorej szukasz.

-Po prostu jestem ciekawy - odparl beztrosko Conrad, wyczuwajac, ze Zena ukrywa przed nim prawde, ale obawiajac sie uwierzyc, ze w koncu po tylu latach zdolal odnalezc swoja ofiare.

-Jak ma na imie jej brat?

-Joey.

-A matka?

-Nancy - odrzekła Zena.

Conrad wiedział, że skłamała. Spojrzał na nią i powiedział:

-Na pewno nie Leona? Zena zamrugła.

-Co? Czemu Leona?

-Bo dziś po południu uciałem sobie nader miła pogawedkę z Joeyem Harperem, który przyszedł popatrzeć, jak stawiamy nasz lunapark. Powiedział mi, że jego matka ma na imię Leona.

Zena wstrzymała oddech, zdumiona i wstrzasnieta. Conrad obszedł stol i położył dłoń na jej ramieniu. Spojrzała na niego.

-Wiesz co? - zaczął. - Wydaje mi się, że chłopiec skłamał. Sądziłem, że w jakiś sposób zdołał wyczuć zagrożenie i skłamał podając mi wiek oraz imię swojej matki. A teraz ty mnie okłamujesz.

-Conrad... daj mi spokój.

Jej reakcja była potwierdzeniem, że naprawdę odnalazł dzieci Ellen. Ogarnęło go szalone, nieopanowane podniecenie.

-Zobaczyłam coś wewnątrz kryształowej kuli - powiedziała Zena głosem, w którym dało się wyczuć niepokój i lek. - A przecież ona nawet nie jest z kryształu. To tani szajs. Oł, po prostu okrągła bryła szkła. Nie ma w sobie ani krzty magicznej mocy. A mimo to... dziś wieczorem... kiedy były tu te dwie dziewczyny... zobaczyłam wewnątrz kuli pewne obrazy. To było okropne, przerażające. Widziałam blondynkę krzyczącą i unoszącą obie ręce do twarzy, jakby osłaniała się przed czymś potwornym, co próbowało jej dosięgnąć. I zobaczyłam tę drugą... Amy... w podartym ubraniu, cała zbryzgana krwią. - Wzdrygnęła się gwałtownie. - Wydaje mi się, że w tle widziałam również tych... chłopców, którzy im towarzyszyli... obaj byli skapani we krwi.

-To znak - stwierdził Conrad. - Powiedziałem ci, że odbieram znaki. Ten jest następny. Mówi mi, że nie wolno zwlekać. Mówi, że muszę dopaść Amy jeszcze tej nocy, nawet gdybym musiał przy tym zająć się również pozostałymi.

Zena pokręciła głową.

-Nie, nie, Conradzie. Nie mogę ci na to pozwolić. Nie wolno ci tego zrobić. Nie możesz się

mscic. To chore. Nie pozwolę ci zabić tych dzieciaków.

-Och, prawdopodobnie nie ukatrupię żadnego z nich własnoręcznie - ryknął.

-Co chcesz przez to powiedzieć?

-Gunther się nimi zajmie.

-Gunther? Przecież on nikogo by nie skrzywdził.

-Nasz syn się zmienił - odrzekł Conrad. - Tylko ja wiem, jak bardzo. Nareszcie dorósł. Teraz potrzebuje kobiet i bierze sobie wszystko, czego akurat pragnie. Dosłownie. Przeważnie je pieprzy, ale nie tylko. Niestety, zostawia po sobie spory bałagan. Przez ostatnie kilka lat musiałem po nim sprzątać. Teraz dostanę zapłatę za mój trud. On sprawi, że dokona się zemsta, o której marzyłem przez tyle lat.

-Co miałaś na myśli mówiąc, że on bierze od kobiet wszystko, czego pragnie?

-Wykorzystuje je, a potem rozdziera na strzępy - wyjaśnił Conrad. Wiedział, że Zena poczuje się moralnie odpowiedzialna za czyny swojego odbiegającego od normy potomka. Uśmiechnął się, gdy dostrzegł wyraz smutku i bólu na jej twarzy.

-Ile ich było? - spytała.

-Straciłem rachubę. Kilkadziesiąt.

-Mój Boże - jęknęła Zena, drżąc jak liść. - Co ja uczyniłam? Co wydałam na świat?

-Antychrysta - odrzekł Conrad.

-Nieprawda - rzuciła ostro. - Mylisz się, Conradzie. Jesteś obłąkany. Masz manie wielkości. Ten stworzony wcale nie jest Antychrystem. To po prostu okrutna, szalona bestia. Powinnam była zachować choć odrobinę zdrowego rozsądku, tak jak Ellen. Powinnam była go zabić, jak ona zabiła Victora. A teraz... jestem odpowiedzialna za śmierć wszystkich, którzy zginęli z rąk tej bestii i tych, którzy jeszcze umrą, zanim to wszystko się skończy.

Stając nad nią Conrad nachylił się i zacisnął dłonie na jej szyi.

-Nie pozwolę ci zniweczyć tego wszystkiego - powiedział.

Zena walczyła, nie miała jednak dość silnej woli życia, podczas gdy Conrad czuł, że musi ją zabić. Nigdy dotąd - aż do tej chwili - nie zaznał podobnego uczucia potęgi i świadomości życiowego celu. Miał wrażenie, jakby coś go doładowywało. Diabelska energia zdawała się docierać do każdej komórki jego ciała. Zena miotła się, kopala i drapała go po twarzy, ale umarła szybciej i łatwiej niż oczekiwał. Zaciągnął jej zwłoki w najciemniejszy kąt namiotu. Później wymyśli jakiś sposób, aby się ich pozbyć.

Kruk zakrakal histerycznie.

Obawiając się, że ochryple wrzaski przyciągną kogoś do namiotu, zanim zdąży pozbyć się trupa, Straker otworzył klatkę, sięgnął do środka i skreślił ptaszysku kark.

Wyszedł z namiotu Zeny i szybkim krokiem ruszył w stronę Tunelu Strachu. Amy Harper i jej przyjaciele dotrą tam niebawem, a on chciał być odpowiednio przygotowany na ich przybycie.

* * *

Tego wieczora Joey miał niezwykle szczęście. Wygrał sześćdziesiąt pięć centów w rzutach monetami i małego pluszowego misia za rzuty strzałkami do balonów. Wygrał też darmowy przejazd na karuzeli, kiedy podczas pierwszego okrażenia udało mu się złapać mosiężne kolko. Krecił się na karuzeli, dosiadając karego wierzchowca, przypominającego czarnego Krolewicza z telewizyjnego serialu, gdy nagle zauważył Amy. Nie spodziewał się, że chłopak, z którym się umówił, przyprowadzi ją do wesołego miasteczka; a jednak była tu, ubrana w ciemnozielone szorty i bładozielony podkoszulek. Tyle, że nie towarzyszył jej Buzz. Była z nią Liz. Obie dziewczyny zmierzały w kierunku toalety. Joey stracił je z oczu przy kolejnym obrocie karuzeli. Zniknęły w tłumie. Kiedy w kilka minut później zszedł z karuzeli, natychmiast udał się na poszukiwanie siostry. Wiedział, że z przyjemnością wysłuchałaby jego opowieści o tym, jak oszukał mamę.

Uznał, że jest nadzwyczaj sprytny i dzielny, skoro w pojedynkę zdołał dotrzeć aż do wesołego miasteczka. Joey cenił sobie aprobatę Amy bardziej niż kogokolwiek innego i wrecz nie mógł się doczekać, aby usłyszeć, co powie, gdy zobaczy go tutaj całkiem samego.

14

Szalet był jasno oświetlony. Cuchnął wilgotnym betonem, grzybem i starym moczem. Umywalki pokrywały plamy od stale cieknącej, żelazistej wody. Amy i Liz umyły ręce i przed lustrami zaczęły poprawiać makijaż. Dwie starsze kobiety wyszły z toalety pozostawiając dziewczyny same.

-Czujesz ten odłot? - spytała Liz. - Tak.

-Ja też. Czuję to od stop aż po czubek głowy. Jestem nacpana. A ty? Co z tobą? Jest ci po prostu dobrze czy też jesteś napruta?

-Jestem kompletnie zadowolona - odparła Amy wpatrując się w lustro. Lekko zmrużyła oczy i drzącą dłoń umalowała szminką usta.

-To dobrze - stwierdziła Liz. - Ciesze się, że jesteś nacpana. Może się wreszcie rozluźnisz.

-Jestem wyluzowana - odparla Amy.

-Swietnie - mruknela Liz. - A wiec nie bede cie musiala do tego namawiac.

-Do czego?

-Do orgietki - odparla Liz.

Amy spojrzala na nia, a Liz usmiechala sie lekko nieprzytomnie. Amy spytala:

-Orgietki? Co masz na mysli?

-Powiedzialam juz o tym naszym dwom napalonym samcom, tam na zewnatrz - stwierdzila Liz.

-Buzzowi i Richiemu?

-Obaj sa za.

-Znaczy... ze niby my... we czworke w jednym lozku?

-Jasne - odparla Liz, odkladajac szminke i zamykajac z trzaskiem torebke. - To bedzie FAN
- TAS - TYCZ - NE!

-Och, Liz. Sama nie wiem. Nie...

-Daj sie poniesc, mala.

-Mam w planie college i w ogole...

-I pigulki. Nie zaskoczysz po raz drugi. Nie badz taka cholerna cnotka. Poplyn z pradem, dziecino. Badz taka, jaka jestes. Przestan udawac niewiniatko.

-Nie moglabym...

-Oczywiscie, ze bys mogla - rzucila Liz. - I ZROBISZ TO. Chcesz tego. Jestes taka sama jak ja. Spojrz prawdziwemu w oczy i baw sie.

Amy oparla dlone na umywalce, aby sie przytrzymac. Zawrot glowy byl chyba spowodowany czyms wiecej niz tylko narkotykami. Byla oszolomiona perspektywa pojscia na calosc, stania sie taka jak Liz, zapomnienia o przyszlosci, skrupulach czy poczuciu winy. Zycie w ten sposob musi byc zabawne i przyjemne, Odprezajace. I WOLNE.

Liz nachylila sie w jej strone i powiedziala:

-U mnie w domu. Bezposrednio po wyjezdzie z lunaparku. Cala nasza czworaka. Moi rodzice

maja ogromne lozko. Pomysl o tym, kochanie. Mozesz miec obu tych facetow naraz. Obaj pala sie, aby dac ci to, co maja najlepszego. Ubawisz sie jak nigdy dotad. Wiem, ze tak bedzie, bo ja na pewno tez sie ubawie, a ty jestes taka sama jak ja.

Melodyjny, rytmiczny glos Liz jakby pozbawial Amy calej energii i sily woli. Oparla sie o umywalke, zamknela oczy i poczula, ze ow cieply, uwodzicielski glos wciaga ja w otchlan, do miejsca, gdzie wcale nie miala ochoty sie udac.

Nagle Amy poczula czyjas reke na swojej piersi. Gwaltownie otworzyla oczy.

Liz dotykala jej pieszczotliwie, usmiechajac sie.

Amy chciala odepchnac lubiezna i zwawa dlon przyjaciolki, ale nie miala dosc sil, by stawic chocby najmniejszy opor.

-Zawsze zastanawialam sie, jak by to bylo z inna dziewczyna, no wiesz, tylko my dwie, ty i ja - stwierdzila Liz.

-Jestes nacpana - powiedziala Amy. - Napruta tak bardzo, ze nie wiesz co mowisz.

-Doskonale wiem co mowie, malenka. Zawsze sie zastanawialam... i dzis wieczorem sie dowiem. Zostanie nam cala masa wspomnien, dziecino.

Pochylila sie i lekko pocalowala Amy w usta. Jej jezyk poruszal sie zwinnie niczym jezyczek weza. W chwile pozniej dziewczyna wyszla z toalety, kolyszac miękko biodrami.

Amy czula sie podle, zwlaszcza ze doswiadczyła dreszczu rozkoszy, który przeniknal kazdy cal jej ciala. Znowu zerknela w lustro, mruzac powieki, bo ostre swiatlo jarzeniowek razilo jej podpuchniete, zaczerwienione oczy. Wlasna twarz wydawala jej sie dziwnie miękka, jakby topila sie i splywala z kosci.

Poszukujac w sobie po raz kolejny oznak zepsucia i deprawacji, ktore dostrzegali w niej inni, zajrzala w glab wlasnej duszy. Przez cale zycie matka wmawiala Amy, ze ukrywa ona w sobie jakies nieokreslone, ale potezne zlo, ktore nalezy za wszelka cena powstrzymac. Po latach wysluchiwania tych ociekajacych nienawiscia slow szacunek Amy do samej siebie z wielkiego drzewa zmniejszył sie do rozmiarow cieniutkiej drzazgi; osoba, ktora przycinala drzewo i dzierzyla noz, byla jej matka. Teraz Amy miala wrazenie, ze dostrzega cien zla, ktore widzialy w niej mama oraz Liz. Byl to szczegolny cien, falujaca sciana mroku na samym dnie jej oczu.

NIE! - pomyslala z rozpacza, przerazona szybkościa, z jaka rozpadaly sie jej postanowienia. Nie jestem jedna z tych osob. Mam plany, ambicje, marzenia. Chce malowac piekne obrazy, niesc szczescie ludziom.

Bez trudu jednak przypominala sobie dreszcz rozkoszy, ktory przeszył ja od stop do glow

niczym prąd elektryczny w momencie, gdy język Liz musnął jej wargi.

Pomyślała o perspektywie znalezienia się w jednym łóżku z Buzzem i Richie, którzy mogliby brać ją jednocześnie... i stwierdziła, że nie wyobraża sobie siebie w takiej sytuacji.

Stojąc tak w jasno oświetlonej toalecie, czując w nozdrzach drażniącą wonię pleśni, urywny i gnijących nadziei, Amy miała wrażenie, jakby znalazła się w przedsionku piekła.

W końcu podeszła do drzwi i otworzyła je.

Liz czekała na zewnątrz, pośród nocy. Uśmiechnęła się do Amy i wyciągnęła rękę.

* * *

Conrad wysłał Ducha, aby zajął się obsługą gości w barze "Na stojaka", gdzie tego wieczoru było więcej klientów niż w Tunelu Strachu. Kiedy albinos się oddalił, Conrad zamknął kasę, a Eltona odesłał do punktu gry w rzutki, ostatniego z trzech należących do niego stanowisk. Elton spojrzał na niego podejrzliwie. Tunel Strachu był zbyt dochodową placówką, aby zamykać ją o tak wczesnej porze. Jednak w przeciwieństwie do Ducha, Elton nigdy o nic nie pytał - po prostu robił to, co mu kazano.

Kiedy wszyscy klienci Tunelu Strachu wyjechali już na zewnątrz przez ogromne, wahadłowe drzwi i wysiedli z wagoników, Conrad wyłączył dopływ prądu do torowiska. Nie zgasił świateł ani nie wyłączył muzyki - jeszcze ją bardziej podkreślił, tak samo jak głos rechoczącego klauna.

Gunther obserwował Conrada z zakłopotaniem, kiedy jednak ten wyjaśnił mu sytuację, zrozumiał i udał się do Tunelu Strachu, aby tam zaczekać.

Conrad stanął przy zamkniętej kasie. Kiedy klienci podchodzili do niego, pytając o bilety, delikatnie ich splaniał. Dzisiaj wieczorem Tunel Strachu będzie otwarty wyłącznie dla czworga specjalnych gości.

* * *

Liz i Amy, każda ze swoim chłopakiem, po zjedzeniu lodów z polewą czekoladową i orzechami udały się do Tunelu Strachu. Naganiacz o wyjątkowo niebieskich oczach, który wcześniej stał na drewnianej platformie, nie nagabywał już przechodzących. Stał przy kasie, która wyglądała na zamkniętą.

-O, nie - jęknęła Liz, rozczarowana. - Chyba nie chce pan już zamykać?

-Ależ skąd - odrzekł naganiacz. - Po prostu mieliśmy pewien drobny defekt techniczny.

-Kiedy go naprawia? - spytała Liz.

-Juz zostal naprawiony - wyjasnil naganiacz. - Ale zanim ponownie uruchomie tunel, musze zaczekac na powrot szefa.

-Ile to potrwa? - zapytal Richie. Naganiacz wzruszyl ramionami.

-Trudno powiedziec. Szef lubi zagladac do butelki. Jezeli wypil za duzo, podczas gdy my naprawialismy silniki, moze sie w ogole nie pojawic.

-Cholera! - wybuchla Liz. - Zostawilismy to sobie na koniec, bo tunel jest moja ulubiona atrakcja w calym lunaparku.

Naganiacz spojrzal na Amy. Nie spodobalo sie jej to, co ujrzala w jego oczach. Spojrzenie mial przenikliwie grozne, i jakby WYGLODNIALE.

Powinnam byla zalozyc biustonosz, pomyslala Amy. To glupie, ze staram sie nasladowac Liz. Nie powinnam byla przyjsc tu tylko w szortach, cienutkim podkoszulku i bez stanika. Zupelnie jakbym prosila sie, zeby ktos mnie zerznal.

Nic dziwnego, ze tak mi sie przyglada.

-No coz - naganiacz zmierzyl ich przenikliwym spojrzeniem plomiennych, niebieskich oczu. - Powiem wam cos. Nie wygladacie na typowych klientow Sprawiacie wrazenie, jakbyscie wszyscy mieli TO COS.

-Na pewno - rzucila Liz.

-Zalezy, co ma oznaczac "to cos" - dodal Buzz.

-To takie nasze powiedzenie - rzekl naganiacz. - Oznacza dokladnie to, co mowie i mowi to, co znaczy.

Liz Wybuchnela smiechem.

-No to wszystko jasne.

Naganiacz usmiechnal sie i mrugnal do niej.

-Ostry z ciebie zawodnik - rzucila Liz.

-Dzikuje - odrzekl naganiacz. - A z ciebie nielicha zawodniczka. Ale i tak bedziecie musieli zaplacic za wstep.

Richie i Buzz siegneli do kieszeni po pieniadze.

Naganiacz znowu zerzknal na Amy. To samo wyglodniale spojrzenie. Amy skrzyzowala ramiona na piersiach, aby nie widzial jej sutkow przeswitujacych przez material

jasnozielonego podkoszulka.

* * *

Joey miał już zrezygnować z odnalezienia Amy w tłumie ludzi zgromadzonych na terenie lunaparku, kiedy nagle ją zauważył. Była z nią Liz oraz Buzz i jeszcze jeden chłopak. Naganiacz, który dał Joeyowi darmowe przepustki, pomagał im wsiąść do wagonika przy wrotach Tunelu Strachu.

Joey zawahał się, przypominając sobie, jak dziwnie zachowywał się ów mężczyzna, kiedy rozmawiał z nim po południu. Nie mógł jednak doczekać się, aby opowiedzieć Amy o tym, jak oszukał matkę, toteż odegnał od siebie wszystkie wątpliwości i wahania ruszył raz w stronę Tunelu Strachu.

* * *

W wagoniku mieściły się cztery osoby - dwie z przodu i dwie z tyłu. Liz i Richie zajęli miejsca z przodu, Amy i Buzz z tyłu. Ruszając, wagonik szarpnął gwałtownie, a Liz jęknęła i rozesmiała się. Falszywe wrota zamczyska otworzyły się polykając ich i zaraz znowu się zamknęły. Początkowo wagonik jechał dość szybko pośród egipskich ciemności, nagle jednak zaczął zwalniać. Po lewej stronie nad torami zapaliło się światło i szczerzacy zęby, brodaty pirat wybuchnął śmiechem, a potem ciał zamaszycie szablą w ich kierunku.

Liz pisnęła, a Buzz wykorzystał okazję, by objąć Amy ramieniem.

Po ich prawej stronie, zaraz za piratem kucnął na podwyższeniu bardzo realistycznie wyglądający wilkolak, oświetlony blaskiem księżyca, który nieoczekiwanie pojawił się wśród ciemności. Słepia monstrum polyskiwały czerwono, na jego wielkich klach widniała krew; szpony, którymi ciało powietrze tuż obok wagonika, błyszczwały niczym odłamki zwierciadła.

-Och, Richie, bron mnie! - krzyknęła Liz w udawanym przerażeniu. - Uchron moje dziewictwo przed tą potworną bestią! - Rozesmiała się, rozbawiona własnym popisem aktorskim.

Wagonik zwolnił jeszcze bardziej. Dotarli teraz do miejsca, gdzie psychopatyczny morderca stał nad zwłokami jednej ze swych ofiar. W rozpolowanej czaszce trupa tkwiło ostrze ogromnej siekiery.

Wagonik stanął.

-Co się stało? - spytała Liz.

-Chyba znowu coś się zepsuło - rzekł Richie.

Otaczały ich fioletowo-brązowe cienie. Jedyne światło płynęło spoza platformy

psychopatycznego mordercy, przy której stali. Była to upiorna, zielonkawa poswiata.

-Hej! - zawolala Liz w ciemnosc poprzez przerazajaca muzyke, ktora zadudnila wokol. - Co jest grane? Wlaczyc to z powrotem!

-Taak! - ryknal Buzz. - Ej, ty tam!

Przez minute czy dwie nawolywali naganiacza, nie wiedzac, ze jest na platformie przez zamknietymi drzwiami do tunelu, jakies czterdziesti stop od nich. Nikt im nie odpowiedzial i w koncu spasowali.

-Cholera - mruknela Liz.

-Co teraz zrobimy? - spytala Amy.

-Zostaniemy tu - rzekl Richie. - Przeciez predzej czy pozniej musza to uruchomic.

-Moze powinnismy wysiasc i wrocic do bramy pieszo - zasugerowal Buzz.

-Mowy nie ma - zaoponowal Richie. - Wsiadziemy, a gdy znow wlacza prad, wagonik odjedzie bez nas. Poza tym mogloby nam grozic, ze zostaniemy rozjechani, gdyby do tunelu wpuszczono kolejny wagonik.

-Mam nadzieje, ze nie bedziemy tu musieli czekac zbyt dlugo - stwierdzila Amy przypominajac sobie, w jaki sposob przygladal sie jej naganiacz. - Tu jest tak straszno.

-Ale syf - mruknela Liz.

-Cierpliwosci - uspokajal Richie. - Zaraz ruszymy w dalsza droge.

-Skoro juz mamy tu siedziec - powiedziala Liz - chcialabym, zeby wylaczyli te pieprzona muzyke. Jest zdecydowanie za glosna.

Nagle w gorze nad nimi rozleglo sie glosnie skrzypienie.

-Co to bylo? - spytala Amy.

Wszyscy uniesli wzrok spogladajac ku gorze, w ciemnosc. Skrzypienie rozleglo sie ponownie. Tym razem uslyszeli rowniez inne odglosy - skrobanie, gluche lupniecie, zwierzece chrzakanie.

-Chyba powinnismy... - zaczal Richie.

Nagle cos wyprysnelo z ciemnosci i schwycilo go za gardlo.

Z niskiego ciemnego sufitu wysunelo sie ramie zakonczone ogromna, wlochata dlonia o

długich palcach zaopatrzonych w mordercze szpony, ostre jak brzytwy. Choc reka poruszała się szybko, widzieli ją wyraźnie w zielonkawym blasku płynącym od strony platformy psychopatycznego zbrojcy z siekiera. Nie widzieli jednak, co znajdowało się w ciemnościach nad nimi, na drugim koncu reki. Szpony błyskawicznie przebiły gardło chłopaka zanurzając się głęboko w ciele, po czym istota silnym szarpnięciem wywindowała Richiego w górę, ściągając go z siedzenia. Richie jak oszalały kopał nogami, jego buty przez sekundy lub dwie bebnily o przód wagonika. I nagle znalazł się na zewnątrz, a potem podnosił się coraz wyżej i wyżej, aż znikł w otworze sufitu, wciągnięty do środka, jakby wazył nie więcej niż kilka funtów.

Wysoko w górę kłapa zamknęła się z trzaskiem.

Atak trwał nie dłużej niż trzy, cztery sekundy.

Przez chwilę Amy była zbyt oszłamiona, aby się poruszyć czy choćby krzyknąć. Wpatrywała się w ciemność, gdzie zniknął Richie i nie wierzyła własnym oczom. To musiała być jakaś sztuczka, jedna z tutejszych atrakcji, niewiarygodnie sprawny numer iluzjonistyczny.

Najwidoczniej Liz i Buzz byli tego samego zdania, bowiem oboje wydawali się zahipnotyzowani.

Stopniowo jednak Amy uswiadomiła sobie, że Richie naprawdę zniknął i że żaden lunapark na świecie nie zaryzykowałby zdrowia i życia odwiedzających, aby zafundować im sztuczki równie niebezpieczne jak to, czego przed chwilą doswiadczyli.

Liz szepnęła:

-Krew.

To jedno jedyne słowo przelamało czar.

Amy i Buzz spojrzeli na nią.

Liz, odwrócona od nich, obie ręce trzymała w górę. Były zbryzgane czymś wilgotnym i ciemnym. Nawet w zielonkawym świetle wyraźnie było widać, że Liz jest skapana we krwi.

We krwi Richiego.

Amy krzyknęła.

15

Kiedy Conrad odłączył dopływ prądu do torowiska, po którym przesuwał się wagonik z młodymi ludźmi, zszedł po pochylni na plac. Zamierzał obejść Tunel Strachu od tyłu, wejść do

srodka przez drzwi od piwnicy na zapleczu, zamknac je za soba i odnalezc Gunthera. Chcial, aby jego syn zabil pozostala trojke, ale oszczedzil Amy Harper. Amy, naturalnie, bedzie musiala pocierpiec kilka dni, zanim umrze. Zostanie nalezycie wykorzystana, dokladnie tak jak tego pragnal Conrad, jak marzyl przez dwadziescia piec lat. Wydal Guntherowi scisle polecenia, ale nie byl pewny, czy on bedzie w stanie nad soba zapanowac, kiedy juz zacznie zabijac. Gunthera stale nalezalo upominac. Przez nastepna krytyczna godzinie wymagal dokladnego nadzoru. Kiedy jednak Conrad znalazl sie na placu i mial juz skrecic w przesmyk miedzy Tunelem Strachu a Gabinetem Osobliwosci, ujrzal Joeya Harpera. Mlodszy braciszek Amy stal przy drugich drzwiach zamczyska, ktorymi wagoniki opuszczaly Tunel Strachu.

Musial zauwazyc, ze jego siostra wjezdzała do srodka, pomyslal Conrad. Czeka na nia. Co zrobi, kiedy ona sie nie pojawi? Pojdzie po pomoc? Wezwie ochroniarza?

Joey spojrzal na niego.

Conrad usmiechnal sie i pomachal.

Musi cos zrobic z tym cholernym chlopakiem, i to szybko.

* * *

Buzz wspial sie na platforme, gdzie stal skapany w zielonkawym swietle maniak, i wyszarpnal siekiera z czaszki manekina spoczywajacego u stop mechanicznego psychopaty. Z siekiera w dloni zeskoczyl do wagonikow. Amy i Liz, obejmujac sie ramionami, czekaly na niego. -To prawdziwa siekiera - powiedzial. - Niezbyt ostra, ale wystarczy.

-Nie rozumiem - rzucila drzaco Liz. - Co sie tu dzieje? O co tu, kurwa, chodzi?

-Nie wiem na pewno - rzekl Buzz. - Moge sie tylko domyslac. Ale widzialas te reke.

-To nie byla REKA - stwierdzila Liz.

-Szpon, lapa, jak ja zwal, tak zwal - rzekl Buzz. - W kazdym razie przypominala rece tego stwora w sloju, dziwolaga zanurzonego w formalinie w Gabcinecie Osobliwosci. Tyle ze ta byla duzo wieksza.

Amy odezwala sie, zdumiona, ze moze wykrztusic choc slowo:

-To znaczy... sadzisz, ze jestesmy tu uwiezieni z potworem, ktory morduje ludzi?

-Tak - rzekl Buzz.

-On nie zabil Richiego! - zawolala Liz lamiacym sie glosem. - Richie nie umarl. On zyje.

On... jest tam gdzieś... ale żyje.

-To możliwe - mruknął Buzz. - Może chodzi tylko o porwanie albo coś w tym rodzaju. Może błąd przetrzymywac Richiego dla okupu.

On i Amy wymienili spojrzenia i choć w zielonkawym świetle niełatwo było odczytać wyraz jego twarzy, Amy wiedziała, że Buzz miał w tej sprawie identyczne zdanie jak ona. Richie nie mógł żyć. Szansa, że jeszcze kiedykolwiek zobaczą jego promienny uśmiech, były zerowe. Richie nie żył, był martwy, martwy, odszedł na zawsze.

-Musimy wydostać się stąd i zadzwonić po gliny - powiedziała Liz. - Trzeba ocalić Richiego.

-Ruszamy - warknął Buzz. - Wracamy do drzwi wejściowych. Jeżeli nie uda się nam ich otworzyć, to może wyrzucimy sobie przejście tą siekierą... oczywiście jeśli jest dostatecznie ostra.

Przestrzeń pomiędzy zieloną oświetloną platformą a drzwiami wjazdowymi, odległymi o trzydzieści stop, pograżona była w ciemnościach. Liz zajrzała w głąb mrocznego, posępnego tunelu i powiedziała:

-Nie. Tam jest za ciemno, nie pójdę tam. A jeśli to coś czeka tam na nas?

-Masz w torbie zapalki - stwierdziła Amy. - Możemy sobie nimi przyswiecać.

-Dobry pomysł! - pochwalili Buzz.

Drżącymi rękoma Liz przetrząsnęła torebkę i znalazła dwie paczki zapalek, jedna pełna, druga na wpół pusta. Buzz wziął je od niej. Ruszył w ciemność, zapalił zapalke i znow go zobaczyły. - Idziemy.

-Zaczekaj - powiedziała Liz. - Chwileczkę. Może...

-Co, może? - spytała Amy.

Buzz potrząsnął dłonią, gdy zapalka dopaliła się, niemal parząc go w palce, i ponownie stanął w kregu zielonego światła.

Liz pokręciła głową. W jej myślach panował chaos.

-Jestem tak cholernie nacpana, że nie wiem, co się ze mną dzieje. Zupełnie nie mogę myśleć. A może tego w ogóle nie ma? Może to się nie dzieje naprawdę? Może to tylko zły odłot? Do ostatnich dwóch skretów dodałam PCR. Wiecie, że po anielskim pyłku można mieć fatalne odłoty. Najgorsze, jakie tylko można sobie wyobrazić. Może to jest właśnie to. Zły odłot i tyle.

-Wszyscy nie możemy mieć tych samych omamów - stwierdził Buzz.

-A skąd mam wiedzieć, czy wy w ogóle istniejecie? - warknęła Liz. - Może jesteście tylko wytworem mojego umysłu. Może prawdziwy Buzz siedzi obok Amy z tyłu wagonika, który znajduje się teraz w połowie drogi przez Tunel Strachu. Może ja również nim jade, ale jestem tak nacpana, że kompletnie nie zdaje sobie z tego sprawy.

Amy wymierzyła Liz niezbyt silny policzek.

-Słuchaj. Słuchaj, co mówię. To się dzieje naprawdę, a ja jestem śmiertelnie przerażona, więc przestań pieprzyć i zjeżdżajmy stąd.

Liz zamrugła i oblizła wargi.

-Tak. Masz rację. Przepraszam. Gdybym... gdybym tylko nie była tak cholernie napruta.

Buzz zapalił zapalke, potem drugą i trzecią, a dwie dziewczyny podazały za nim w kierunku wyjścia z Tunelu Strachu.

* * *

Joey stał z naganiaczem przed Tunelem Strachu, usiłując przypomnieć sobie, dlaczego przedtem bał się tego mężczyzny. Teraz lunaparkowiec zachowywał się wobec niego nader przyjaźnie i uśmiechał się tak promiennie, że Joey również nie mógł się powstrzymać. -Byłeś już w moim Tunelu Strachu, synu? - spytał naganiacz.

-Nie - rzekł Joey. - Ale byłem już w paru miejscach.

Omijał Tunel Strachu, ponieważ czuł się głupio wobec tego człowieka, chociaż dał mu dwie darmowe wejściówki.

-Mój Tunel Strachu jest największą atrakcją lunaparku - pochwalili się Conrad. - Dlaczego nie miałbym zabrać cię na specjalną przejazdke po tunelu - z przewodnikiem? Co ty na to? Nie na zwykłą przejazdke, jak wszyscy inni klienci, ale na specjalną, w towarzystwie samego właściciela tunelu. Mogę ci pokazać jak tam w środku wszystko działa. Zobaczyłbys to, czego nie widzą zwyczajni zjadacze chleba. Pokażę ci, jak są zbudowane potwory, jak się poruszają, warczą i zgrzytają zębami. Wszystko. Bez wyjątku. Pokażę ci to, czego powinni dowiedzieć się wszyscy, którzy mają TO COS.

-Jejku! - rozpromienił się Joey. - Serio?

-Oczywiście - odrzekł naganiacz serdecznie. - I jak zapewne zauważyłeś, zamknąłem już na dziś tunel. Kasa jest nieczynna. Właśnie wysłałem na przejazdke ostatni wagonik z czwórka nastolatków.

-Była wśród nich moja siostra - powiedział Joey.

-Och, naprawdę? Poczekaj, niech zgadnę. Była tam dziewczyna wyglądająca jak ty. Ciemnowłosa, w zielonych szortach.

-To ona - rzekł Joey - Nie wie, że dziś tu przyszedłem. Chciałem zaczekać, aż wyjedzie na zewnątrz... aby zrobić jej niespodziankę. A może ja też mogłoby pan zabrać na specjalną przejazdke? Co pan na to? Załóż się, że Amy będzie zachwycona.

* * *

Frontowe drzwi Tunelu Strachu otwierały się hydraulicznie do wewnątrz. Nie miały klamek ani niczego, za co można byłoby uchwycić lub pociągnąć.-Gdybym mógł włożyć palce w szczelinę - powiedział Buzz - może udałoby mi się je otworzyć na siłę. Ale są diabelnie szczelnie zamknięte.

-Nawet gdyby to ci się udało - zauważyła Amy - nie zdołałbyś ich otworzyć. Załóż się, że są takie same jak hydrauliczne drzwi od naszego garażu. Dopóki są podłączone do systemu hydraulicznego, nie da się ich otworzyć ręcznie.

-Taak - mruknął Buzz. - Masz rację. Powinienem być o tym pomyśleć.

Amy dziwiła się, że tak dobrze się trzyma. Bala się i czuła się okropnie dreczyła ją potworna mieszanka smutku i odrazy, kiedy przypominała sobie, co stało się z Richiem. Nie traciła jednak głowy. Chociaż wypaliła skreta, w pełni nad sobą panowała. Prawde mówiąc, myślała szybciej i logiczniej od Buzza. Nie uważała się za silną osobę. Mama zawsze twierdziła, że była słaba, skazona. Ale teraz nie mogła się nadziwić własnej odwadze. Liz tymczasem coraz bardziej się zalamywała. Oczywiście miała podpuchnięte od ciągłego płaczu. Wyglądała na zmęczona i dużo starsza niż przed paroma minutami. Piszczala jak przerażone kocie.

-Nie wpadaj w panikę - pocieszał ją Buzz. - Mam jeszcze siekiere.

Amy zapaliła kilka zapalek, a Buzz zamachnął się siekiere i uderzył pięć, dziesięć, dwadzieścia razy w grube drzwi. W końcu przestał, zdyszany.

-Kiepsko. To cholerne ostrze jest diabelnie tępe.

-Ktoś MUSIAL usłyszeć ten hałas - stwierdziła Liz.

-Wątpię - odparła Amy. - Nie zapominaj, że wejście do Tunelu Strachu znajduje się dobrych piętnaście stop od kasy i placu, za podestem na samym końcu korytarza wejściowego. Nikt przechodzący tamtędy nie usłyszałby odgłosów siekiery... nie kiedy tak głośno gra muzyka i rechocze ten ogromny klaun.

-Ale gdzieś tam musi być przecież naganiacz - stwierdziła Liz. - On nas usłyszy.

-Na miłość boską, Liz - rzekł Buzz - pomyśl logicznie. On nie jest PO NASZEJ STRONIE. Najwidoczniej również bierze w tym wszystkim udział. To on nas w to wciągnął.

-Zeby jakiś dziwoląg mógł nas zabić? - spytała Liz. - Przecież to bezsensu. To idiotyczne. On nawet nas nie zna. Czemu miałby wybierać przypadkową gromadkę dzieciaków i ciskać je... temu czemuś?

-Nie słuchasz wiadomości w telewizji? - spytał Buzz. - Cały świat spoi na głowie. Od wariatów aż się roi. Pojęcie normalności z wolna wypada z obiegu.

-Ale dlaczego on to robi? - chciała wiedzieć Liz.

-Może go to rajcuje - stwierdziła Amy.

-Będziemy krzyczeć - wymyśliła Liz. - Na całe gardło.

-Tak - poparł ją Buzz.

-Nie - wtraciła Amy. - To również nic nie da. Muzyka gra głośniej niż zazwyczaj i śmiech klauna również został podkrecony. Nikt nas nie usłyszy... a gdyby nawet, stwierdzi, że doskonale się tu wszyscy bawimy. W Tunelu Strachu ludzie POWINNI krzyczeć.

-I co teraz zrobimy? - zapytała Liz. - Nie możemy tu po prostu czekać, aż to COS wróci. Musimy coś zrobić, do cholery!

-Zawrócimy do platformy z tymi mechanicznymi potworami i sprawdzimy, czy nie ma tam czegoś w rodzaju siekiery, co moglibyśmy wykorzystać do obrony - odezwał się Buzz.

-Siekiera nawet nie jest ostra - odparowała Liz. - Co to nam da?

-Jest dostatecznie ostra, aby powstrzymać to COS - zaopiniował Buzz, wazac siekiere w dloniach. - Może jest zbyt tępa, by ciąć drewno, ale na pewno udaloby mi się przy jej użyciu przefasonować facjate temu sukinsynowi.

-Jedyny sposób, aby powstrzymać tego potwora, to rozwalić go z dubeltówki - powiedziała drzącym głosem Liz.

Kiedy płomyk zbliżył się do palców Amy, upuściła trzymana zapalke. Zgasła, nim spadła na podłogę. Przez kilka sekund stali w ciemności. Amy nigdy dotąd nie doświadczyła czegoś podobnego. Mrok nie tyle skrywał w sobie zagrożenie, ale wręcz SAM BYŁ ZAGROZENIEM. Wydawał się żywa, zła, posługująca się własną spaczoną logiką, mroczna istota, która owijała się wokół niej, szukając i dotykając chłodnymi, czarnymi rekoma.

Liz jeknęła cicho.

Amy zapaliła kolejną zapalke i w jej świetle powiedziała:

-Buzz ma racje. Musimy sie uzbroic. Ale to nie wystarczy. Nawet strzelba moze nie wystarczyc. Ten stwor moglby zeskokczyc z sufitu albo wyskokczyc spod podlogi tak szybko, ze nawet nie zdazylybys pociagnac za spust. Musimy znalezc stad jakies wyjście.

-Stad nie ma wyjścia - zapewnila Liz. - Drzwi wyjściowe beda zamknięte na glucho, tak jak wejściowe. Nie zdolasz ich otworzyc ani sforsowac siekiera. Jesteśmy w pułapce.

-Musi byc gdzieś wyjście ewakuacyjne - powiedziala Amy.

-Racja! - wtracil Buzz. - Gdzieś tu musi byc wyjście ewakuacyjne. I moze wejście służbowe.

-Uzbroimy sie najlepiej, jak sie da - dokonczyla Amy - a potem zaczniemy szukac wyjścia.

-Chcecie krecic sie po tym tunelu? - spytala z niedowierzaniem w głosie Liz. - Czyscie poszaleli? Jezeli wejdziemy w glab tunelu, TO na pewno nas dopadnie.

-Jezeli bedziemy stali i czekali pod drzwiami, rowniez - odparla Amy.

-Fakt - stwierdzil Buzz. - Ruszajmy.

-Nie, nie, nie! - zaprotestowala Liz, krecac gwałtownie glowa. Plomyk zamigotal.

Ciemnosc.

Amy zapalila następną zapalke.

W jej swietle ujrzeli Liz skulona pod zamkniętymi drzwiami, wpatrujaca sie w sufit i dygoczaca jak przerażony krolík. Amy ujela dziewczynę za ramie i podniosla ja.

-Posluchaj, mala - powiedziala lagodnie. - Buzz i ja nie zamierzamy tu czekac, az ten stwor zdecyduje sie po nas wrocic. A wiec musisz isc z nami. Jesli zostaniesz tu sama, to juz po tobie. Chcesz zostac sama w ciemnosciami?

Liz przylozyla dlonie do oczu i otarla lzy. Kropelki wciaz lsnily na jej rzesach, twarz miala wilgotna.

-Dobrze - rzucila smutno. - Pojde. Ale na pewno nie pierwsza.

-Ja poprowadze - zapewnil ja Buzz.

-Ostatnia tez nie - dorzucila Liz.

-Ja pojde ostatnia - rzekla Amy. - W srodku bedziesz bezpieczniejsza, Liz. A teraz juz chodzmy.

Ruszyli gesiego, ale juz po kilku krokach Liz zatrzymala sie i powiedziala:

-Moj Boze, skąd ona wiedziała?

-Kto i co? - spytała niecierpliwie Amy.

-Skąd wrożka wiedziała, co się stanie?

Przez chwile stali w milczeniu, kompletnie osłupiali, a gdy zapalka zgasła, Amy przez dłuższą chwile nie mogła zapalić następnej. Nagle zaczęły drzeć jej dłonie. Pozbawione odpowiedzi pytanie Liz na temat wrożki obudziło w Amy dziwne uczucie - poczuła na plecach dreszcz. Nie został on wywołany strachem, lecz niepokojem, wrażeniem déjà vu. Miała wrażenie, jakby ta sytuacja już się kiedyś wydarzyła - uwięzienie w ciemnym miejscu, dokładnie z tym samym potworem. Przez kilka sekund to odczucie było tak silne, tak dojmujące, że była bliska omdlenia; i nagle, zupełnie niespodziewanie, minęło.

-Czy Madame Zena naprawdę zobaczyła przyszłość? - spytała Liz. - Przecież to niemożliwe, prawda? To jest zbyt dziwne. Co się tu dzieje, do cholery?

-Nie wiem - odparła Amy. - Ale nie mamy czasu, by się tym przejmować. Wszystko po kolei. Musimy znaleźć to wyjście ewakuacyjne i wynieść się stąd.

Na zewnątrz klaun ponownie zanosił się śmiechem. Amy, Liz i Buzz weszli dalej w głąb.

* * *

Joey w końcu poprosił o kupon na specjalną przejazdówkę po Tunelu Strachu z przewodnikiem. Conrad stał za plecami chłopca dobrą minutę, wpatrując się w podwójne drzwi wyjściowe, udając, że czeka, aż jego siostra z przyjaciółmi opuści wnętrze ogromnego pomieszczenia. -Dlaczego to tak długo trwa? - spytał Joey.

-Bo to najdłuższa przejazdówka w całym lunaparku - rzekł szybko Conrad. Wskazał na plakat zawiadamiający o tym.

-Widziałem - rzekł Joey. - Ale niemożliwe, aby trwała TAK DŁUGO.

-Pełnych dwanaście minut.

-Sa tam o wiele dłużej.

Conrad spojrzal na zegarek i zmarszczył brwi.

-A dlaczego inne wagoniki nie wyjeżdżają na zewnątrz? - spytał Joey. - Nikt przed nimi nie jechał?

Conrad wszedł na podwyższenie przy rampie wyjazdowej i spojrzal na tory.

-Centralny łańcuch napędowy nie przesuwają się - rzekł z udawanym zdziwieniem.

-Co to oznacza? - spytał Joey stając obok niego.

-To oznacza, że znowu wydarzyła się jakaś cholerna awaria - mruknął Conrad. - Czasami tak bywa. Twoja siostra i jej przyjaciele utkwili w środku. Wejdziesz tam i sprawdzisz, co się zepsuło. - Odwrócił się i zaczął iść w stronę bocznej ściany tunelu. Nagle się zatrzymał i obejrzał za siebie, jakby na chwilę zapomniał o Joeyu.

-Chodź, synu, może mi się przydasz. Chłopiec zawahał się.

-Chodź - rzekł Conrad. - Nie kazał swojej siostrze siedzieć w ciemnościach. Chłopiec podszedł za nim w głąb Tunelu Strachu.

Conrad otworzył drzwi prowadzące do pomieszczenia poniżej torowiska. Wszedł do środka, sięgnął po łancuszek włącznika światła i pociągnął. Joey podszedł za nim.

-Jej! - zdziwił się głośno. - Nie myślałem, że będzie tu tyle różnych maszyn! Conrad zatrzasnął drzwi i przekreślił zamek. Odwróciwszy się do Joeya, uśmiechnął się i powiedział:

-Ty kłamliwy potoku. Twoja matka nie ma na imię Leona.

* * *

Amy, Liz i Buzz zabrnęli już daleko w głąb tunelu, kiedy nad torowiskiem zapaliły się światła. Pokonali kilka ostrych zakrętów, z niepokojem przebyli parę długich, ciemnych korytarzy i zaczęli właśnie pisać się w górę po ostrej stromiznie, mijając woskowe manekiny potworów z różnych filmów science fiction. Światła nie do końca rozpraszały ciemność. Wokół nich czyhały płozące się cienie. Każde światło było mile widziane, a Amy miała już tylko jedną zapalke. -Co się dzieje? - spytała z niepokojem Liz. Obawiała się jakiegokolwiek zmiany w ich sytuacji, nawet gdyby miała ona oznaczać światło zamiast ciemności.

-Nie wiem - powiedziała niepewnie Amy.

-TO włącza światła, aby mogło nas łatwiej dopaść - stwierdziła Liz. - Oto co się dzieje i dobrze o tym wiesz.

-Coz... jeżeli tak - mruknęła Amy - będzie mu trudniej nas znaleźć, jeżeli pojedziemy dalej.

-Racja - bąknął Buzz. - Nie stojmy tu. Znajdziemy to wyjście.

-Stąd nie ma wyjścia - powiedziała Liz. Ale podszedła za nimi w górę pochyłości.

Kiedy dotarli do szczytu stromizny, ich oczom ukazała się ogromna platforma przedstawiająca sześć zaopatrzonych w maski, wylupiastookich potworów wielkości człowieka. Potwory wychodziły z latającego talerza. Ich absurdalne kształty zamarły w bladym świetle lamp zawieszonych nad torami.

-Ten spodek jest cholernie duży. Załóż się, że zmieścilibyśmy się w nim we trojke.

-Na pewno będą tam szukać - odparła Amy. - Nie możemy stać w miejscu ani szukać jakichś kryjówek. MUSIMY SIĘ STAD WYDOSTAĆ.

W chwili gdy skończyła mówić, lancuch napędowy pośrodku torowiska zaczął się przesuwać.

Podawali się gwałtownie, zaskoczeni.

W oddali rozległ się charakterystyczny odgłos nadjeżdżającego wagonika - KLAK - KLAK - KLAK. Ostry, metalowy dźwięk, słyszalny wyraźnie poprzez kakofonię muzyki i rechotliwego śmiechu klauna, narastał z każdą chwilą.

-TO idzie po nas - powiedziała Liz. - Jezu, Jezu, ten dziwolak idzie, aby nas dopaść!

Tępy, żardzewiały nóż, który Amy wyjęła z jednego z modeli potworów, wydawał się niedorzeczna, śmieszna broń.

KLAK - KLAK - KLAK - KLAK.

-Szybko - rzucił Buzz. - Zejdźcie z torów. Wspieli się na szeroka polkę, gdzie szczęście kosmitów wychodziło z latającego talerza.

KLAK - KLAK - KLAK - KLAK.

-Podejdźcie do spodka - rzekł Buzz. - Niech was zobaczy. Ściągnijcie jego uwagę. - A co ty masz zamiar zrobić? - spytała Amy.

Buzz uśmiechnął się. Był to wymuszony, nikły uśmiech. Buzz usiłował za wszelką cenę podtrzymać swój wizerunek twardego faceta. Wskazał na glaz z papier - mache i powiedział:

-Stane przy tym kamieniu. Kiedy wagonik podjedzie na wzniesienie... kiedy ten skurwiel was zobaczy, rozwalę go siekierą, zanim zdąży zeskoczyć na tory.

-Może się udać - przyznała Amy.

-Jasne - mruknął Buzz. - Rozplątam go na dwoje. KLAK - KLAK - KLAK - KLAK...

Wagonik pokonał ostami zakręt i zaczął pisać się w górę stromizny. Liz usiłowała odbiec i ukryć się gdzieś. Amy chwyciła ją za rękę i pociągnęła w stronę latającego spodka, do miejsca, w którym pasażer wagonika musiał ich ujrzyć znalazłszy się na szczycie wzniesienia.

Buzz skulił się za kamieniem. Liz i Amy widziały go doskonale, ale od strony wagonika był

zupełnie niewidoczny.

Siekiera trzymał oburacz.

KLAK KLAK... KLAK KLAK... KLAK KLAK... KLAK.

Wagonik zwalniał, w miarę jak stromizna stawała się coraz ostrzejsza. Buzz unosił siekiere nad głową.

-Jezu, puść mnie, puść mnie, Amy - jęknęła Liz. Amy jeszcze mocniej scisnęła jej przegub.

Widziały już pierwsze siedzenia wagonika. Wyglądało na to, że są puste.

KLAK... KLAK... KLAK...

Wagonik sunął teraz bardzo wolno. W końcu pojawiło się ostatnie siedzenie.

Amy zmrużyła powieki. Gdyby oświetlenie było odrobinę słabsze, nie zdołałaby ujrzeć stworza skulonego na ostatnim siedzeniu wagonika.

Ale zobaczyła to. Bezkształtna bryła. Cień. Kucal na podłodze wagonika, usiłując ich oszukać.

Buzz również to zobaczył. Wydał głośny okrzyk jak karateka przed ciosem, wyskoczył zza glazu i zamachnął się siekiere, mierząc w głębię wagonika. Ostrze wbilo się w cel z taką siłą, że w chwili trafienia stylisko siekiery wypadło Buzzowi z ręki.

Stwor w wagoniku nie poruszył się, a wagonik nagle się zatrzymał.

-Mam go! - krzyknął Buzz. Liz i Amy podbiegły do niego.

Buzz ukląkł, sięgnął w głębię wagonika i ponownie ujął stylisko siekiery. Pociągnął i wraz z siekiere unosił do góry ciało, w którym utkwilo ostrze. I wtedy to zobaczył.

Głowe.

Nie była to głowa potwora.

Tepe ostrze siekiery pograżone było głęboko w czaszce Richiego. Ze szczeliny w rozlupanej czaszce wypływał mózg i ściekał po jego okrwawionej twarzy.

Liz wrzasnęła.

Buzz upuścił siekiere i odwrócił się od wagonika. Zwymiotował na sztuczny glaz.

Amy była tak zaskoczona, że puściła dłoń Liz.

Liz wrzeszczała teraz na Buzza:

-Ty tepy skurwysynu! Zabiles go! Zabiles Richiego! - Obie, Liz i Amy, byly uzbrojone w tepe zardzewiale noze odebrane manekinom. Liz uniosla noz, jakby chciala zaatakowac nim Buzza.

-Ty cholerny durniu! ZABILES Richiego!

-Nie - powiedziala Amy. - Nie, Liz. Posluchaj, Buzz go nie zabil. Posluchaj mnie. Richie juz nie byl. W wagoniku znajdowaly sie tylko jego zwloki.

Poplakujac ze strachu, potegowanego jeszcze przez narkotyki, ktore brala przez caly wieczor, Liz odwrocila sie i rzucila do ucieczki, zanim Amy zdazyla ja zatrzymac. Minela latajacy talerz, przebiegla pomiedzy dwoma zaopatrzonymi w macki kosmitami, ktorych gumiate przyssawki zakolysaly sie w powietrzu, kiedy sie o nie otarla. Zniknela w ciemnosciach, za kamieniami z papier - mache.

-Liz, do cholery! - rzucila Amy.

Odglosy panicznej ucieczki dziewczyny ucichly nagle. Zniknela w trzewiach Tunelu Strachu.

Amy ponownie odwrocila sie w strone Buzza.

Kleczal na kolanach. Juz nie wymiotowal. Smrod byl potworny. Wierzchem dloni otarl wilgotne usta.

-Wszystko w porzadku? - spytala Amy.

-Chryste, to byl Richie - wymamrotal.

-On juz nie byl - zapewnila Amy.

-Ale to BYL Richie!

-Nie pluj na mnie - odparla Amy.

-Ja... eee... nie pluje.

-Wez sie w garsc.

-Nic mi nie jest.

-Jezeli mamy przezyc, musimy zachowac calkowity spokoj.

-Ale to jest czysty obled - jeknal Buzz.

-Fakt - mruknęła Amy. - Ale to się dzieje.

-Jesteśmy zamknięci w Tunelu Strachu z... potworem.

-To się dzieje naprawdę i musimy jakos się z tym uporać - odparła cierpliwie. Buzz pokiwał głową i wciągnął brzuch, usiłując odzyskać poprzednią pewność siebie.

-Jasne. Damy sobie z tym radę. Nie boję się żadnych dziwolągów.

W tej samej chwili pośrodku czoła Buzza wykwitła krwawa roza. W pierwszej chwili Amy nawet nie zdawała sobie sprawy, że to była krew. Wydawała się czarna, jak plama atramentu. Kiedy jednak blade światło padło na nią pod nieco innym kątem, Amy zobaczyła, co to naprawdę było.

Niemal jednocześnie usłyszała huk, który rozbrzmiał gromkim echem wewnątrz całego pomieszczenia, dokładnie w ułamek sekundy po tym, jak pojawiła się krew. Był odrobinę tylko głośniejszy od klekotu toczącego się wagonika - TRACH!

Usta Buzza otwarły się szeroko.

W niecałą sekundę później, kiedy Amy w dalszym ciągu nie zdawała sobie sprawy, co się stało, prawe oko Buzza eksplodowało gejzerem krwi, rozszarpanych tkanek i potrzaskanych kości; ciemny, pusty oczodoł wyglądał niczym otwarte do krzyku usta.

I jeszcze raz TRACH!

Krew i strzępy ciała zbryzgały przód zielonego podkoszulka Amy.

Odwrociła się.

O dziesięć stop od niej stał naganiacz. Mierzył w Buzza z małego pistoletu. Bron wyglądała niegroźnie, prawie jak zabawka.

Za plecami Amy Buzz westchnął, wydal dziwny bulgoczący dźwięk i runął w kaluze własnych rzygowin.

To NIE MOŻE SIĘ DZIAĆ NAPRAWDĘ! - pomyślała Amy.

Ale wiedziała, że to jest realne. Wiedziała, że na tę noc czekała bardzo, bardzo długo. Była ona zapisana w jej życiu, zanim jeszcze Amy przyszła na świat.

Naganiacz uśmiechnął się do niej.

-Kim jesteś? - spytała.

-Nowym Józefem - odrzekł. - Co?

-Jestem ojcem nowego Boga - powiedział. Uśmiechnął się jak wyglodniały rekin.

Amy trzymała swój zardzewiały noz przy boku, licząc, że naganiacz go nie zauważy, a ona zdola jakos zbliżyć się do niego i zrobić użytek z krótkiego ostrza.

-Przywitaj się z braciszkiem - rzekł naganiacz. W jednym reku trzymał koniec sznura. Pociągnął zan. Z ciemności wyszedł chwiejnie Joey. Na szyi miał zadzierzgnięta petle.

-Boże - westchnęła Amy. - Boże, dopomóż nam.

-On nie może wam pomóc - powiedział naganiacz. - Bog jest słaby. Szatan jest potężny. Tym razem Bog nie może ci pomóc, ty suko.

16

Liz wpadła w ciemności na kogoś wielkiego. Krzyknęła, zanim jeszcze zorientowała się, że nie był to dziwoląg. Zderzyła się z jednym z mechanicznych potworów, które stały teraz zupełnie nieruchome i milczące. Liz była mokra od potu, rozdygotana i dezorientowana. W ciemnościach raz po raz na coś wpadała i w takich momentach serce w jej piersi nieomal przestawało bić. Wiedziała, że powinna usiąść, aby choć trochę się uspokoić, albo wrócić do korytarza dla wagoników, który był przynajmniej oświetlony, niemniej była zbyt przerażona, by robić to co należało. Ruszyła chwiejnie naprzód, trzymając obie ręce przed sobą. W jednej ścisnęła noz. Myślała o Richiem, o Richiem z siekiera wbita w głowę i z trudem powstrzymywała narastające mdłości. Czuliła się już prawie normalnie, otepienie minęło wskutek działania adrenaliny; jedyne, co się teraz dla niej liczyło, to uratowanie własnej skóry. Pojekiwała cichutko i oddychała ciężko; zdawała sobie sprawę, że wydawane przez nią dźwięki mogą spowodować śmierć, ale nie potrafiła zachowywać się bezgłośnie. Robiła co mogła, aby wyjść z tego cało, po prostu się starała i miała nadzieję, że uda jej się odnaleźć wyjście. Liczyła na swój fart, zawsze miała szczęście, wszystko jej się udawało, a teraz pragnęła tylko (zgoła niedorzecznie) przystanąć gdzieś na chwilę i wypalic kolejnego skreta. Właśnie wtedy potknęła się o coś i upadła ciężko na podłogę z desek, a kiedy sięgnęła ręką, by uwolnić stopę, natrafiła na spory metalowy pierścien w podłodze, w którym utkwił czubek jej buta. Zakleła w głos, gdy jej kostkę przeszył palący ból, ale w tym samym momencie ujrzała nitkę światła wypływającą spod podłogi, światła z pomieszczenia poniżej i zrozumiała, że pierścien służył do podnoszenia klapy w podłodze.

Wyjście.

Śmiejąc się radośnie Liz odczłogła się z klapy, na której leżała. Ukłękła nad nią i ujęła oburącz pierścien. Kłapa była wypaczona, nie chciała się unieść. Liz wyteżyła wszystkie siły w jednym silnym pociągnięciu i wreszcie kłapa uniosła się ku górze.

Wnętrze tunelu wokół niej zalały strugi światła.

Ogromny, odrazajający stwór stał na drabinie dokładnie pod kłapą. Jego ręka jak atakujący

waz wystrzelila ku gorze, wplatujac sie w dlugie, jasne wlosy Liz. Dziewczyna poczula gwałtowne szarpniecie i wrzeszczac runela przez otwor w podlodze do pomieszczenia ponizej.

* * *

-Pusc mojego brata - powiedziala Amy.-Raczej nie - odrzekl naganiacz.

Joey mial rece zwiazane na plecach. Kolejna lina byla zadzierzgnieta silnie na jego szyi - drugi koniec trzymal w reku naganiacz.

Szyja Joeya byla mocno otarta i zaczerwieniona; chlopiec plakal.

Amy spojrzala w jasnoniebieskie, nieludzkie oczy naganiacza i po raz pierwszy w zyciu nie miala watpliwosci, ze nie byla zla osoba, za jaka stale uwazala ja matka. TEN CZLOWIEK byl zly. Byl sama esencja zla. Byl szalencem. On i ten morderczy potwor, ktory zabil Richiego. To byla kwintesencja zla, rozniaca sie od niej tak dalece, jak ona roznila sie od... Liz.

Nagle, zupełnie niespodziewanie, wbrew temu, ze zarowno ona, jak i Joey stali w obliczu niechybnej smierci, Amy przepelnilo zywe, dojmujace, niezwykle silne i niewiarygodne uczucie pewnosc, wiary w siebie i sympatii do wlasnej osoby.

Nigdy dotad nie doswiadczyła czegos podobnego. Owa fala zmyla precz wszelkie mroczne, gorzkie i niepokojace odczucia, ktore dreczyly ja od tak dawna.

Jednoczesnie doznala jeszcze jednego przeblysku deja vu. Ogarnelo ja niezwykle uczucie, ze to wszystko juz sie kiedys wydarzylo - moze niedokladnie tak samo jak teraz, ale ogolny sens byl taki sam. Czula przy tym, ze z naganiaczem laczy ja duzo silniejsza wiez niz sie tego spodziewala. Na jej barki niczym niewidzialny plaszcz opadlo potezne brzemie przeznaczenia, swiadomosc, ze jej zyciowym celem i zadaniem bylo znalezienie sie wlasnie teraz w tym wlasnie miejscu. Bylo to dziwne uczucie, jednak powitala je z radoscia.

NIE STOJ TAK, DZIALAJ, BADZ DZIELNA - powiedzial glos w jej wnetrzu.

Trzymajac zardzewialy noz przy boku i liczac, ze naganiacz go nie zauwazyl, podeszla do Joeya.

-Nic ci nie jest, kochanie? Skrzywdzil cie? Nie placz. Nie boj sie.

Cala swoja uwage skupila na Joeyu, tak by naganiacz nie domyslil sie, ze zamierzala go zaatakowac, a kiedy pochylila sie w strone chlopca, w mgnieniu oka zmienila kierunek, odwrocila sie, skoczyla na lunaparkowca i wbila mu zardzewialy noz w gardlo. Jego palajace nienawiscia oczy otworzily sie szeroko.

Instynktownie nacisnal spust pistoletu.

Amy poczula ped kuli przelatujacej tuz obok jej policzka, ale nie bala sie. Miala wrazenie, ze cos ja ochrania.

Naganiacz czknal, upuscil bron i przylozyl obie rece do gardla.

Po chwili osunal sie na ziemie i juz sie wiecej nie poruszyl. Byl martwy.

* * *

Liz pelzla w tyl, na czworakach, jak ogromny pajak po piwnicznym klepisku pod Tunelem Strachu, dopoki nie natrafila plecami na lagodnie wibrujaca obudowe jakiejs ogromnej maszynerii. Przykucnela tam, a serce tluklo jej sie w piersi tak mocno i gwaltownie, jakby chcialo roztrzaskac ja od wewnatrz na kawalki.

Dziwolag obserwowal ja. Sciagnawszy dziewczynie do piwnicy, cisnal ja na bok jak worek kartofli. Nie przestal sie nia jednak interesowac. Chcial po prostu zobaczyc, co robi. Igral z nia oferujac zludna szanse uciezki, odgrywajac role kota, podczas gdy ona byla mysza.

Teraz, gdy od potwora dzielil ja dystans pietnastu stop, Liz podniosla sie powoli. Nogi miala jak z waty. Aby nie upasc, musiala jedna reka oprzec sie o obudowe buczacej maszyny. Stwor stal, na poly ukryty w cieniu, na poly w kregu zoltego swiatla. Jego zielone oczy palaly. Byl tak wysoki, ze musial sie nieco zgarbic, aby nie uderzyc glowa w nisko sklepiiony sufit.

Liz rozejrzala sie wokolo w poszukiwaniu wyjscia. Nie zauwazyla zadnego. Dolny poziom Tunelu Strachu byl istnym labiryntem najrozniejszych maszyn. Gdyby sprobowala uciezki, z pewnoscia nie umknelaby daleko. Stwor dopadlby ja w mgnieniu oka. Istota postapila krok w jej strone.

-Nie - powiedziala Liz. Monstrum zrobilo kolejny krok.

-Nie. Stoj.

Powloczac nogami istota przesuwała sie naprzod, az znalazl sie o szesc stop od Liz, stanela i przekrzywila glowe, wpatrujaca sie w nia z jawnym zaciekawieniem.

-Prosze - powiedziala Liz. - Prosze, pozwol mi odejsc. Prosze. - Nie spodziewala sie, ze przyjdzie jej kiedykolwiek blagac o cos kogokolwiek. Chlubila sie wlasna bezwzglesnoscia i sila. Byla twarda. Teraz jednak blagala o darowanie zycia i stwierdzila, ze nie jest to trudne, kiedy w gre wchodzi tak wysoka stawka.

Dziwolag zaczal obwachiwac ja jak pies nowa suke. Jego szerokie nozdrza rozdaly sie i zadrgaly, gdy prychnal z narastajacym podnieceniem.

-Czuc dobra - powiedzial dziwolag. Liz zdziwila sie, ze stwor potrafil mowic.

-Czuc kobieta - powiedzial.

W sercu Liz zatlila sie iskierka nadziei.

-Ladna - rzekl dziwolag - Chciec ladna.

Moj Boze, pomyslala Liz, kompletnie oszolomiona. Czy wlasnie o to mu chodzi? O seks? Czy tego pragnie? Czemu nie? Tak, do cholery, tak! Przeciez dotychczas wszystkim chodzilo tylko o jedno. To moja szansa. Moje wyjscie. Jedyne wyjscie.

Stwor postapil kolejny krok do przodu, unoszac jedna ze swych wielkich, szponiastych jak u drapieznika lap. Delikatnie pogladzil ja po twarzy. Usilowala ukryc obrzydzenie.

-Ty... mnie lubisz, prawda? - zapytala.

-Ladna - odparl, usmiechajac sie i ukazujac krzywe, zolte zeby.

-Naprawde mnie chcesz?

-Prawda zla - powiedzial.

-Moze moglabym byc dla ciebie mila - rzucila drzacym glosem, usilnie probujac wcielic sie na powrot w role seksbomby, nimfomanki, kusicielki, rozrywkowej dziewczyny, laluni do wziecia, ktorej wizerunek szlifowala i polerowala jak deske, dopoki nie stala sie nalezycie gladka, pozbawiona wszelkich nierownosci i drzazg.

Zlowieszcza dlon zakonczona dlugimi szponami zsunela sie po jej twarzy w dol i zatrzymala na wysokosci piersi.

-Tylko nie rob mi krzywdy, to moze cos wspolnie wykombinujemy.

Stwor oblizal czarne wargi. Jezyk mial blad i cetkowany, nieludzki. Wsunal jeden szpon pod jej podkoszulek i rozdarl na strzepy cienki material. Ostry jak brzytwa paznokiec wyoral dluga, plytka bruzde na jej prawej piersi.

-Zaczekaj - powiedziala, krzywiac sie. - Zaczekaj chwileczke. - W jej wnetrzu ponownie narastala panika.

Stwor pchnal ja na buczaca maszynie.

Liz skulila sie; usilowala odepchnac go od siebie, stwor jednak wydawal sie odlany ze stali. Byla wobec niego kompletnie bezsilna.

Istota wydawala sie znacznie bardziej podniecona nitka krwi, ktora zdobila naga piers Liz,

anizeli jej nagoscia. Silnym szarpnieniem zdarla jej szorty.

Liz krzyknela.

Dziwolag wymierzyl jej siarczasty policzek, niemal pozbawiajac ja tym ciosem przytomnosci, po czym rozlozyl Liz na ziemi.

W minute pozniej dziewczyna poczula, jak istota rozsuwa jej kolana i wchodzi w nia, a zaraz potem dlugie szpony stwora zaczely rozszarpywac jej boki.

Kiedy z wolna pograzala sie w chlodnej, zabarwionej na czerwono ciemnosci, zrozumiala, ze seks rzeczywiscie byl odpowiedzią, zreszta tak jak zawsze... ale tym razem byla to odpowiedz ostateczna.

* * *

Amy wydawalo sie, ze slyszy krzyk Liz. Byl to odlegly dzwiek, krotki, ostry, przejmujacy okrzyk grozy i bolu. A potem ucichl i slychac juz bylo tylko odglosy typowe dla Tunelu Strachu. Amy nasluchiwala jeszcze przez chwile, ale nie slyszac nic procz osobliwej muzyki i smiechu klauna, ponownie odwrocila sie do Joeya. Stal po lewej stronie zwlok naganiacza, usilujac patrzec w przeciwnym kierunku.

Amy rozwiazala chlopca. Chociaz lzy splywaly mu po twarzy, a dolna warga wyraznie drzala, staral sie byc dzielny. Robil to dla niej. Wiedziala, ze jej opinia znacyla dla niego wiecej niz zdanie kogokolwiek innego i zrozumiala, ze nawet teraz, w tak strasznych okolicznosciach martwil sie glownie o to, zeby dobrze wypasc w jej oczach. Nie pochlipywal. Nie wpadal w panike. Nic nie wskazywalo, ze byl bliski zalamania. Ba, probowal nawet byc odrobine nonszalancki. Splunal na otarte nadgarstki i delikatnie rozsmarowal plwocine na powierzchni okropnych, zaczerwienionych sladow, kojac w ten sposob chociaz odrobine poscierana skore.

-Joey? Spojrzal na nia.

-Chodz, kochanie. Musimy sie stad wydostac.

-Dobrze - powiedzial drzacym glosem. - Tylko jak? Gdzie sa drzwi?

-Nie wiem - odparla Amy. - Ale znajdziemy je.

Amy w dalszym ciagu miala wrazenie, ze cos nad nia czuwa i chroni ja i to odczucie dodawalo jej odwagi i otuchy.

Joey ujal jej lewa dlon.

Trzymajac w prawym reku pistolet naganiacza, Amy poprowadzila chlopca mrocznym

korytarzem Tunelu Strachu, mijając mechaniczne istoty z Marsa, woskowe zombi, drewniane lwy i gumowe potwory morskie.

W końcu dostrzegła strugę światła płynącą z podłogi i przenikająca ciemność po lewej stronie torowiska, dokąd nie docierał blask lamp awaryjnych. Mając nadzieję, że światło oznacza wyjście, poprowadziła Joeya za stertę glazów z papier - mache, gdzie w podłodze widniała prostokątna drewniana kłapa.

-Czy to wyjście? - spytał Joey.

-Zobaczymy - odparła Amy.

Opadła na kolana, nachyliła się do przodu i zajrzała w głąb kiepsko oświetlonej piwnicy Tunelu Strachu. Pomieszczenie zapelniały buczone silniki, warkoczące maszyny, ogromne koła zębate, rzędy dźwigni, potężne pasy i łańcuchy transmisyjne... oraz cienie. Zawahała się.

I wtedy uspokajający, miodopłynny wewnętrzny głos powiedział jej, żeby się nie wycofywała i zrozumiała, że musi wejść do pomieszczenia na dole. Nie mogła zrobić nic innego, nie mogła udąć się nigdzie indziej.

Nakazała Joeyowi, aby jako pierwszy zszedł do piwnicy po drabinie, podczas gdy ona osłaniała go z pistoletem. Kiedy znalazł się na dole, czym prędzej podążyła jego śladem. Zrobiła to szybko. BARDZO szybko, bo nagle stwierdziła, że nie jest pewna, czy Joey, tak jak ona, strzeżony jest przez niewidzialną siłę. Bardzo możliwe, że Joey nie znajdował się pod jej opieką.

-To piwnica - stwierdził Joey.

-Tak - powiedziała Amy. - Ale nie jesteśmy pod ziemią. Ta piwnica to w rzeczywistości parter, a więc prawie na pewno gdzieś tutaj muszą być drzwi prowadzące na zewnątrz.

Ponownie ujęła jego dłoń i ruszyli wąskim przesmykiem pomiędzy dwoma rzędami ogromnych maszyn. Skreśliła za rogiem w kolejne przejście - i wtedy zobaczyli Liz. Dziewczyna leżała na wznak, na ziemi, głowę miała przekrecona w bok i nachylona pod nienaturalnym kątem, brzuch rozdarty, oczy rozszerzone i niewidzące. Była naga, od stóp do głów zbryzgana krwią.

-Nie patrz - powiedziała Amy do Joeya, usiłując uchronić go przed okropnym widokiem, choć jej własny żołądek zaczął wyprawiać osobliwe harce.

-Widziałem - powiedział ze smutkiem. - Widziałem.

Amy usłyszała głęboki, gardłowy warkot. Odwróciła wzrok od zalanej łzami twarzyczki Joeya.

Upiorny stwór znalazł się w ciasnym przejściu za nimi. Szedł pochylony, aby nie uderzyć ołbrzymia, zdeformowana głowa o niski sufit. W jego oczach plonęły zielonkawe ogniki. Slina blyszcząca na wargach i zmierzwionej sierści wokół ust. Amy nie zdziwiła się jego widokiem. W głębi serca wiedziała, że konfrontacja była nieunikniona. Dala się ponieść biegowi wypadków, tak jakby przeżywała je już wcześniej po tysiącokroć.

-Suka. Ladna suka - powiedział monstrum. Jego głos był ochryply. Wyplýwał spomiedzy spekanych, czarnych warg.

Jak we śnie, w którym wszystko odbywa się w zwolnionym tempie, Amy zmusiła Joeya, aby stanął za jej plecami. Dziwoląg pociągnął nosem.

-Kobieta ciepła. Czuję dobra.

Amy cofnęła się przed potworną istotą. Trzymając pistolet przy boku i nieco z tyłu, w nadziei, że stwór go nie zauważy, postąpiła krok w jego kierunku.

-Chcieć - powiedziała istota. - Chcieć ładna. Zrobiła drugi i zaraz potem trzeci krok.

Dziwoląg wydawał się zdumiony jej śmiałością. Przekrzywił głowę, przyglądając się jej przenikliwie. Zrobiła czwarty krok.

Istota groźnym gestem uniosła do góry jedną rękę. Blysnęły szpony.

Amy postąpiła kolejne dwa kroki naprzód - obecnie od stworza dzieliła ją odległość wyciągniętej ręki. Szybkim, płynnym ruchem uniosła broń, wymierzyła i wypaliła prosto w pierś stworza - raz, drugi i trzeci.

Dziwoląg zatoczył się chwiejnie w tył, pchnięty impetem trafiających w jego ciało kul. Rabnął ciężko w jedną z maszyn; jego beładnie machające ręce przestawiły kilka dźwigni. W całym pomieszczeniu zawrzało - koła i tryby zaczęły się obracać, pasy transmisyjne przesuwac, a brzęczące lancuchy nawijac z jednego stalowego bebną na drugi.

Dziwoląg nie upadł. Krwawił z trzech ran w klatce piersiowej, ale w dalszym ciągu trzymał się na nogach. Odsunął się od wielkiej maszyny i zaczął iść w stronę Amy.

Joey krzyknął.

Z głosem bijącym sercem Amy uniosła broń, ale nie naciskała spustu. Czekala. Potwór był tuż tuż. Chwiał się na nogach, oczy miał metne, z ust płynęła ślina zmieszana z krwią. Amy czuła jego cuchnący oddech. Stwór zamachnął się jedną ręką, usiłując rozplatać jej twarz, ale chybił o dobrych parę cali.

Wreszcie, kiedy była absolutnie pewna, że nie zmarnuje naboju, Amy łagodnie ściagnęła spust, posyłając kolejną kulę prosto w twarz odrazającego stworza.

Dziwolaga ponownie odrzucilo do tyłu. Tym razem runal bezwładnie na ciężki, główny łańcuch transmisyjny sterujący przesuwem wagoników w pomieszczeniu powyżej. Ostre zęby łańcucha zaczepiły o jego ubranie. Silne szarpnięcie zbiło stworą z nog, a przesuwały się łańcuch pociągnął go w głąb wąskiego przejścia, z dala od Amy i Joeya. Stwor kopał i wyl, ale nie mógł się uwolnić.

Nogawki spodni zmieniły się w strzepy, gdy szorował ciężko nogami po ziemi, a w chwili potem to samo stało się ze skóra jego ud i łydek. Lewa ręka uwiezia na moment, gdy łańcuch przeszedł pod, a następnie nad stalowym bebnem - maszyna stanęła na sekunde lub dwie, ale zaraz potężne silniki ponownie wprawiły w ruch grubą łańcuch. Lapa stworą przyplaciła przejście przez beben utrata kilku palców. W chwili później bestie pociągnęło z powrotem w kierunku Amy i Joeya.

Istota nie próbowała już walczyć z wlokącym ją łańcuchem - nie miała sił, by stawiać opór bezlitosnemu mechanizmowi. Teraz wyla w agonii, miotła się spazmatycznie, zdychała. Mimo to mijając ich machnęła łapą, usiłując dosięgnąć kostki Amy. Chybiła, ale jej szpony przebiły nogawkę dzinsów Joeya. Chłopiec krzyknął i upadł. Zaczął przesuwać się wraz z dziwolagiem, ale Amy zareagowała błyskawicznie. Schwyciła chłopca i przytrzymała go mocno.

Łańcuch znowu zatrzymał się na chwilę, a stwor zastygł w bezruchu; ta makabryczna próba sił trwała przez kilka sekund, aż wreszcie jeden ze szponów stworą złamał się, materiał spodni Joeya pękł z głuchym trzaskiem, łańcuch znowu zaklekotał metalicznie i powłokł dziwolaga dalej. Jego ciało było bezlitosnie rzućane, ciskane i obijane jak szmaciana lalka, aż w końcu trafiło między tryby głównego koła napędowego, którego zęby wielkości męskich kciuków rozdarły mu gardło, aż w końcu stanęły zablokowane.

Teraz potwór był zupełnie nieruchomy i bezwładny...

Amy cisnęła na ziemię pistolet zabrany naganiaczowi.

Joey patrzył na nią rozszerzonymi wskutek szoku oczyma.

-Nie boj się - powiedziała.

Rzucił się jej w ramiona i przytulił mocno.

Przepelniona szczęściem pomimo otaczających ją ze wszystkich stron upiornych, krwawych koszmarów, rozkoszując się upojną świadomością życia, Amy zdała sobie sprawę, iż naganiacz mylił się twierdząc, że Bog nie mógł jej pomóc. Bog jej dopomógł. Bog albo jakaś istniejąca we wszechświecie moc, określaną niekiedy tym właśnie mianem. Był z nią teraz.

Czuła Jego obecność u swego boku. Nie był jednak taki, jakim widziała Go matka. Nie był mściwym Bogiem, nakładającym na ludzi tysiące praw, wedle których mieli postępować, i srogo karzącym za byle przewinienie.

On byl po prostu... esencja dobra i milosci.

Byl opiekunczy i troskliwy.

I nagle ta szczegolna chwila dobiegla konca, aura boskiej obecności przygasla, a Amy westchnela. Wziela Joeya na rece i wyniosla go z Tunelu Strachu.

POSLOWIE

W roku 1980, kiedy moje powiesci nie zaczely jeszcze pojawiac sie na listach bestsellerow, wydawnictwo Jove Books poprosilo mnie o napisanie nowelizacji scenariusza Larry'ego Blocka (ale nie Lawrence'a Blocka, który pisze doskonale powiesci kryminalne i sensacyjne, innego Larry'ego Blocka, specjalisty do scenariuszy filmowych) który miał zostac przeniesiony na ekran przez Tobe Hoopera, mlodego rezysera, znanego przede wszystkim z niskobudzetowego horroru Teksanska masakra pila mechaniczna. Zawsze uwazalem, ze przemiana scenariusza w powiesc moze byc interesujacym i trudnym wyzwaniem, totez postanowilem je podjac. Prawde mowiac moja motywacja byly rowniez wzgledy finansowe, bowiem suma, jakami zaproponowano, byla duzo hojniejsza niz wynagrodzenie jakie otrzymywalem za wlasne powiesci. Kiedy podpisalem umowe na napisanie Tunelu Strachu, stopien inflacji wynosil osiemnascie procent, zas stopa procentowa duzo powyzej dwudziestu i wszystko wskazywalo, iz krach ekonomiczny byl nieunikniony. Nie otrzymywalem kokosow za moje ksiazki, ale stopniowo, nieustannie pialem sie w gore i zarabialem niezgorzej; niemniej zwazywszy na sytuacje ekonomiczna oferta napisania Tunelu Strachu byla dostatecznie hojna, abym nie mogl sie jej oprzec. Tak, czasami pisarze musza pisac ksiazki nie tylko dla samej sztuki, ale i dla pieniedzy. Musi tak byc, jesli maja miec co zalozyc na nogi, nie chodzic glodni i nie mieszkac na ulicy, z calym dobytkiem upchanym starannie na dnie sklepowego wozka. To prawda, znam kilku pisarzy, ktorzy nie znizyliby sie do pisania z tak niskich badz co badz pobudek. Naturalnie kazdy z nich ma majatek powierniczy, bogatych rodzicow, jeszcze bogatszych dziadkow albo malzonka (lub malzonke) na dobrze platnej posadzie, który w razie czego moglby go poratowac. Nic nie pozwala artyście bardziej ignorowac wagi pieniadza niz dostatecznie duzy majatek w momencie startu. Zawsze sadzilem, ze martwienie sie o finanse przez pierwsze dziesiec, a nawet dwadziescia lat zawodowej kariery pomaga w rozwinięciu warsztatu pisarskiego, pozwala na uzyskanie blizszej wiezi z przecietnymi zjadaczami chleba i ich troskami, a takze czyni kolejne powiesci bardziej wiarygodnymi.

Tak czy inaczej, przyjalem oferte napisania Tunelu Strachu.

Scenariusz, jak na scenariusz byl dobry, ale zapewnial material na nie wiecej jak dziesiec - dwadziescia procent powiesci. Nic w tym niezwyklego. Filmy w porownaniu z powiesciami sa plytkie, stanowią cienie prawdziwych, literackich opowiesci. Mialem zmienic nieco rys postaci, stworzyc dla kazdej z nich odpowiednie tlo i rozwinac watek wiodacy ku wydarzeniom rozgrywajacym sie w ostatniej czesci powiesci, które stanowiły nieomal cala fabule filmu. Nie zaczalem korzystac ze scenariusza, dopoki nie napisalem czterech piatych

powiesci.

Zadanie okazało się jednak zabawne, bowiem już od dawna interesowałem się lunaparkami i zebrałem na ich temat sporo informacji. Jako nieszczęśliwe dziecko dorastające w biednej rodzinie, mieszkającej o rzut kamieniem od terenu, gdzie co roku w sierpniu rozbijało swe namioty wesole miasteczko, często marzyłem o przyłączeniu się do lunaparkowców, ucieczce od ubóstwa, strachu i przemocy mego codziennego życia. Wiele lat po napisaniu Tunelu Strachu wiedzę na ten temat wykorzystałem w szerszym zakresie przy stworzeniu Oczu zmierzchu. Muszę jednak przyznać, iż napisanie Tunelu Strachu było w pewnym stopniu satysfakcjonujące, bo wiedziałem, że temat, który poruszyłem, był nie tylko starannie opracowany, ale i nowy dla czytelników - niewielu pisarzy zdecydowało się przede mną wkroczyć na ten teren i mogło poszczycić się zarówno prawdziwą wiedzą, jak i dokładnością.

Kiedy Tunel Strachu po raz pierwszy ukazał się na rynku, nakładem Jove, wydawnictwa książek broszurowych, własności Berkley Publishing Group, które z kolei podlegała MCA, rynkowemu gigantowi, a zarazem właścicielowi Universal Studios (życie w końcu XX stulecia jest bardziej skomplikowane niż w lunaparku) książka miała pojawić się w księgarniach równocześnie z wejściem na ekrany jej filmowej wersji.

Okazało się jednak, iż premiera filmu z powodu zmian montażowych została opóźniona i książka ukazała się na rynku na trzy miesiące przed filmem.

To zadziwiające, ale Tunel Strachu błyskawicznie uzyskał aż osiem wydań, osiągnął milion egzemplarzy i pojawił się na liście bestsellerów książek broszurowych "New York Times". Jak na paperback był to zadowalający sukces (książka nie miała wydania w twardej oprawie) i sprzedawała się niezłe aż do premiery filmu.

Tu gwoli wyjaśnienia powiem, że zazwyczaj film powoduje wzrost sprzedaży książek. Jeżeli książka sprzedawała się dobrze PRZED nakreśnieniem filmu, bywało, że wraz z premierą następował istny boom na pierwowzór literacki.

W przypadku Tunelu Strachu tak się nie stało. Po premierze filmu jej sprzedaż znacznie spadła.

Zagadka?

Niezupełnie.

Powiedzmy, że pan Hooper nie rozumiał potencjału materialu, jakim dysponował i tego, na co studio, a prawdopodobnie również pan Block czy Hooper liczyli.

Zamiast posłużyć jako reklama dla książki, film stał się dla niej przekleństwem. Wiele miesięcy później Tunel Strachu znikł z polek księgarskich by już nigdy ich nie zobaczyć.

No, powiedzmy prawie nigdy.

Książka została wydana pod pseudonimem Owem West, bowiem jove miało nadzieję stworzyć nowe nazwisko (lub nowego autora) powieści grozy, dla którego "pierwszej" powieści film miał być milowym krokiem ku wielkiej karierze. Druga powieść Westa była Maska i choć sprzedawała się dobrze, sukces jego pierwszej książki został niemal kompletnie przyćmiony kląpą filmu. Zanim ukończyłem trzecią z powieści Westa, pt. Czelusca powieści, jakie wydałem pod własnym nazwiskiem stały się słynniejsze niż książki Westa, toteż stwierdziłem, że rozsądniej byłoby powrócić do mojej prawdziwej tożsamości. Czelusca stała się Zmierzchem, i została opublikowana pod moim własnym nazwiskiem.

Jeżeli chodzi o Westa, muszę wyznaczyć, iż zginął on śmiercią tragiczną, stracony w Birnie przez stado rozszalałych wół, kiedy prowadził poszukiwania do swojej nowej książki traktującej o gigantycznej prehistorycznej kaczce i mającej wstępnie nosić tytuł Kaczyla.

Ostatecznie Maska została wydana pod moim nazwiskiem i sprzedawała się dużo lepiej niż uprzednio dla biednego, pechowego, straconego przez woły Westa.

Obecnie pod moim nazwiskiem został również wydany Tunel Strachu. Stało się tak dzięki wysiłkom pracowników wydawnictwa MCA, Berkley Books i gorliwej współpracy Larryego Blocka. Nie dorównuje ona Opiekunom, Przelecy śmierci czy innym spośród moich najlepszych powieści, ale jest dobra jak wiele innych i zapewne od niektórych lepsza. Ja ją lubię. Są książki, których nigdy nie pozwolę wydać ponownie. Czytelnicy nie powinni płacić za historie, które autor pisał wciąż jeszcze się ucząc tylko po to, by zobaczyć, jak kiepski był jego warsztat, zanim zdołał odnaleźć właściwą drogę. Wydaje mi się, że Tunel Strachu jest ogólnie niezły. Jest zabawny. Ma jakąś treść. Tło wydarzeń jest autentyczne.

A co ważniejsze, jest naprawdę przerażający, nawet jeśli to tylko moja opinia. Mam nadzieję, że się wam spodoba.

Proszę was przy tym, byście minutą ciszy uczcili pamięć pana Westa, którego szczątki wciąż jeszcze gniją gdzieś na polu w Birnie, gdzie stado wół - i filmowa wersja Tunelu Strachu - wdeptały jego nazbyt śmiertelne ciało głęboko w oleiste, czarne blocko.

SPIS TREŚCI TOC \o "1-2" \h \z

Prolog. PAGEREF _Toc173513102 \h 3

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F0C

CZĘŚĆ PIERWSZA AMY HARPER... PAGEREF _Toc173513103 \h 23

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F0C

1. PAGEREF _Toc173513104 \h 24

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F0C

2. PAGEREF _Toc173513105 \h 36
08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F0C
3. PAGEREF _Toc173513106 \h 47
08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F0C
4. PAGEREF _Toc173513107 \h 57
08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F0C
5. PAGEREF _Toc173513108 \h 72
08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F0C
6. PAGEREF _Toc173513109 \h 83
08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F0C
7. PAGEREF _Toc173513110 \h 93
08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F0C
8. PAGEREF _Toc173513111 \h 109
08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F0C
- CZESC DRUGA LUNAPARK PRZYBYWA. PAGEREF _Toc173513112 \h 114
08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F0C
9. PAGEREF _Toc173513113 \h 115
08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F0C
10. PAGEREF _Toc173513114 \h 126
08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F0C
11. PAGEREF _Toc173513115 \h 142
08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F0C
- CZESC TRZECIA TUNEL STRACHU... PAGEREF _Toc173513116 \h 150
08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F0C
12. PAGEREF _Toc173513117 \h 151
08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F0C
13. PAGEREF _Toc173513118 \h 168
08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F0C
14. PAGEREF _Toc173513119 \h 177
08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F0C
15. PAGEREF _Toc173513120 \h 184

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F0C

16. PAGEREF _Toc173513121 \h 196

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F0C

Poslowie. PAGEREF _Toc173513122 \h 204

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F0C

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-28

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/